CISZA GRANICY
Życie nie wraca do Białowieży

RYTUAŁ NA ŻYCZENIE
Świecka duchowość szuka symboli

GŁOSY Z RUIN
Warszawa 1944
Mariupol 2022

MALAGA LATTE
Ile zarabia hiszpański kelner

KATE BUSH
Z dobrego domu, ale genialna

Kraków 31 lipca 2022 nr 31 (3812) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Lekarze i my

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK O ROZMOWACH, KTÓRE LECZĄ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

bella

KUP!

WYDANIE SPECJALNE
DOSTĘPNE OD 17 SIERPNIA
–> W NAJLEPSZYCH MIEJSCACH
Z PRASĄ

ZAMÓW!

Z GRATISOWĄ PRZESYŁKĄ
W PRZEDSPRZEDAŻY
–> NAPISZ NA
ZAMOWIENIA@TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ciało!

UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA ROZKOSZ I PRACUJE, MENSTRUUJE I RODZI, ŚNI I MEDYTUJE, JEST ROZBIERANE, UBIERANE, STARZEJE SIĘ, UMIERA I MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI...

CZYTAJCIE O ASANACH I ORGAZMACH, ANATOMII I SILE DOTYKU, CIAŁOPOZYTYWNOŚCI I ŻYCIU Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI.

ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ CIELESNOŚCI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

22 Puszcza murem podzielona
KRZYSZTOF STORY
Życie w Białowieży nieprędko wróci do normy.

30 Babcia kontra Olbrzym
ROZMOWA Z TOMASZEM MARKIEWKĄ, FILOZOFEM:
W odniesieniu do wielkiej historii mieszkańcy wsi byli zawsze jak kibice na trybunach. Ale u siebie sami byli bohaterami.

54 Reduta w podziemiach
PATRYCJA BUKALSKA
Atak Rosji na Ukrainę sprawia, że obrazy z powstania warszawskiego nabierają przejmującej aktualności.

34 Koło życia
ROZMOWA Z MONIKĄ STASIAK, DORADCZYNIĄ RYTUALNĄ:
Każdy ma w sobie potencjał tworzenia działań symbolicznych. Potrzebujemy rytuałów.

64 Burza na wzgórzach
ROBERT KASPRZYCKI
Kate Bush długo zmagała się z opinią panienki z majętnego domu, która bawi się w muzykę. W historii rocka jej powrót jest niespotykany.

76 Prostaczek i wąż
DOROTA KOZIŃSKA
Za kulisami najbardziej snobistycznego festiwalu operowego w Wielkiej Brytanii.

KRZYSZTOF STORY // ARCHIWUM TOMASZA MARKIEWKI / KOLORYZACJA TP-ONLINE // KARINA KRYSTOSIAK // JEFF GILBERT / ALAMY STOCK / BE&W // RB / REDFERNS / GETTY IMAGES // ZDZISŁAW WDOWIŃSKI / PAP

6 Podróż po pojednanie
JOANNA GIERAK-ONOSZKO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Puszcza murem podzielona
KRZYSZTOF STORY

26 Czy zabraknie nam prądu
MAREK RABIJ:
Nigdy wcześniej ta obawa nie była równie uzasadniona

28 Ciężkie kamienie
PIOTR WÓJCIK: *Pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy nieprędko trafią na polskie konta*

30 Babcia kontra Olbrzym
ROZMOWA Z TOMASZEM MARKIEWKĄ

WIARA

34 Koło życia
ROZMOWA Z MONIKĄ STASIAK

39 Pomogła żyrafa
JACEK TARAN:
Aby pomagać w Afryce, trzeba być silnym – mówi świecka misjonarka z Krakowa

ŚWIAT

44 Państwo zawłaszczone
WOJCIECH KONOŃCZUK
Reżim Łukaszenki jest bardziej agresywny również wobec Polski

48 Na zegarze piąta piętnaście
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z OBWODU DONIECKIEGO:
Mieszkańców Konstantynówki niemal codziennie budzą spadające rakiety

AMELIE BENOIST / BE&W

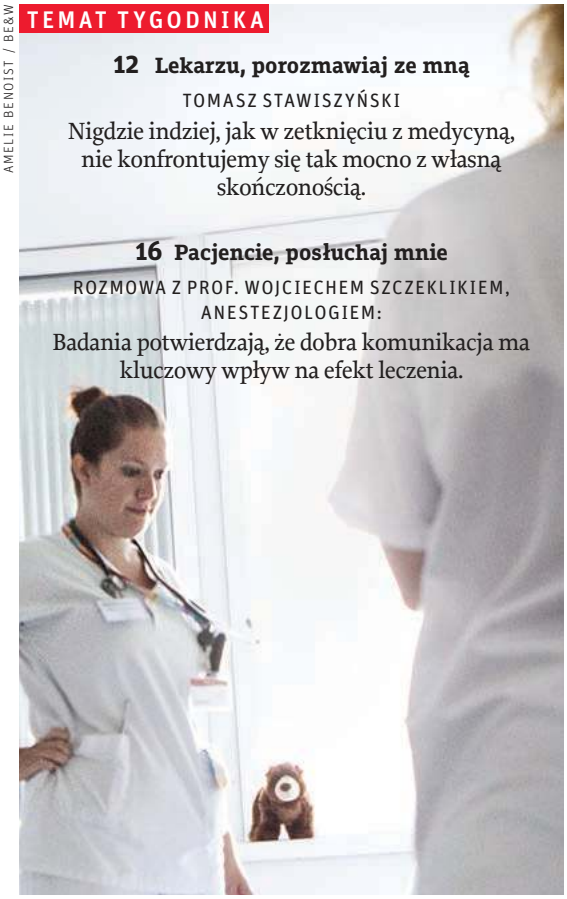

TEMAT TYGODNIKA

12 Lekarzu, porozmawiaj ze mną
TOMASZ STAWISZYŃSKI
Nigdzie indziej, jak w zetknięciu z medycyną, nie konfrontujemy się tak mocno z własną skończonością.

16 Pacjencie, posłuchaj mnie
ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM SZCZEKLIKIEM, ANESTEZJOLOGIEM:
Badania potwierdzają, że dobra komunikacja ma kluczowy wpływ na efekt leczenia.

FELIETONY

33 JACEK PODSIADŁO **42** WOJCIECH BONOWICZ
53 HANNA KRALL
80 JAN KLATA **81** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

51 Ile zarabia hiszpański kelner
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MALAGI: *Do tej andaluzyjskiej restauracji podania o pracę spływają codziennie*

HISTORIA

54 Reduta w podziemiach
PATRYCJA BUKALSKA

NAUKA

58 Ostatni trędowaci
BARTOSZ KABAŁA:
Choć to choroba całkowicie wyleczalna, tysiące pacjentów wciąż muszą się liczyć z ostracyzmem

KULTURA

64 Burza na wzgórzach
ROBERT KASPRZYCKI

68 Grupa wysokiego ryzyka
JAN BŁASZCZAK:
Warren Ellis, prawa ręka Nicka Cave'a, tłumaczy, dlaczego w muzyce warto szukać jedynie tego, co nieoczywiste

71 Powrót do gniazda
ADAM ROBIŃSKI:
Włodzimierz Puchalski, człowiek, na którym wychowało się kilka pokoleń polskich przyrodników, wciąż nie doczekał się biografii

74 Trzewia i umysł
ANITA PIOTROWSKA
o „Zbrodniach przyszłości" Davida Cronenberga

WAKACJE

76 Prostaczek i wąż
DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Leki na depresję to nie placebo
Mamy medialne zamieszanie. Tymczasem sprawa jest prosta: leki przeciwdepresyjne działają – choć nie do końca wiemy, w jaki sposób – pisze **PIOTR POPIK** | **powszech.net/placebo**

Dla kogo pisze Olga Tokarczuk?
Upomnienie się o to, że nie wszystko jest dla wszystkich, stanowi akt walki z populizmem, a nie pogardę dla ludzi „prostych" w sensie klasowym – pisze **JERZY SOSNOWSKI** | **powszech.net/olga**

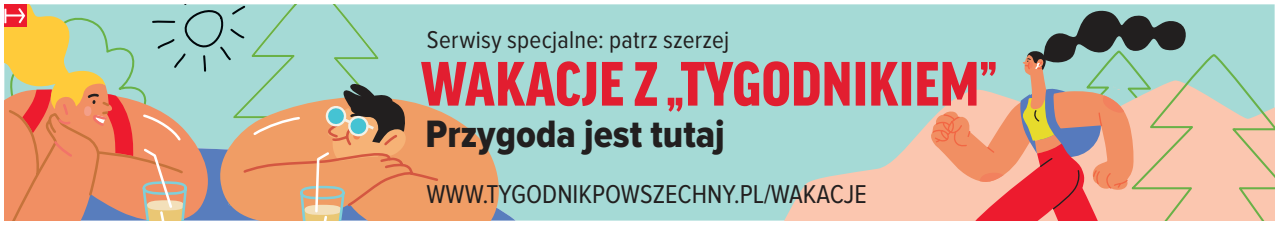

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PODRÓŻ PO POJEDNANIE

Tylko formalnie Franciszek przyleciał do Kanady na zaproszenie miejscowego episkopatu. Tak naprawdę nie został zaproszony, lecz wezwany – przez mieszkańców kraju.

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Papież Franciszek witany przez George'a Arcanda, wielkiego wodza Konfederacji Pierwszych Sześciu Narodów. Edmonton, Kanada, 24 lipca 2022 r.

Trwa najtrudniejsza, a jednocześnie może najważniejsza zagraniczna wizyta papieża Franciszka. On sam mówi o niej: „pielgrzymka pokutna". To podróż bezprecedensowa – bo po pojednanie. Papież przyleciał do Kanady, aby ukorzyć się w imieniu całego Kościoła powszechnego.

Warunki brzegowe są jasno określone. Papież ma uznać i przeprosić za rolę, jaką Kościół katolicki odegrał w zniszczeniu rdzennych kultur, w szczególności za system szkół z internatami dla rdzennych dzieci. W drugiej połowie XIX wieku sieć blisko 140 takich placówek wymyślił kanadyjski rząd, by u zarania państwowości brutalnie asymilować rdzennych mieszkańców. Placówki były najczęściej prowadzone księżowską ręką – niektórymi szkołami zarządzali duchowni protestanccy, lecz większość personelu pochodziła z katolickiego zaciągu.

Ostatnią taką szkołę zamknięto dopiero w 1997 r. – przez ten czas system wchłonął około 150 tys. rdzennych dzieci. W szkołach dochodziło do licznych aktów przemocy na uczniach – zarówno tej fizycznej, psychicznej i duchowej, jak też seksualnej. W 2015 r. państwowa komisja śledcza, zwana Komisją Prawdy i Pojednania, opublikowała raport dokumentujący skalę zła, jakie latami zadawano dzieciom. Pokazała również mechanizmy ukrywania sprawców przez Kościół.

Raport komisji uznał działania personelu za „kulturowe ludobójstwo" i wywołał w Kanadzie wstrząs. Komisja przygotowała też

tzw. mapę drogową i rekomendacje na przyszłość. Kilkutomowa publikacja zawiera 94 wezwania – jednym z nich są przeprosiny, jakie miałby zaoferować papież. Co ważne, nie poprzez wysłany z kurii list czy słowa przekazane ustami nuncjusza, lecz osobiście.

Choć więc formalnie papież przybywa do Kanady na zaproszenie miejscowego episkopatu, to tylko zwyczajowa kurtuazja. Tak naprawdę jest on nie zaproszony, lecz wezwany. Nie przez konferencję biskupów, lecz przez mieszkańców Kanady, niekoniecznie należących do Kościoła. Wezwali oni papieża, by osobiście, na miejscu, patrząc w oczy ocalałym ze szkół – przeprosił. Starali się o to od 7 lat. Papież Benedykt XVI odmówił wprost, papież Franciszek długo odmawiał w sposób zawoalowany. Ale uległ i presji, i faktom. Ubiegłoroczne doniesienia o szczątkach dzieci odnalezionych na terenie dawnych szkół prowadzonych przez Kościół obiegły cały świat. Wtedy sprawy przyspieszyły.

Ten numer „Tygodnika" idzie do druku w chwili, gdy papież wylądował już w Edmonton w prowincji Alberta. Co w Kanadzie powie, a co przemilczy – tego jeszcze nie wiemy. Cisza ma swoją wymowę i sporo waży – papież jest wytrawnym oratorem, umie więc dysponować milczeniem. Będzie ono równie wymowne, jak jego słowa.

Kanadyjczycy i Kanadyjki stawiają przed papieżem więcej zadań. Oczekują m.in. potępienia tzw. doktryny odkryć, deklaracji zwrotu rdzennych skarbów pozostających w Watykanie, a także zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone przez Kościół rdzennym Kanadyjczykom, szczególnie dzieciom. A to oznacza otwarcie kościelnej szkatuły.

Wbrew wcześniejszym zapowiedziom, papieża na lotnisku przywitał i szef rządu, Justin Trudeau, i reprezentująca głowę państwa, Elżbietę II, gubernator generalna Kanady Mary Simon. Jest ona pierwszą rdzenną kobietą pełniącą tę najwyższą godność w państwie. Po stronie przyjmującej widać ambiwalencję – jednocześnie napięcie i żal, gorycz i wzruszenie. Drzwi do pojednania zostały jednak uchylone. Tylko czy teraz Franciszek nie zawaha się w pół kroku? ©

Tekst ukończono 25 lipca. Aktualne komentarze z papieskiej pielgrzymki na **powszech.net/kanada**

NATHAN DENETTE / THE CANADIAN PRESS / AP / EAST NEWS

Leki na depresję to nie placebo

NOWY PRZEGLĄD BADAŃ skupiony wokół jednej z teorii tłumaczących przyczyny depresji wywołał medialne zamieszanie. 20 lipca w czasopiśmie „Molecular Psychiatry" opublikowano opracowanie wskazujące na brak dowodów na to, iż przyczyną depresji jest zbyt niski poziom serotoniny. Rozmaite media zinterpretowały to doniesienie w sensacyjny sposób, sugerując, że leki przeciwdepresyjne nie są skuteczne. Nagłówki krzyczą: „Leki z grupy SSRI jako chwyt marketingowy", „Efekt placebo". Trudno o bardziej szkodliwą wskazówkę dla pacjentów.

Serotonina jest jednym z ważniejszych neuroprzekaźników – substancji pośredniczących w przekazywaniu informacji w mózgu. U człowieka wpływa właściwie na każdy proces psychiczny: nastrój, emocje, pamięć, lęk, sen i czuwanie. Jednak żadnego z nich nie reguluje całkowicie.

Leki przeciwdepresyjne wpływają w różnym stopniu na różne neuroprzekaźniki. Np. starsze leki trójpierścieniowe podnoszą poziom wielu neuroprzekaźników jednocześnie, a także wpływają na inne substancje, co może wywoływać efekty uboczne. Dlatego odkrycie leków, które wybiórczo podnoszą stężenie serotoniny (tzw. selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny, SSRI), stanowiło przełom w leczeniu depresji. Nie z powodu ich wyjątkowej skuteczności, ale ze względów bezpieczeństwa – trudno je przedawkować w celach samobójczych.

Podnosząc poziom serotoniny, leki z grupy SSRI działają terapeutycznie: pacjenci po pewnym czasie przestają odczuwać objawy depresji. Ale nie oznacza to wcale, że w depresji mieli zbyt mało serotoniny. Podobnie: wiadomo, że morfina łagodzi ból, ale przecież nie dlatego, że cierpiącemu brakowało opioidów. Autorzy wspomnianego opracowania nie obalili zatem przekonania o skuteczności leków przeciwdepresyjnych – stwierdzili jedynie, że niedobór serotoniny nie powoduje depresji. Wielu naukowców od dawna jednak zakładało, że to zbyt uproszczona teoria.

Dlaczego zatem leki SSRI pomagają na depresję? Wciąż nie jest to jasne. Ponieważ serotonina jest ważna dla wielu procesów psychicznych, najprawdopodobniej pobudzenie serotoninowe wpływa na inny mechanizm o działaniu terapeutycznym. Depresja ma wiele twarzy – prócz SSRI istnieje wiele antydepresantów różniących się mechanizmem działania i skutecznością u różnych grup pacjentów. Czasami trudno jest znaleźć lek najlepszy dla danego pacjenta, ponieważ na skuteczność leczenia wpływają także inne czynniki – społeczne i środowiskowe. Zrozumienie neurobiologicznych przyczyn depresji pomoże nam w stworzeniu skuteczniejszych terapii. © PIOTR POPIK

Autor jest profesorem w Instytucie Farmakologii im. Jerzego Maja PAN w Krakowie. Nie jest związany z producentami antydepresantów.

Czy jesteśmy gotowi na jesienną falę zakażeń?

MAŁGORZATA SOLECKA

Polacy powyżej 60. roku życia, a także ci, którzy skończyli 12 lat i mają niedobory odporności, mogą już zapisywać się na czwartą dawkę szczepienia przeciw covidowi. Ministerstwo Zdrowia, które na początku lipca twierdziło, że z drugim tzw. boosterem wstrzymamy się do jesieni, zmieniło decyzję. I to mimo że nasze statystyki zakażeń są kilkudziesięciokrotnie niższe niż w Europie Zachodniej. Kłopot w tym, że „zawdzięczamy to" deficytom polityki testowania. Dlatego nie ma co zwlekać – to wiadomość dla tych, którzy przyjęli pierwszą dawkę przypominającą (w grupie 60+ zdecydowała się na to ok. połowa). Jeśli od szczepienia minęły już cztery miesiące, można – i, jak mówią specjaliści, wręcz trzeba – zgłosić się po kolejną dawkę.

Pozostali muszą czekać. Jak długo? Na co? Choć minister Adam Niedzielski mówi, że nowe szczepionki, dające prawdopodobnie nieco lepszą ochronę przed subwariantami Omikrona, mają być gotowe we wrześniu, to eksperci spodziewają się, że w Europie będą dostępne najwcześniej w drugiej połowie października. Pojawią się zapewne razem z nową falą zakażeń.

Fundamentalną kwestią dla przebiegu pandemii jest poziom zabezpieczenia najstarszych. W wielu krajach Unii Europejskiej wśród osób 80+ odsetek zaszczepionych (schematem podstawowym i pierwszym boosterem) zbliża się do 100 proc. Tymczasem 30 proc. polskich najstarszych seniorów nie zostało zaszczepionych w ogóle. ©

Wielki Orlen z dwóch perspektyw

TĘ FUZJĘ zaaprobował już rząd: Grupa Lotos połączy się z PKN Orlen. Sens tej operacji można ocenić na kilku płaszczyznach. Z operacyjnego punktu widzenia połączenie dwóch kontrolowanych przez państwo podmiotów z tej samej branży wydaje się uzasadnione. W nowej firmie państwo mieć będzie ok. 35 proc. udziałów. Przed fuzją kontrolowało tylko 27 proc. akcji Orlenu.

W kontekście wyzwań pojawiających się przed spółką silna ręka właściciela może się bardzo przydać. Drożyzna, jaka zapanowała na rynku paliw po ataku Rosji na Ukrainę, na razie napędza obu koncernom zyski. Modelowa marża rafineryjna Orlenu – czyli różnica między rynkową ceną paliwa i ceną ropy – tylko od stycznia do czerwca wzrosła z 3,7 do 34,4 dolara za baryłkę. Pamiętać trzeba również o odwrocie globalnej gospodarki od paliw kopalnych, który firmom naftowym daje góra dekadę-półtorej na zmianę modelu działania. Nawet po fuzji Orlen pozostanie branżową płotką, ale oddzielnie każda ze współtworzących go firm byłaby w obliczu tych wyzwań jeszcze słabsza.

Z perspektywy konsumenckiej i szerszej – geopolitycznej – połączenie budzi wątpliwości. Mniej stacji różnych marek to mniejsza konkurencja (nawet jeśli między Orlenem i Lotosem miała ona od pewnego czasu fasadowy charakter). Sytuację komplikuje wybór węgierskiej firmy MOL na nabywcę 417 stacji Lotosu. 610 mln dolarów, które Węgrzy zapłacą za wejściówkę na wielki polski rynek, trudno uznać za wygórowaną cenę, zwłaszcza że nie ma pewności, czy nie stoi za nimi Rosja. Chyba że PiS wraca do idei Jana Kulczyka, który z Orlenu, węgierskiego MOL i austriackiego OMV chciał lepić środkowoeuropejskiego giganta.

©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

BLOKADA

Prezes PiS Jarosław Kaczyński jeździ po Polsce i opowiada historie o byłym wójcie, który zbudował żłobki i przedszkola w każdej wsi, a nawet sklep, do którego wjeżdża się samochodem i bierze towar z półek. Rzeczywiście, w czasach walki z otyłością i zanieczyszczeniem powietrza jest to przykład wart promocji ze strony prezesa partii rządzącej.

ATAWIZM

Wielu dorastających w latach 70. i 80. było wyganianych do kolejki po cukier. Także w wakacje, nad ranem. Trauma jest w nas wciąż głęboka – wielu naszych rodaków na wszelki wypadek ruszyło do dyskontów, by nie stać w ogonkach, gdy cukru „już" zabraknie. Sklepy zmuszone były wprowadzić obostrzenia – 10 kg na klienta. Wszystko to w kraju, który jest jednym z największych producentów cukru.

KAROL PORWICH / EAST NEWS

ŻENADA

„Nawet Radomiak robi lepsze prezentacje zawodnikom" – skomentował jeden z internautów poziom promocji Roberta Lewandowskiego przez FC Barcelona, a zwłaszcza brak litery W, która na koszulkach snajpera zastępowana jest w firmowym sklepie Katalończyków odwróconym M. Nie do końca jednak wiadomo, czy autor chciał swym wpisem pogrążyć Barcę, czy Radomiaka?

Nie podzielimy się atomem

KRZYSZTOF STORY

Partia Razem zaproponowała, by Polska wydzierżawiła elektrownie jądrowe, które Niemcy chcą zamknąć. Sprawą zajęła się nawet sejmowa Komisja ds. Unii Europejskiej. Czy to realne?

Historia zna podobne przypadki. Po rozpadzie Jugosławii elektrownią w Krško podzieliły się Słowenia i Chorwacja. Tylko że w tym przypadku oba państwa są współwłaścicielami, a Krško leży 20 km od wspólnej granicy. U nas, nawet zakładając zgodę sąsiadów, problemy techniczne mogą być nie do pokonania. Teoretycznie do dyspozycji mielibyśmy 4 GW mocy. Tylko jak to przesłać do Polski? Mamy w sieci tylko dwa połączenia, jedno w okolicy Turowa, drugie pod Szczecinem. Trzecie jest dopiero planowane. W dodatku zgodnie z regulacjami unijnymi 70 proc. przepustowości musi trafić na wolny rynek, nie można jej zająć stałym przepływem z jednego źródła.

Propozycja partii Razem to raczej marzenie niż realna perspektywa, ale może być początkiem ważnych rozmów. Władze (nie tylko polskie) coraz częściej krytykują niemiecką politykę jako szkodliwą nie tylko dla klimatu, ale też bezpieczeństwa energetycznego. Można to próbować wykorzystać, zwłaszcza że nasz własny projekt jądrówki będzie musiał zaraz przejść konsultacje transgraniczne. Spodziewamy się w związku z tym protestów zza zachodniej granicy, bo Niemcy od dawna sprzeciwiają się atomowi w Europie. Z drugiej strony sąsiadom grozi kryzys gazowy i być może za chwilę będą potrzebować paliwa z polskich magazynów. Wynegocjowanie ustępstw dla polskiego atomu jest bardziej prawdopodobne niż dzierżawa elektrowni. Szczególnie teraz, gdy tyle się w Unii Europejskiej mówi o solidarności energetycznej. Fakt, każdy kraj rozumie ją inaczej, ale warto przynajmniej postarać się przybliżyć stanowiska. ©℗

Edukacja: napięcie na linii rząd-ZNP

GDYBY POLSKĄ rządził Senat, cieszący się wakacjami nauczyciele mogliby otwierać szampany. W zeszłym tygodniu izba wyższa parlamentu uchwaliła poprawkę do nowelizacji Karty Nauczyciela, zgodnie z którą każdy pedagog otrzymałby o 20 proc. wyższą pensję. Tryb warunkowy jest uzasadniony – decyzja ma wymiar symboliczny, bo rządząca większość ani myśli zgodzić się na te wydatki. Rząd przyznał od września większe uposażenia tylko nauczycielom wchodzącym do zawodu, zamrażając pensje pozostałym 80 proc. kadry.

Kilka dni wcześniej odbyły się rozmowy ZNP z wiceministrem edukacji i nauki. Związkowcy chcieli przekonać Dariusza Piontkowskiego do podwyżek i powiązania nauczycielskich uposażeń ze średnią krajową. Ten jednak stwierdził, że nie jest do podobnych rozmów upoważniony. Z kolei przedstawiciele ZNP oświadczyli, że może to oznaczać spór zbiorowy od drugiej połowy sierpnia, a w dalszej kolejności – nawet strajk. ©℗ PW

UKRAINIAN EMERGENCY SERVICE / AFP / EAST NEWS

POROZUMIENIE DLA ŚWIATA – tak António Guterres, sekretarz generalny ONZ, nazwał umowy, które Rosja i Ukraina podpisały w Stambule z ONZ i Turcją. Przewidują one, że Ukraina będzie mogła eksportować zboże bezpiecznymi „korytarzami" przez Morze Czarne. Tylko w silosach w Odessie i jej okolicy czeka 20 mln ton zbóż z ubiegłorocznych żniw – od lutego nie mogą być wywiezione z powodu rosyjskiej blokady. Rosja zobowiązała się nie atakować okrętów i portów, z których będą one wypływać. Następnego dnia po podpisaniu umów kilka rosyjskich rakiet spadło jednak na port w Odessie. Tymczasem w Ukrainie zaczęły się już żniwa. Na zdjęciu: usuwanie fragmentu pocisku rakietowego z pola pszenicy pod Mikołajowem, 22 lipca 2022 r. ©℗ WP

Złoty chłopiec finansów i nowa Żelazna Dama

PATRYCJA BUKALSKA

Albo Rishi Sunak, albo Liz Truss stanie na czele brytyjskiej Partii Konserwatywnej i, co za tym idzie, brytyjskiego rządu. Kto z nich wygra ten wyścig – były minister finansów czy szefowa dyplomacji? To się okaże 5 września.

Wybory nowego lidera torysów rozpoczęto po tym, jak 7 lipca dymisję złożył Boris Johnson. Początkową listę ośmiorga kandydatów konserwatyści zasiadający w Izbie Gmin redukowali stopniowo do dwojga; w ostatniej rundzie prowadzący od początku Sunak zdobył 137 głosów, a Truss 113. Teraz głosować będą wszyscy członkowie partii (180 tys. osób) i to oni podejmą ostateczną decyzję. A może ona zdecydować o przyszłości Partii Konserwatywnej, która pozostaje u władzy od 12 lat, ale za sprawą Johnsona i serii skandali wpadła ostatnio w tarapaty. Odzyskanie społecznego zaufania – i poparcia – to jedno z głównych zadań nowego przywództwa. Będzie to tym trudniejsze, że Brytyjczycy boleśnie odczuwają rosnące koszty utrzymania i inflację.

42-letni Sunak, ekonomista po prestiżowych studiach, resort finansów objął tuż przed pandemią. Wśród jego sukcesów jest szczodry program ochrony zatrudnienia i przedsiębiorstw z tego okresu. Zaszkodzić mu może krótkie doświadczenie w polityce – posłem został w 2015 r. (wcześniej pracował w banku i funduszach inwestycyjnych), a także... stan konta. Sunaka uznaje się za najzamożniejszego z posłów, jego żona jest córką indyjskiego miliardera. On sam podkreśla, że pochodzi z rodziny imigrantów, którzy na wszystko w nowej brytyjskiej ojczyźnie ciężko pracowali.

Z kolei 46-letnia Truss jest porównywana – i wydaje się, że sama chętnie te porównania generuje – do Żelaznej Damy, czyli premier Margaret Thatcher. Ma znacznie dłuższe doświadczenie rządowe niż Sunak (przeszła przez wiele resortów w rządach Davida Camerona i Theresy May), cieszy się dużym zaufaniem wśród konserwatystów, a jako szefowa dyplomacji dała się poznać jako zwolenniczka sankcji i twardego stanowiska wobec Rosji (jeśli wygra, taka polityka będzie zapewne kontynuowana).

W dotychczasowych rundach prowadził wprawdzie Sunak, ale w głosowaniu członków partii faworytką jest Truss – po odjęciu niezdecydowanych, mogła ostatnio liczyć na 62 proc. głosów, a Sunak na 38 proc. Przed obojgiem gorące kampanijne lato. ©℗

Davos szpiegów (i nie tylko)

W CIENIU GÓR SKALISTYCH, w amerykańskim Aspen, zakończyła się coroczna konferencja bezpieczeństwa. O ile w podobnym wydarzeniu organizowanym w Monachium biorą udział polityczni liderzy, o tyle Aspen to domena „wykonawców polityki": wojskowych i najważniejszych urzędników. W tym roku mówili głównie o wojnie w Ukrainie.

Zapytany wprost, kto ją wygrywa, szef brytyjskiego wywiadu zagranicznego (MI6) Richard Moore ocenił, że Rosja nie osiągnęła żadnego ze strategicznych celów: odsunięcia od władzy Wołodymyra Zełenskiego, zdobycia Kijowa i osłabienia jedności NATO. Jego zdaniem wydalenie z Europy ok. 400 rosyjskich szpiegów działających pod osłoną dyplomacji zmniejszyło możliwości wywiadowcze Kremla aż o połowę; zatrzymanie zaś przez polskie służby domniemanego rosyjskiego szpiega udającego hiszpańskiego dziennikarza pokazuje, że Moskwa ma kłopot z utrzymaniem siatki tzw. nielegałów (czyli agentów „uśpionych", zakonspirowanych w zachodnich społeczeństwach). Zbliża się dobry moment dla ukraińskiej kontrofensywy na południu kraju, a wojna „jest do wygrania" dla Ukrainy – oświadczył szef MI6. Na tym jednak skończył się jego optymizm; Moore przyznał też, że zachodnie wywiady nie mają żadnych informacji na temat choroby Putina, a zimowy kryzys energetyczny w Europie może zachwiać proukraińskimi nastrojami.

Z kolei Lisa Monaco, zastępczyni prokuratora generalnego USA, mówiła w Aspen o działalności REPO (Russian Elites, Proxies and Oligarchs) – międzynarodowej grupy prokuratorsko-policyjnej, której celem jest zajmowanie majątku kremlowskich oligarchów. Na jednym z jachtów znaleziono niedawno jedno z tzw. jaj Fabergé (warte miliony dolarów, wykonane ze złota na zamówienie cara Aleksandra III). Monaco ujawniła, że zaapelowała do Kongresu, by zajęte rosyjskie środki kierować bezpośrednio na wsparcie dla ukraińskiej armii.

©℗ MARCIN ŻYŁA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZMIANA

Status Opus Dei – jedynej prałatury personalnej (diecezji bez terytorium) – został przez Franciszka zmieniony z „hierarchicznego” na bardziej „charyzmatyczny”. Od 4 sierpnia nie będzie ono podlegać Dykasterii ds.Biskupów, tylko Dykasterii ds. Duchowieństwa, a prałat Opus Dei „nie powinien być honorowany święceniami biskupimi”.

ZGROMADZENIE

Od 26 lipca do 8 sierpnia ponad 600 biskupów anglikańskich, reprezentujących 85 mln wiernych będzie debatować w Londynie na 15. Konferencji Lambeth – najważniejszym zgromadzeniu Wspólnoty Anglikańskiej.

KLIMAT

W orędziu na wrześniowy Światowy Dzień Modlitw o Ochronę Świata Stworzonego papież wezwał narody do zmierzenia się z kryzysem związanym z klimatem i zmniejszaniem różnorodności biologicznej. Wsparł też założenia najbliższych szczytów klimatycznych – COP27 i COP15.

SKRUCHA

Z benedyktyńskiego opactwa w Fécamp w północnej Francji 1 czerwca zniknął złoty relikwiarz z czczoną w średniowieczu Krwią Chrystusa. Sześć tygodni później odnalazł się w kartonowym pudle na progu biura holenderskiego detektywa. Złodziej zorientował się, że nie będzie mógł zdobyczy sprzedać, a bał się zwrócić ją właścicielom.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

TIM DE WAELE / GETTY IMAGES

Tour de Lourdes

NAJSŁYNNIEJSZY WYŚCIG KOLARSKI świata zawitał do równie słynnego miasta – 18. etap tegorocznego Tour de France rozpoczął się przed sanktuarium maryjnym w Lourdes. To wprawdzie nie pierwsza wizyta kolarzy w tym miejscu, jednak tym razem wiązano z nią szczególne nadzieje.

Pandemia nadwyrężyła finansową kondycję pirenejskiego miasteczka – liczącego 13,5 tys. mieszkańców, a oferującego ponad 20 tys. miejsc hotelowych. W 2019 r. odwiedziło je 3,5 mln osób, rok później gości było tylko 800 tys., a w 2021 r. – 1,5 mln. Lokalne władze postanowiły więc promować Lourdes nie tylko jako miejsce pielgrzymkowe, ale też centrum turystyczno-rekreacyjne. Stąd zabiegi o ściągnięcie do miasta imprez sportowych oraz inwestycje w infrastrukturę rowerową i narciarską. Na zdjęciu: rozpoczęcie wyścigu przy figurze Matki Bożej w Lourdes, 21 lipca 2022 r. ©℗ EA

Dwie reakcje na doniesienia o patologii

NAJPRAWDOPODOBNIEJ czując się bezkarnym, rzecznik białostockiej kurii ks. Andrzej Dębski wysyłał wulgarne propozycje do przypadkowo poznanej na Facebooku młodej kobiety. Jego obsceniczne filmy opublikowała „Gazeta Wyborcza”. Metropolita białostocki abp Józef Guzdek zawiesił księdza we wszystkich pełnionych przez niego obowiązkach. Współpracę zerwała redakcja Audycji Katolickich TVP (ksiądz prowadził program dla dzieci „Ziarno”) i TVP3 w Białymstoku oraz klub Jagiellonia Białystok, którego był kapelanem. Abp Guzdek w rozmowie z „Wyborczą” przeprosił za zachowanie księdza, podziękował dziennikarzom za ujawnienie patologii i zapowiedział sankcje kanoniczne wobec duchownego. To samo powtórzył w liście do diecezjan.

Do redakcji „Wyborczej” zgłosiła się kolejna kobieta, która twierdzi, że także dostawała obsceniczne propozycje od ks. Dębskiego w 2018 r. i kilkakrotnie próbowała bezskutecznie zgłosić to ówczesnemu metropolicie abp. Tadeuszowi Wojdzie. Informacje te abp Wojda (obecnie metropolita gdański) w krótkim oświadczeniu nazwał „fałszywymi insynuacjami”. ©℗ ASK

Czy Watykan krytykuje Drogę Synodalną?

PIOTR SIKORA

W minionym tygodniu w biuletynie prasowym Watykanu ukazało się „Oświadczenie Stolicy Apostolskiej” na temat niemieckiej Drogi Synodalnej. Dziwna jest forma tego dokumentu: anonimowe oświadczenie nie należy do znanych gatunków kościelnych wypowiedzi. W konsekwencji nie wiadomo, jaką opublikowany tekst ma rangę prawno-doktrynalną.

Dziwna jest także jego treść. Sformułowana została w taki sposób, że wydaje się krytyką niemieckiej Drogi Synodalnej – tak też „oświadczenie” zostało powszechnie odebrane. Jeśli jednak wczytać się wnikliwie w tekst, to widać, że fragmenty zdające się najmocniej krytykować reformatorski ruch, w który zaangażowała się większość biskupów i aktywnych niemieckich katolików, powtarzają to, co znajduje się w statutach Drogi: jej postulaty co do zmian w praktyce i nauczaniu Kościoła nie obowiązują biskupów i wiernych, a to, co wymaga zgody na poziomie Kościoła powszechnego, jest przesyłane Stolicy Apostolskiej; a także, że niemiecka Droga Synodalna chce włączyć się w ogólnokatolicki Synod o synodalności.

Powyższy fakt zauważyli przewodniczący Drogi w swojej odpowiedzi na watykański dokument. Wskazali też, że anonimowe oświadczenie nie jest dobrą formą komunikacji wewnątrzkościelnej – choć namawia do włączenia się w Synod, nie jest wyrazem synodalnego sposobu funkcjonowania.

Pozostaje wciąż niejasne, kto stoi za watykańskim oświadczeniem. Dużo dają do myślenia w tej kwestii reakcje niemieckich przeciwników Drogi Synodalnej, którzy w swoim Kościele lokalnym pozostają w mniejszości. Dziękują oni Watykanowi za krytykę Drogi, a nawet ogłaszają, że „oświadczenie” stanowi jej koniec. Wiadomo, że w Watykanie są osoby, które krytykują niemieckich reformatorów i wspierają konserwatywną mniejszość. Czy one stoją za „oświadczeniem”? Trudno to rozstrzygnąć – dokument nie jest bowiem podpisany. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

CHARYTATYWNIE

Filmy fabularne i dokumentalne ukraińskich reżyserów można oglądać na platformie „Filmmakers for Ukraine". Pieniądze zebrane ze sprzedaży biletów zostaną przekazane artystom w trudnej sytuacji życiowej.

STRASZNIE

Niewyświetlane dotąd w polskich kinach filmy gatunkowe z całego świata zostaną zaprezentowane na początku sierpnia podczas Octopus Film Festival w Gdańsku. Seansów można się spodziewać w różnych punktach miasta, a organizatorzy obiecują, że miejsca projekcji będą korespondować z fabułą.

SENTYMENTALNIE

Fabryka Sztuki w Łodzi zaprasza na otwarte spotkania z artystami z Islandii. Już 28 lipca wystąpi kompozytorka i artystka multimedialna Katrín Helga Ólafsdóttir. A ponieważ Łódź świętuje właśnie 599. „urodziny", w programie obchodów znalazła się m.in. organizowana po 20 latach przerwy Parada Wolności. Pod koniec lat 90. była to jedna z największych imprez muzycznych w Polsce.

ZIMNO

58. już wyprawa polarna Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach wyruszyła na położoną na Morzu Arktycznym norweską wyspę Spitsbergen. Wyniki badań naukowców pozwolą lepiej prognozować skutki ocieplania południowego Spitsbergenu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

GAIL SCHOFIELD ET AL ANIMAL BEHAVIOUR

AGRESJA POPŁACA. Wśród gatunków terytorialnych znane jest zjawisko „przewagi własnego boiska" – starcie częściej wygrywa gospodarz, ponieważ jest bardziej zmotywowany do obrony terytorium. U żółwi morskich (*Caretta caretta*) występuje nieco inny trend. Żerują one na gąbkach, a każdy osobnik znajduje własny kawałek rafy. Unikają interakcji, ale jeśli do nich dochodzi, to połowa wiąże się z natychmiastową agresją. Jak ustalili Gail Schofield i współpracownicy, walki wygrywają osobniki bardziej agresywne – niezależnie od rozmiaru ciała czy czasu spędzonego na rafie. Większość jest w stanie utrzymać miejsce przez 2-3 lata. ©℗ ŁK

Szachy: mistrz świata zmienia reguły gry

MAGNUS CARLSEN od 2013 r. wygrał pięć kolejnych meczów o szachowe mistrzostwo świata. W ostatnim zwycięstwo przyszło mu najłatwiej. Szóstego nie rozegra.

Z jednej strony to opowieść o motywacji. Jeszcze przed Turniejem Pretendentów, który miał mu wyłonić rywala, Carlsen mówił, że się waha. Że nudzi go formuła meczu o mistrzostwo rozciągnięta na kilkanaście wielogodzinnych partii. Że zrobiłby wyjątek dla 19-letniego Alirezy Firuzdży, najzdolniejszego z nowego pokolenia graczy, którzy w życiu więcej partii rozegrali w internecie niż nad deską. Ale Firuzdża nie udźwignął presji.

Z drugiej strony – to opowieść o rewolucji. Carlsen to cyfrowy magnat, właściciel m.in. platformy Chess24.com, która organizuje i transmituje turnieje. To szachy epoki YouTube'a i Twittera: szybkie i atrakcyjne, oparte na intuicji, pełne zwrotów akcji, z zabawnym komentarzem arcymistrzów. Rezygnując z gry w meczu o mistrzostwo, Carlsen rzuca wyzwanie FIDE, światowej federacji. Chce, by to jego turnieje, a nie te oficjalne, miały większy rozgłos.

O opuszczony tron zagrają Jan Niepomniaszczij i Ding Liren. FIDE pewnie żałuje, że swoją szansę w ostatniej chwili zaprzepaścił Hikaru Nakamura. To już bardziej zawodowy youtuber niż gracz – codziennie setki tysięcy ludzi oglądają na żywo, jak rozwiązuje zadania szachowe, gra z przypadkowymi ludźmi, komentuje memy i analizuje poważne partie. Gdyby on został mistrzem, Carlsen miałby problem. ©℗ ŁK

Australia traci ssaki

POGARSZA SIĘ KONDYCJA ekosystemów kluczowych dla bioróżnorodności, tempo wymierania gatunków przyspiesza, a zmiany klimatu i urbanizacja mają katastrofalny wpływ na najcenniejsze siedliska – to główne wnioski z nowego pięcioletniego raportu o stanie środowiska opublikowanego przez Australię. Już sama data ukazania się go wywołała zamieszanie – konserwatywno-liberalny rząd Scotta Morrisona oskarżano o umyślne opóźnianie publikacji ze względu na majowe wybory parlamentarne (wygrała je opozycyjna Partia Pracy).

Z zebranych danych wynika np., że Australia straciła więcej gatunków ssaków niż jakikolwiek inny kontynent, liczba jej rodzimych gatunków roślin jest już niższa od gatunków obcych, a sezony pożarów stają się coraz dłuższe. Według autorów odwrócenie negatywnych trendów jest wciąż możliwe, ale będzie wymagać wyjątkowej koordynacji działań władz stanowych i federalnych oraz lepszej integracji tradycyjnej wiedzy ekologicznej rdzennych Australijczyków z praktykami ochroniarskimi.

© SZYMON DROBNIAK

TEMAT TYGODNIKA

LEKARZU, POROZMAWIAJ ZE MNĄ

Przeciążenie ochrony zdrowia, anonimowość szpitali, trauma kontaktu z systemem. Nigdzie indziej, jak w zetknięciu z medycyną, nie konfrontujemy się tak mocno z własną skończonością.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Za ogromnego monitora wystawał ledwie widoczny czubek głowy. „Proszę siadać", usłyszałem. Kłopotliwą ciszę zakłócały kliknięcia myszki i uderzenia palców w klawiaturę. Po dwóch, może trzech minutach padło krótkie: „Słucham?". Zacząłem więc starannie relacjonować wszystkie te zmiany samopoczucia z ostatnich dni, które zaprowadziły mnie do lekarskiego gabinetu. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek opowiedzieć, przerwał mi podniesiony, wyraźnie poirytowany głos: „Proszę tylko wymieniać objawy! Objawy!".

Cóż było robić, zdeprymowany wyliczyłem wszelkie odczuwane dyskomforty i funkcjonalne usterki. Do odgłosu klawiatury doszedł jeszcze na koniec szum drukarki – na stół, przy którym siedziałem, wypadły dwie recepty. „Do widzenia" – powiedziała beznamiętnie postać ukryta za komputerem, której twarzy przez te 10 minut ani razu nie udało mi się zobaczyć w całości.

Inny gabinet

Jakże inaczej wyglądała wizyta u homeopaty, do którego wybrałem się wiele lat temu za namowami bliskiego znajomego, starającego się przekonać mnie do tzw. medycyny niekonwencjonalnej.

Homeopata z uśmiechem powitał mnie przy drzwiach, zaproponował herbatę, a potem przez dwie godziny wypytywał o szczegóły związane nie tylko z fizjologią, ale także z moim sposobem widzenia świata, emocjami, relacjami z bliskimi, a nawet snami. Po skrupulatnym, życzliwym wywiadzie długo się zastanawiał, sięgał do tajemniczo wyglądających grubych i starych ksiąg, kartkował zeszyty pełne wykresów i ezoterycznych symboli.

Następnie, na małej kartce z efektownym logo, zapisał wiecznym piórem jakąś łacińską nazwę wraz z towarzyszącą jej cyfrą i literą. Oto właśnie, oznajmił, ten jeden jedyny lek, który kompleksowo odzwierciedla skomplikowany obraz moich objawów. I właśnie dlatego – zgodnie z alchemiczną zasadą *similia similibus curantur* (podobne leczy się podobnym), sformułowaną być może przez samego Paracelsusa – będzie stanowił panaceum na moje dolegliwości. Zarówno psychiczne, jak fizyczne, słowem: wszystkie – a nie tylko te konkretne, które przywiodły mnie do gabinetu.

Przyznam, że mimo mojego fundamentalnego sceptycyzmu, zadziałała na mnie ta aura. Nie na tyle wprawdzie, żeby ulżyć w zdrowotnych kłopotach – słodkie granulki odzwierciedlające rzekomo mój organizm ani trochę nie po-

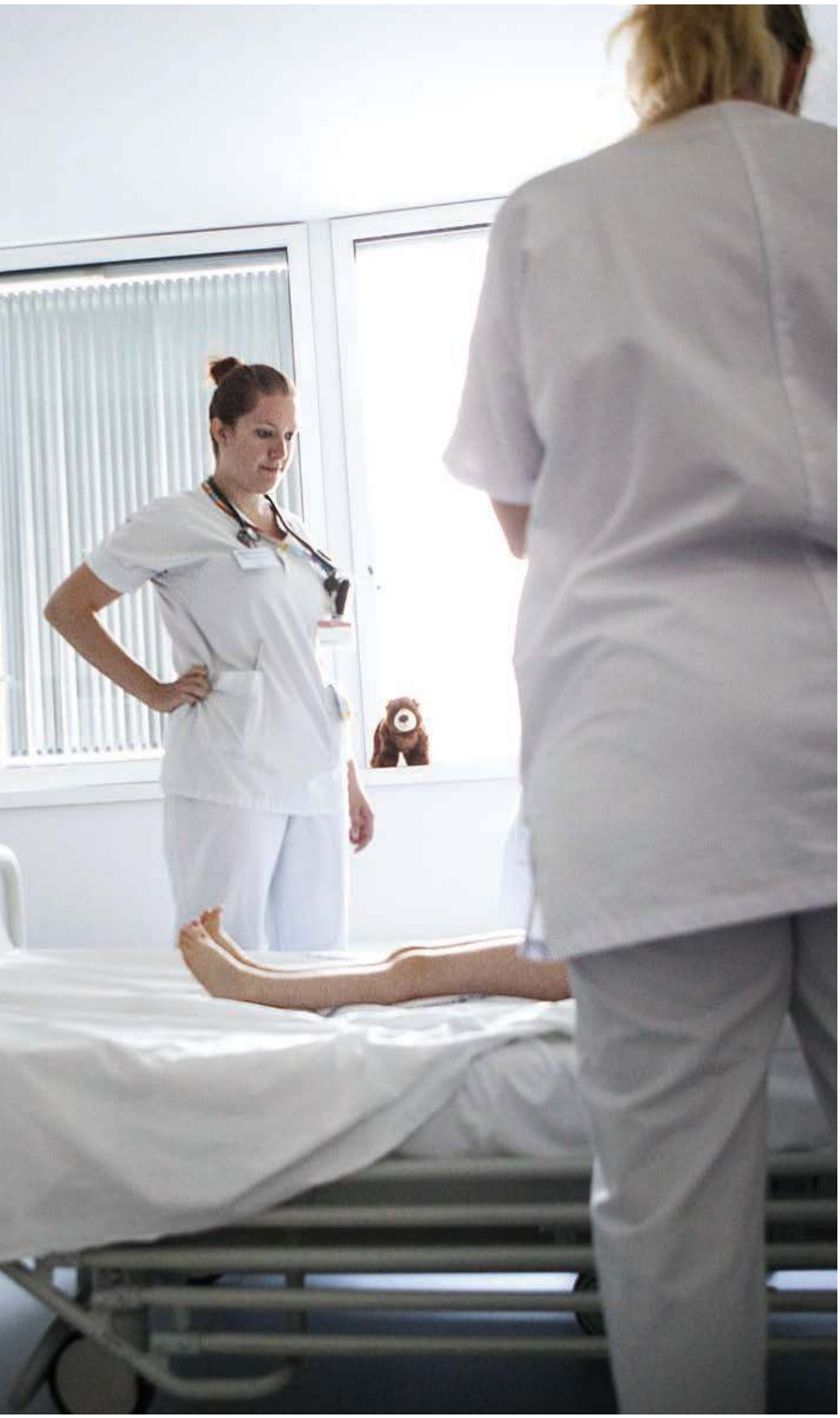

AMELIE-BENOIST / BE&W

mogły – albo uczynić mnie wyznawcą medycyny alternatywnej, ale z pewnością na tyle, żeby docenić psychologiczną moc takich praktyk.

Co się za nią kryje? Wiele wskazuje na to, że specyficzne miejsce, jakie zajęła we współczesnym świecie medycyna oraz oczekiwania, a może raczej pragnienia, które wobec niej – świadomie lub nieświadomie – żywimy.

Cudowne połączenie

Co najmniej od 2005 r., kiedy to na łamach „The Lancet" ukazała się obszerna metaanaliza przeprowadzona przez zespół pod kierunkiem prof. Aijing Shang z Uniwersytetu w Bernie, wiadomo, że homeopatia nie działa.

Nie działa zarówno dlatego, że w świetle współczesnej wiedzy działać nie ma prawa (gdyby bowiem działała, cała fizyka, chemia i biologia musiałyby wyglądać inaczej), jak i dlatego, że podawanie pacjentom środków homeopatycznych nie wykazuje żadnej widomej efektywności terapeutycznej powyżej znanego mechanizmu placebo. Wbrew pozorom, poprzednie zdanie nie jest wcale aż tak paradoksalne, we współczesnej medycynie obowiązuje wszak paradygmat *evidence-based* – nawet jeśli nie rozumiemy mechanizmu wpływu jakiejś substancji czy strategii terapeutycznej, nawet jeśli stoi on w sprzeczności z całą naszą wiedzą, to jeśli zachodzi, a pozytywy przewyższają negatywy – wolno takie leczenie stosować.

W przypadku homeopatii, długo traktowanej przez lekarzy z przymrużeniem oka, a w każdym razie milcząco tolerowanej, wszelkie wątpliwości zostały już rozwiane. Zarówno doktryna, jak i wytworzona na jej bazie praktyka są formą specyficznej iluzji – owszem, spójnej i na swój sposób atrakcyjnej, opartej bowiem na osobliwej mitologii, niemniej nieprzystającej do realnego świata.

Zarazem jednak ta iluzja wciąż ma się świetnie – podobnie jak wiele innych alternatywnych medycyn, których składnikiem są także rozmaite medyczne teorie spiskowe. Jak to możliwe? Przekonującej odpowiedzi udziela Jay W. Shelton, autor książki „Homeopathy. How It Really Works?". Daleki od prześmiewczego deprecjonowania tego zjawiska, jakkolwiek przekonany o braku efektywności ordynowanych przez homeopatów środków, Shelton zauważa niezwykłą – bo datującą się od 1796 r., kiedy to niemiecki lekarz Samuel Hahnemann sformułował jej fundamenty – żywotność tej dyscypliny. Nie ma sensu zakładać – twierdzi – że wszyscy stosujący homeopatię lekarze bądź znachorzy świadomie biorą udział w oszustwie. Z dużym prawdopodobieństwem obie uczestniczące w tym procesie strony – zarówno lekarze, jak i pacjenci – mają niekiedy wrażenie, że prowadzi on do jakichś dobrych skutków. Abstrahując od rozmaitych okoliczności towarzyszących, które sprzyjają poprawie – jak np. zalecenia zdrowego trybu życia, nawadniania się, unikania stresu albo okoliczność, że niektóre dolegliwości mijają po prostu ↦

↦ same z siebie – jest tutaj w grze jeszcze jeden, być może decydujący czynnik.

A mianowicie – kontekst. To właśnie, co mnie spotkało w gabinecie medycyny alternatywnej: głębokie zainteresowanie, a przede wszystkim upodmiotowienie. Złożenie rozczłonkowanych przez medycynę akademicką korpusu i psychiki na nowo w całość, którą przecież wciąż się czuję – zwłaszcza wtedy, kiedy z każdą częścią ciała muszę się udawać do innego specjalisty.

Specjalizacja jest oczywiście naturalną konsekwencją rozwoju wiedzy medycznej, nie zaś wyrazem jakiegoś intencjonalnego uprzedmiotowienia – niemniej w ten właśnie sposób może to przeżywać zdezorientowany pacjent. W gabinecie homeopaty dokonuje się natomiast ponowne złączenie – rozparcelowana, wyalienowana ze swojej fizyczności jednostka staje się integralnym organizmem, traktowanym jako psychofizyczna całość. Chorobę natomiast definiuje się jako zaburzenie specyficznej harmonii, którą można przywrócić, wyłącznie odnosząc się do indywidualnej, niepowtarzalnej tożsamości pacjenta, nie zaś stosując zdepersonalizowane procedury albo leki redukujące objawy.

Być może właśnie w takiej operacji psychologicznej, a może raczej w tego rodzaju rytualnej, symbolicznej formie kryje się atrakcyjność nie tylko homeopatii, ale i wszelkich innych – tak bardzo dziś popularnych – odmian tzw. medycyny niekonwencjonalnej czy „uzdrawiania"? Cóż więc z tego, że rozmaite środki alternatywne nie wykazują żadnego fizjologicznego działania, skoro spełniają tak fundamentalną rolę psychologiczną (co się niekiedy, owszem, przekłada także na fizjologię, w ramach wspomnianego efektu placebo)? Wprawdzie badania zaprezentowane w 2017 r. na łamach „Journal of the National Cancer Institute" wskazują, że ryzyko śmierci u osób stosujących leczenie „alternatywne" jest aż dwu i pół razy większe, aniżeli u leczących się konwencjonalnie, ale ludzki umysł nie takie dysonanse potrafi przecież świetnie zredukować.

Tyle że jest tutaj jeszcze coś więcej.

Troska ostateczna

Francuski filozof Jean-Paul Thomas w książce „La médecine, nouvelle religion" („Medycyna, nowa religia") stawia wcale nie tak znowu oryginalną tezę, że obecnie medycyna stopniowo zastępuje religię czy też – sama staje się religią. Nie w sensie literalnym oczywiście, nie chodzi o to, że szpitale zajmują miejsce kościołów, a lekarze zaczynają głosić Słowo Boże. Thomas – powtarzając skądinąd rozpoznania takich autorów, jak historycy Philippe Aries czy Michele Vovelle – twierdzi po prostu, że w radykalnie zsekularyzowanym świecie Zachodu, w którym nie ma już miejsca na życie wieczne, jedyną wizją transcendencji, na jaką możemy sobie pozwolić, jest wieczne życie w zdrowym, pięknym i młodym ciele.

Śmierć – co oczywiste – staje się w takim układzie wrogiem numer jeden, oznacza bowiem radykalną, nieodwracalną anihilację, na to zaś wychowana w kulcie indywidualizmu jednostka nie jest w stanie przystać. Właśnie dlatego wszystkie swoje siły inwestuje w fantazję o nieśmiertelności, a przynajmniej radykalnym przedłużeniu trwania swojej fizycznej powłoki. Że jest to – albo już za moment będzie – możliwe, upewniają ją postęp technologiczny oraz cały wachlarz środków pozwalających przeciwstawić się niektórym skutkom przemijania. Stąd – jak widać – krótka droga do religijnego z istoty zwrotu polegającego na tym, że to własne ciało, a nie abstrakcyjną i staromodną duszę zaczyna otaczać się „troską ostateczną" – by posłużyć się określeniem dwudziestowiecznego niemieckiego teologa i filozofa Paula Tillicha (który w ten właśnie sposób charakteryzował istotę religijności).

Kapłanem albo herosem, mogącym nas uchronić przed destrukcyjnym bezwładem śmierci, staje się więc lekarz, który przecież od początków istnienia medycyny broni integralności życia przed siłami rozkładu. Obrona ta staje się niezwykle żarliwa mniej więcej od czasów oświecenia, kiedy w zachodniej kulturze dochodzi do specyficznej przemiany światopoglądowych porządków. Kluczowy jest tutaj – jak przekonuje Georges Minois w fascynującej monografii „Ksiądz i lekarz" – przełom XVIII i XIX w. Wówczas jako osobna subdyscyplina medyczna konstytuuje się psychiatria. Początek istnienia tej specjalności to symboliczny punkt zwrotny, w którym medycyna zyskuje pełną niepodległość wobec religii – okazuje się bowiem, że także dusza, ostatni bastion wiary, może być badana i leczona niezależnie od teologów i kapłanów.

Wcześniej w historii te sfery – medycyna i religia – istniały w specyficznym mariażu, w którym pierwsze skrzypce grała zdecydowanie ta druga. Poczynając od starożytności, a więc od początków medycyny spod znaku Asklepiosa – przekonuje Minois – chorowanie i umieranie było sprawą bogów. To oni podejmowali decyzje, czy człowiek wyzdrowieje i przeżyje, lekarz spełniał wobec ich zamierzeń funkcję co najwyżej pomocniczą. Kierując się znajomością ludzkiego ciała i świata przyrody, łagodził cierpienie, diagnozował, odczytywał znaki, ale finalne rozstrzygnięcia nie były w jego rękach. Pojawienie się psychiatrii, co sprzęga się z upadkiem tradycyjnych religijnych narracji i rozwojem nauki ujawniającej coraz bardziej zagadkowy, podporządkowany prawom fizyki i ewolucji – nie zaś osobowej opatrzności – obraz świata, wszystkie te boskie prerogatywy związane z chorowaniem i umieraniem zaczynają stopniowo przemieszczać się na ślepą, bezosobową przyrodę. Oraz, a może przede wszystkim – na lekarza, który podejmuje z nią heroiczną walkę.

„Wraz z sekularyzacją medycyny – pisał amerykański psycholog James Hillman – nastąpiło odrealnienie bogów, a martwi bogowie nie są w stanie nikogo wyleczyć. Współcześnie tylko lekarz może leczyć, dlatego tak wiele na nim spoczywa, dlatego ciągle ponagla się go, by coś robił. Reprezentuje samego siebie, a uzdrawianie jest skutkiem jego działań. Dawniej był przedstawicielem bogów, biernie wypełniając ich zamiary".

Kiedy powiem sobie „dość"

Barbara Ehrenreich, jedna z najciekawszych współczesnych amerykańskich eseistek, skądinąd z wykształcenia biolożka molekularna, zszokowała przed kilkoma laty opinię publiczną, deklarując – przy okazji premiery swojej książki „Natural Causes" („Z przyczyn naturalnych") – że w wieku 75 lat czuje się już „wystarczająco stara, żeby umrzeć" oraz że nie planuje już dłużej poddawać się niektórym inwazyjnym badaniom czy procedurom medycznym. Trzeba umieć powiedzieć sobie dość – stwierdziła, co, jak się można domyślić, wywołało w przesiąkniętej kultem zdrowia i młodości kulturze amerykańskiej prawdziwy szok.

W „Natural Causes" Ehrenreich dokonała dość bezlitosnej wiwisekcji współczesnego kultu zdrowia, zwracając m.in.

uwagę na to właśnie głęboko w nas zakorzenione wyobrażenie, które uczyniło moją wizytę u homeopaty czymś tak ekscytującym i kojącym. Otóż ciało – stwierdziła – czy też raczej konglomerat ciała i umysłu, nie jest wcale harmonijną, zintegrowaną całością, której wszystkie elementy wypełniają pracowicie swoje zadania dla dobra ogółu. Tego rodzaju wizja daje, owszem, poczucie bezpieczeństwa – jest w niej zawarte zapewnienie o przenikającym ciało logosie, który można zidentyfikować i, w razie takich czy innych zakłóceń, przywrócić do stanu wyjściowej równowagi. Tyle że nie ma to nic wspólnego z prawdą. Ciało przypomina raczej konfederację poszczególnych elementów – tkanek, komórek, a nawet specyficznych schematów, wedle których działa mózg – które mają swoje własne agendy, co, nader często, jak np. w chorobie nowotworowej, prowadzić może do śmierci całego organizmu. Konkurencja, konflikt, wzajemna wrogość – oto pojęcia trafnie charakteryzujące to, co dzieje się w naszych ciałach, nie zaś wcale harmonia, współpraca i ład.

W tym sensie specjalizacja medycyny, podział na sekcje zajmujące się poszczególnymi narządami, ma sens głębszy, niż tylko wynikający wprost z ogromu wiedzy, jaki na temat ludzkiego organizmu udało się ludzkości zgromadzić. Zarazem ten obraz – ciała jako konfederacji, a nie konglomeratu, ciała jako potencjalnego siedliska chaosu i choroby, które bez żadnych logicznych uzasadnień mogą prowadzić i prowadzą do śmierci – musi być dla wszystkich, których nie zadowalają już tradycyjne religijne mitologie, trudny do wytrzymania. Dodajmy do tego charakterystyczne dla współczesnej medycyny jakości – przeciążenie ochrony zdrowia, anonimowość szpitali, poczucie alienacji czy traumę kontaktu z bezosobowym systemem. Nigdzie indziej, jak właśnie w zetknięciu z medycyną, nie konfrontujemy się tak mocno z własną skończonością i iluzją wszystkich tych hurraoptymistycznych opowieści budujących w nas mylne przekonanie, że nasze życie będzie trwało w nieskończoność.

> Specjalizacja jest konsekwencją rozwoju medycyny, a nie wyrazem intencjonalnego uprzedmiotowienia – niemniej w ten właśnie sposób może ją przeżywać zdezorientowany pacjent.

Może zatem właśnie dlatego rośnie popularność rozmaitych medycyn alternatywnych oraz teorii spiskowych przekonujących, że to wszystko nieprawda – świat i ludzkie ciało nie są strukturami chwiejnymi, podatnymi na chaos, a jeżeli w ogóle zachowującymi równowagę, to jedynie tymczasowo? Budujących w nas przekonanie, że przewidywalność i stabilność nie są tylko fantazjami czy raczej głębokimi tęsknotami (których źródeł św. Augustyn upatrywał w pragnieniu duszy dążącej do jedności z Bogiem, Freud zaś w specyficznej pamięci o pierwotnej jedności z matką), lecz że da się je osiągnąć tu i teraz. Wytwarzających poczucie wyjątkowości i niezwykłości – towar deficytowy we współczesnej kulturze, w której czujemy się często zbędni i nieważni.

Wreszcie – sugerujących, że jest jeszcze coś więcej, że rzeczywistość, którą postrzegamy pięcioma zmysłami i którą w tak pozbawiony złudzeń sposób odmalowuje dzisiejsza fizyka i biologia (a także medycyna), to nie wszystko, bo jest jeszcze jakiś jej inny, niewidzialny wymiar, do którego da się dotrzeć, jeśli się wie, jak to zrobić.

Że, innymi słowy, istnieje jakiś jeden lek, jakaś słodka granulka o tajemniczo brzmiącej nazwie składającej się z łacińskich słów, cyfr i liter. Granulka, zgodnie z prawem metafizycznego pokrewieństwa, stanowiąca idealne panaceum na wszystkie trapiące nas problemy (czy raczej: objawy! objawy!), z którymi nie jesteśmy sobie w żaden sposób w stanie poradzić i dlatego wciąż poszukujemy środków pomagających o tym wszystkim skutecznie zapomnieć.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

CONRAD FESTIVAL

Natura przyszłości

całoroczny cykl rozmów Grzegorza Jankowicza

O prywatności. Spotkanie z LAUREN GROFF

- Dlaczego dziś prywatność jest problemem politycznym?
- Jaki wpływ na możliwość jej zachowania mają warunki społeczne i ekonomiczne?
- Czy w religijnej formie życia jest miejsce na prywatność?
- Jaki jest związek między krajobrazem a możliwością uszczelnienia granic własnego świata?
- Jak regulowano prawo do prywatności w średniowieczu?

FOT. MEGAN BROWN

transmisja: **czwartek | 28.07. | 19.00 | /TygodnikPowszechny**

dofinansowanie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

partner strategiczny allegro

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Pacjencie, posłuchaj mnie

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, ANESTEZJOLOG:

Nawet jeśli dobrze wiemy, że komunikacja ma kluczowy wpływ na efekty leczenia, to w biegu i nadmiarze obowiązków zaniedbujemy relację z pacjentem.

MACIEJ MÜLLER: Operowali mnie, ale nikt mi nie powiedział, jak przebiegł zabieg. Lekarz rodzinny obsłużył mnie w kwadrans i głównie wklepywał dane do komputera. Internista coś mi tłumaczył, ale zrozumiałem z tego tylko spójniki... Takie opowieści się mnożą. A czy Panu zdarza się być pacjentem i nie dogadywać z lekarzem?

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK: Na szczęście wiele nie choruję i nie przechodziłem poważnych zabiegów, poza operacją kolana. Ale lekarze powiedzieli mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć, zarówno na temat samego zabiegu, jak i tego, czego powinienem oczekiwać i jak się rehabilitować. Oczywiście wiem, że tych wyjaśnień często brakuje.

Bywa, że lekarze rozpoznają np. przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. Po tygodniu czy dwóch stan pacjenta się poprawia i wychodzi do domu. Ale nieraz nikt mu nie wyjaśni, czym grozi ta choroba. Że jeżeli nie odstawi papierosów, wkrótce będzie wymagał podawania tlenu, a w końcu doprowadzi się do śmierci.

Znajomy wyszedł do domu po wycięciu raka prostaty i nie otrzymał właściwie żadnych informacji o operacji, a o wskazówki, co dalej, musiał się dopraszać.

W sytuacji, kiedy lekarz prowadzący decyduje się na tak poważną interwencję, pacjent powinien otrzymać na jej temat wszelkie informacje. Dlaczego tak się nie dzieje? Często z prozaicznych powodów. Nawet jeśli dobrze wiemy, że komunikacja ma kluczowy wpływ na efekty leczenia, to w codziennym biegu, braku czasu, nadmiarze obowiązków zaniedbujemy relację z pacjentem. Jest też druga strona medalu: pacjent jest wyrwany ze swojego środowiska, znajduje się w obcym miejscu, boi się o zdrowie i życie, jest pod wpływem leków, a jedyne, o czym marzy, to żeby jak najszybciej wyjść do domu. Nawet gdy ktoś z personelu do niego przyjdzie, to często zarzuci go niezrozumiałymi medycznymi określeniami, które niczego nie tłumaczą, a już na pewno nie podpowiedzą, co dalej.

Ja jestem w gabinecie tak spięty, że mam problem z zapamiętaniem tego, co lekarz do mnie mówi, nawet jeśli posługuje się zrozumiałym językiem.

To naturalne. Pracuję na oddziale intensywnej terapii i często mi się zdarza tłumaczyć rodzinie chorego po kilka razy te same kwestie. Ważne, żeby dostosować język do tego, co może zrozumieć odbiorca. Każdy ma też inne potrzeby. Mnie interesowałaby technika, jakiej zamierza użyć chirurg, inni zapytają raczej o to, jak długo potrwa operacja, czy po wybudzeniu będą coś pamiętali, czy później będzie bolało, jak szybko wrócą do sprawności.

Wiem, że przytoczone przeze mnie na początku historie o lekarzach mają swój rewers: opowieści o roszczeniowych pacjentach...

Tak, one często wychodzą w rozmowach między lekarzami i każdy z nas chętnie coś dopowiada. Moim zdaniem to niepotrzebne wymiany zdań, które prowadzą do uprzedzeń, szczególnie wobec tych pacjentów, którzy chcą wiedzieć więcej. Uważam, że mają do tego prawo, nawet jeśli ich pytania są uciążliwe, wyjaśnienia zajmują nam dużo czasu i mamy wrażenie, że powtarzamy w kółko to samo. Większość wytaczanych lekarzom spraw sądowych wynika tak naprawdę ze złej komunikacji. Jeśli od początku poświęcamy czas choremu i jego rodzinie, pozwy się nie zdarzają, bo wszelkie nieporozumienia rozwiązujemy na bieżąco.

Na konferencjach medycznych często można usłyszeć slogan, że pacjent powinien być partnerem w leczeniu.

I taka jest prawda. Nie zawsze to, co nam się wydaje dla chorego najlepsze, rzeczywiście takie będzie. Staramy się wytłumaczyć pacjentowi, jakie istnieją możliwości terapii, pytamy, czego od nas oczekuje, i szukamy wspólnej płaszczyzny. Często również mamy możliwość wyboru między terapią interwencyjną a zachowawczą. Łatwo o pokusę, by pokierować pacjenta na ścieżkę właściwą według naszego przekonania – i o rozminięcie się z jego oczekiwaniami. Czasem mówię, co bym sam zrobił w ich sytuacji.

Współczesna medycyna zdecydowanie idzie w kierunku takiego partnerstwa. Zasiadam w kilku gremiach sporządzających wytyczne leczenia różnych chorób. Jednym z wymogów tworzenia takiego panelu jest zaproszenie przedstawiciela pacjentów. To się nazywa z angielska *patient-centered-medicine*. To podejście stawia na pierwszym miejscu oczekiwania chorego. Ono w Polsce jeszcze raczkuje, ale taka jest przyszłość medycyny.

Przecież to brzmi jak praktyczne zastosowanie starożytnej zasady *„salus aegroti suprema lex”* (dobro pacjenta najwyższym prawem), obecnej zresztą w przysiędze lekarskiej... Może świat lekarski raczej do czegoś wraca, niż coś odkrywa?

To prawda. Miarą tego, czy medycynę można uznać za nowoczesną, jest jej skoncentrowanie na pacjencie. Podczas dwóch dekad pracy obserwuję w tym względzie sporą zmianę. Dobrze pamiętam intensywną terapię zupełnie zamkniętą dla rodzin. Dla nas jest oczywiste, że ich udział w leczeniu jest nieodzowny. Za tym, że współdziałanie z pa-

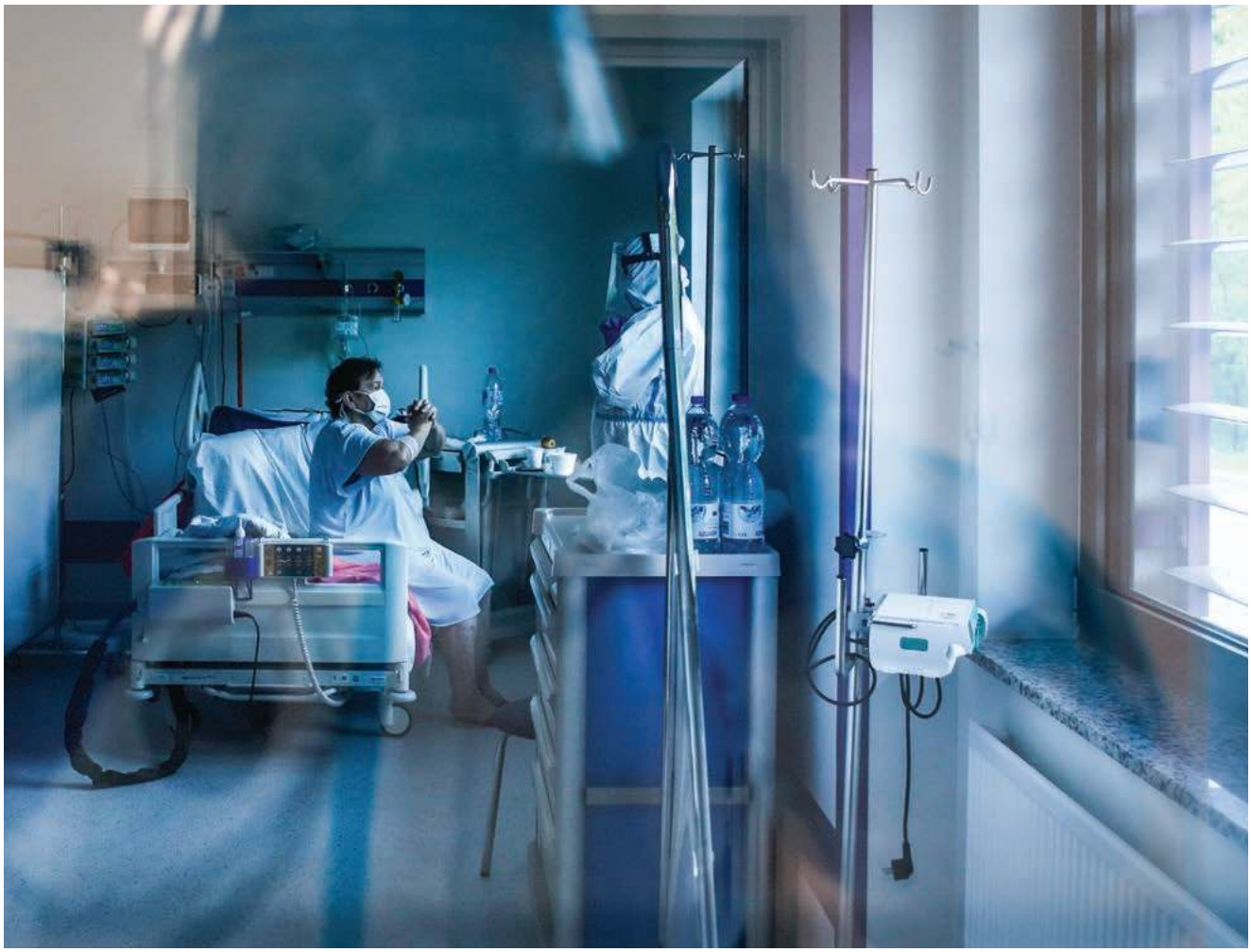

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

cjentem wpływa na efekt leczenia, stoją zresztą mocne dowody naukowe.

Mnie wychowywano jeszcze w duchu paternalizmu cechującego poprzednie pokolenia lekarskie. To model, w którym młodsi lekarze podczas obchodu idą sznurem za profesorem, a potem przekazują pacjentom jego decyzje. W wielu szpitalach, niestety, tak to dalej wygląda, ale na szczęście taki obraz odchodzi w przeszłość.

Stawka dobrej komunikacji jest wysoka, bo jest nią wyzdrowienie.

A jej brak może doprowadzić do większego cierpienia. Na intensywnej terapii jesteśmy w stanie zastąpić właściwie każdy narząd. Bywa, że nadużywamy maszyn. Tymczasem niejeden umierający pacjent bardziej skorzystałby z ostatnich dni życia, pozostając w domu z bliskimi. Gdyby rozmowa o tym, czego on potrzebuje od medycyny, odbyła się wcześniej, niż doszło do ucisku klatki piersiowej i resuscytacji w szpitalu, oszczędziłoby to cierpienia jemu i jego rodzinie. Dla wielu osób ważniejsze jest, by dożyć swoje życie w spokoju wśród bliskich, niż trafić na intensywną terapię.

Pacjent powinien też wiedzieć, że nawet jeśli lekarzom uda się uratować mu życie, to może już nigdy nie wrócić do takiego funkcjonowania, jak wcześniej.

W Kodeksie Etyki Lekarskiej czytam, że „lekarz powinien życzliwie i kulturalnie traktować pacjentów, szanując ich godność osobistą, prawo do intymności i prywatności", że „relacje między pacjentem a lekarzem powinny opierać się na ich wzajemnym zaufaniu", że „obowiązkiem lekarza jest respektowanie prawa pacjenta do świadomego udziału w podejmowaniu decyzji dotyczących jego zdrowia" i że „informacja udzielona pacjentowi powinna być sformułowana w sposób dla niego zrozumiały". To wszystko zakłada, że jest relacja, że jest rozmowa.

Świat lekarski jest jak każda duża korporacja: bywa w nim lepiej i gorzej. Wszyscy o tych zasadach wiemy, nie każdy je stosuje. Jeden ze względu na paternalistyczne przekonania, drugi z braku czasu. Trzeci porozmawia z pacjentem, ale w biegu, na korytarzu, nie patrząc w oczy. Na szczęście jest też bardzo dużo koleżanek i kolegów, którzy do prawidłowej komunikacji przywiązują duże znaczenie. Jestem przekonany, że to absolutnie kluczowe i w moim przypadku rozmowa z rodzinami i pacjentami zajmuje ponad połowę czasu, który spędzam w szpitalu.

O czym Pan z nimi rozmawia?

Na ogół o tematach najtrudniejszych, bo na intensywną terapię trafiają pacjenci w bezpośrednim zagrożeniu życia. ↦

↦ Ich serce czy płuca przestają funkcjonować. Zastępujemy je maszynami, lekami i próbujemy w tym czasie leczyć chorobę, która doprowadziła do dysfunkcji. Pacjenci często są nieprzytomni i kontakt z nimi jest znikomy. Bliscy, kiedy dowiadują się o ich ciężkim stanie i rokowaniach – są w szoku. Podczas wizyty idą do chorego, a potem do lekarzy, bo chcą usłyszeć, co się dzieje. Tłumaczymy, na czym polega działanie respiratora, poszczególne zabiegi. Ale też: co się od wczoraj zmieniło, czego można oczekiwać. I co oni mogą zrobić.

W zeszłym tygodniu trafił do nas młody chłopak po wypadku na motorze, w jego mózgu powstał duży krwiak. Po operacji otrzymał leki, które wprowadzają w tzw. śpiączkę farmakologiczną. Później się je wycofuje, by sprawdzić, na ile mózg odzyskuje swoje funkcje. Bliscy przychodzili codziennie i siedzieli przy nieprzytomnym. Kiedy rozmawiali ze mną, pytałem, czy zaobserwowali coś nowego – bo bywa, że lekarzom coś umyka. Oni z kolei dopytywali, czy mogą do chorego mówić albo puszczać mu muzykę. Mówiłem, że nie ma wprawdzie silnych dowodów medycznych na skuteczność takich działań, ale jeśli uważają, że to pomoże, niech tak zrobią. Razem szukaliśmy drogi.

Komunikacja a system

WEDŁUG RAPORTU NIK z końca 2021 r. prawie jedną trzecią część czasu porady lekarskiej zajmuje prowadzenie dokumentacji medycznej i wykonywanie czynności administracyjnych (a często chodzi o obowiązki luźno związane z ochroną zdrowia). Wiele poradni – punktowali kontrolerzy Izby – nie zapewnia lekarzom wsparcia asystentów czy sekretarek medycznych ani nie wykorzystuje w pełni możliwości dawanych przez narzędzia informatyczne. W rezultacie „wklepywanie danych" spada na lekarzy, kosztem czasu, który powinni poświęcić pacjentowi. Lekarz musi w ciągu kwadransa (tyle średnio przypada na wizytę) przeprowadzić wywiad medyczny, badanie, wypisać recepty i skierowania, a wszystko to udokumentować w długich i mało przejrzystych formularzach. Pewną nadzieją jest trwający proces cyfryzacji ochrony zdrowia, a więc i automatyzacji obiegu informacji.

ROZWIĄZANIEM systemowym niosącym szansę poprawy komunikacji na linii lekarz–pacjent jest tzw. opieka koordynowana. NFZ zasadniczo opłaca procedury lekarskie (świadczenia) i nie interesuje się całością opieki nad chorym. Problem ten często jest streszczany słowami, że „system nie widzi pacjenta". W modelach opieki koordynowanej (w Polsce działają już np. w zakresie leczenia zawałów czy otyłości olbrzymiej) opłacany jest natomiast cały proces leczenia: od diagnostyki, przez terapię, po rehabilitację, a ośrodki medyczne są premiowane za dobre wyniki (np. długą przeżywalność po zabiegu). Pacjent ma zapewnioną opiekę koordynatora leczenia i nie musi na własną rękę błąkać się po specjalistach. Placówkom medycznym opłaca się więc dbać o jakość opieki, której kluczowym elementem jest komunikacja z pacjentem. Zdaniem sceptyków profity finansowe nie powinny być jednak warunkiem zachowań, które są elementem sztuki medycznej i wynikają z zasad etyki lekarskiej.

WIELU EKSPERTÓW wskazuje, że decydenci powinni wspomóc lekarzy przede wszystkim zapewniając im wsparcie psychologów, rehabilitantów, dietetyków czy tłumaczy. Inną postulowaną od lat zmianą jest wprowadzenie rejestrów medycznych umożliwiających ocenę wyników leczenia, np. grupujących oddziały szpitalne według wskaźników wyleczalności, przeżywalności czy poziomu zadowolenia pacjentów.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Obudził się?

Tak. I pamiętał, że puszczali mu muzykę.

Wie pan, co jest jeszcze ważne w przypadku pacjentów krytycznie chorych? Kwestia wiary. To istotny element procesu leczenia. Jeśli dla pacjenta i jego bliskich religia jest ważna, zapewniamy im wsparcie kapelana i sami też, bez względu na własne przekonania, nie uciekamy od rozmów na te tematy.

Jak widać, rozmowy na oddziale wykraczają daleko poza kwestie medyczne. Czasem czujemy się w obowiązku powiedzieć rodzinie: doceniamy, że przychodzicie tu codziennie i przesiadujecie przy chorym do wieczora, ale powinniście pomyśleć też o sobie, bo inaczej zaszkodzicie własnemu zdrowiu.

A co, kiedy trzeba komuś powiedzieć, że jest śmiertelnie chory? Że został mu rok życia?

Według zapisów Kodeksu Etyki, które pan przytoczył, każdy ma prawo do takiej informacji. Pytanie jednak, czy każdy chce ją usłyszeć. Ważne, w jakich okolicznościach ktoś przekaże pacjentowi tę informację, jakimi słowami, czy go wesprze, czy też zostawi z tym brzemieniem samego. W polskich szpitalach niestety trudno o psychologa. Ciężar rozmowy spada na personel lekarski, niekoniecznie do tego przygotowany.

20 lat temu może w 1/3 przypadków informowano pacjenta o nieuleczalnej chorobie. Czasem mówiono o tym tylko rodzinie, czasem kluczono w przeświadczeniu, że lepiej, jeśli pacjent nie wie. Rzeczywiście zdarza się, że pacjent nie chce wszystkiego wiedzieć. Mówi: ufam panu, niech pan robi, co uważa, ale nie chcę znać szczegółów. Albo: niech pan powie żonie, synowi. I to prawda, że u niektórych chorych informacja o złym rokowaniu sprawia, że zaczynają gasnąć w oczach, ich stan pogarsza się z dnia na dzień. Dlatego zamiast walić z grubej rury, że „ma pan raka płuca, przeżyje pan najwyżej rok" – raczej trzeba pacjenta przygotować do udźwignięcia tej wiadomości. Mówimy więc, że widzimy guzek w płucu, że potrzebna jest dalsza diagnostyka. Potem, że czekamy jeszcze na takie czy inne markery. I w końcu dochodzimy do słowa: nowotwór.

Czyli ten okres niepewności sztucznie się przedłuża?

Nie ująłbym tego w taki sposób. Czasem, patrząc na klisze rentgenowskie płuc czy wyniki tomografii, lekarz nie ma wątpliwości, że chodzi o nowotwór. Ale często dzieje się to w takiej sytuacji, że pacjent zgłosił się z przewlekłym kaszlem, zrobiliśmy zdjęcie, patrzymy – i to, co widzimy, na pewno jest tym, o czym myślimy. Nie możemy mu o tym z miejsca powiedzieć. Szukamy jeszcze potwierdzenia. Co zresztą jest potrzebne, żeby wybrać sposób leczenia. Surowe, bezduszne przekazanie diagnozy może zabić. Najgorzej, jeśli do przekazania takiej informacji dojdzie w sposób niekontrolowany. Kiedy np. do chorego przychodzi konsultant i mówi głośno, że „ma skonsultować tego pacjenta z rakiem płuca".

Był Pan szkolony do prowadzenia takich rozmów?

Dzisiaj studenci mają zajęcia przygotowujące ich do trudnych sytuacji. Uczestniczą w nich aktorzy odgrywający np. pacjenta w żałobie, pacjenta agresywnego czy pacjenta śmiertelnie chorego. Wspólnie z instruktorem studenci próbują wypracować optymalne zachowania. Ja kończyłem studia 20 lat temu, wtedy nie było żadnych tego typu ćwiczeń. Uczyłem się, podpatrując mistrzów: w jaki sposób starsi lekarze, których uważałem za autorytety, dobierali słowa, jakie stosowali gesty. Mój dziadek, prof. Edward Szczeklik, prowadził zeszyciki, w których notował wszelkie wiadomości o pacjentach. I wizytę zaczynał od pytania: „Czy nadal pan chodzi na spacery wokół Plant ze swoim psem?" (imię psa też miał zapisane). Chory od razu czuł, że doktor go zna i że można mu zaufać.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK jest kierownikiem Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie. Ma specjalizacje z chorób wewnętrznych, anestezjologii i intensywnej terapii oraz immunologii klinicznej.

Miarą tego, czy medycynę można uznać za nowoczesną, jest jej skoncentrowanie na pacjencie. Za tym, że współdziałanie z nim wpływa na efekt leczenia, stoją mocne dowody naukowe.

Chce Pan powiedzieć, że lekarz wcale nie jest od tego, żeby z pacjentem rozmawiać tylko o zdrowiu?

Jak najbardziej. Lekarz musi po prostu lubić ludzi. Musimy wyjść z hermetycznego świata, medycyna to nie tylko książki do fizjologii i anatomii – ale także sztuka, kultura. Powinniśmy się w tych kategoriach dobrze orientować, bez nich trudno otworzyć się na człowieka, zrozumieć go. W to, że łączenie medycyny z humanizmem jest bardzo ważne, głęboko wierzył mój ojciec, prof. Andrzej Szczeklik. Jego też podpatrywałem w sztuce słuchania pacjenta. Na studiach mnie uczyli, że jeśli wywiad medyczny (swoją drogą, cóż to za określenie!) schodzi na boczne tory, lekarz powinien umiejętnie wrócić do kwestii objawów chorobowych. Mój ojciec postępował przeciwnie: przysiadał na łóżku chorego i pozwalał mu mówić. Podkreślał, że nawet jeżeli z naszego punktu widzenia to tylko kolejny chory, na czas tego spotkania musimy mu pozwolić odczuć, że jego problemy są dla nas najważniejsze. Musi wiedzieć, że nam zależy i zrobimy co w naszej mocy, żeby mu pomóc.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Czerwona jałówka

Z pustego to i Salomon nie naleje. „Wszystko to doświadczyłem mądrością; powiedziałem sobie: chcę mądrość osiągnąć, ale pozostała daleką ode mnie” (Koh 7,23; Cylkow; koniec alternatywnie: „ale to jest dalekie ode mnie”) – uskarżał się najmędrszy z ludzi. Tak zinterpretował słowa króla w midraszu rabin Izaak: wszystko opanowałem, ale w przypadku czerwonej jałówki – badałem, wnikałem w to i zgłębiałem. Wydawało mi się, że pojmę, ale to mi się wymyka. Czego nie był w stanie zrozumieć Salomon?

Na początku 19. rozdziału Księgi Liczb Najwyższy poucza Mojżesza i Aarona: „Oto ustawa zakonu [hebr. *chukat haTora*], którą ustanowił Wiekuisty, mówiąc: powiedz synom Israela, aby przywiedli do ciebie jałowicę czerwoną, zdrową, któraby nie miała wady, na którejby nie postało jarzmo” (wers 2). Zwierzęciem zajmie się Eleazar – syn Aarona, wicearcykapłan: ową szczególnie umaszczoną dziewiczą krowę należy poza obozem zarżnąć i spopielić w całości, po czym dorzucić do pogorzeliska drewna cedrowego, hyzopu i karmazynowej nici. „I zbierze człowiek czysty popiół jałowicy i złoży go po za obozem na miejscu czystém, a będzie on dla zboru synów Israela przechowywany do wody oczyszczającej: ofiara to zagrzeszna” (wers 9). Wodną zawiesiną należy skropić trzeciego i siódmego dnia osobę, która miała kontakt ze zwłokami, by mogła powrócić do stanu czystości rytualnej. Z czerwoną jałówką wiąże się jednak paradoks: wprawdzie jej popiół przywraca czystość rytualną nieczystemu, ale zarazem wywołuje nieczystość rytualną u sporządzającego go kapłana. Zastanawiające jest też przygotowywanie specyfiku poza obozem – przecież ofiary składa się w Przybytku!

Przykazanie to Najwyższy wprowadza jako „ustawę zakonu”. *Chok* oznacza prawo, które nie ma logicznego uzasadnienia. Talmud słusznie przewiduje, że narody świata będą drwić z Izraela, pytając o czerwoną jałówkę. Midrasz opowiada o nie-Żydzie, który wypalił prosto z mostu rabinowi Jochananowi synowi Zakaja: „Te wasze rytuały to jakieś czary-mary. Bierzecie krowę i spopielacie. Któryś z waszych jest nieczysty rytualnie, bo miał kontakt ze zwłokami, skrapiacie go dwiema-trzema kroplami i mówicie, że jest czysty?”. Rabin zapytał tego człowieka, co zrobić z kimś, w kogo wstąpił niespokojny duch. „Trzeba przynieść korzenie, okadzić go ich dymem, polać wodą i duch ucieknie”. Na to rabin: „Posłuchaj własnych słów. Tak samo jest z nieczystością, jak jest napisane: »proroków też i ducha nieczystości zniosę z ziemi« (Za 13,2)”. Kiedy nie-Żyd sobie poszedł, rabin powiedział swoim uczniom: „Zmarły nie wywołuje nieczystości, a woda nie oczyszcza. To Bóg rzekł: ustanowiłem ustawę, a wam nie wolno złamać Mojego nakazu, jak jest napisane: »oto ustawa zakonu«”. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ani spać, ani pisać...

„Marność nad marnościami, mówi Kohelet, marność nad marnościami! Wszystko marność! (...) Człowiek się wysila i poświęca”, a jego „zajęcia nie przynoszą mu niczego, jak tylko ból i udrękę każdego dnia. Jego serce nie zaznaje spokoju nawet w nocy”. W takim razie, skoro nic nie jest warte choćby funta pakuł, człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak siąść i płakać. „Mamo, ja nie wierzę w żadne gusła: / Czarny kot, trzynastka, wyjazd w poniedziałek, / a czasami w oczy zajrzy taka pustka, / o której nie wiedziałem. (...) Nie wierzę ja w żadne przesądy, / materialista dziejowy, / a jak sobie na uboczu siądę: / słowo, płaczące słowo” – mówi Władysław Broniewski. W wierszu „Obietnica”, napisanym po tragicznej śmierci córki Anki, czytamy: „Ta noc straszliwym ptaszydłem / siadła na mnie i kracze. / Oberwę, oberwę jej skrzydła, / wyrwę się, wyrwę rozpaczy”. „Córeczko moja daleka, (...) Com ci obiecał – spełnię: / wiersz mój odniosę ludziom, // by dawał pokój i światło, / miłość, nadzieję, radość, / choć niełatwo, córeczko, niełatwo / nieść wiersz i pod nim upadać...”. W wierszu „Jasność” poeta mówi: „A ja z tej mgły chcę uciec / w jasność, / powrócić do jasności, / zasnąć”. Ale co dalej, co zrobić z człowiekiem, który już nie może ani pisać, ani spać?

W słowackim dzienniku „Postoj” zamieszczono artykuł o samobójstwach księży. Proboszcz Ján Duda na pytanie o przyczyny tych tragedii stwierdza: „Troska o księży jest minimalna, jeśli nie zerowa. Kiedy zmogła nas korona, bywało, że nikt z wierzących nie zapukał i nie zapytał, czy proboszcz, księża czegoś nie potrzebują, a ze strony zwierzchników pies z kulawą nogą nami się nie zainteresował”. Natomiast psychoterapeuta Karol Pollák dopowiada: „Perfekcjonizm, brak akceptacji swojej grzeszności mogą zamiast do świętości prowadzić do choroby”. Ks. Andrej Darmo z centrum duchowości, który sam „przeżył wypalenie psychiczne”, chcąc pomóc współbraciom wyczerpanym psychicznie i przemęczonym, przyjmuje ich do swego ośrodka na miesięczny pobyt: „Obecnie – mówi – najczęściej kryzys dopada księży w średnim wieku, kiedy człowiek zaczyna sam siebie zauważać i oceniać, i odkrywać, że jednak jest się człowiekiem, że ma się również ludzkie potrzeby, co w środowisku księży staje się wielkim problemem. Okazuje się, że służąc Bogu, nie przestaje się być człowiekiem”.

Myślę, że w podobnym położeniu znajduje się również wielu mężczyzn, rówieśników księży. Wskazuje na to liczba odejść z kapłaństwa i rozwodów w tej grupie wiekowej. Ponoć przepada za nimi Diabeł Południa, jednako kuszący materialistów dziejowych i religijnych idealistów, co znaczy, że przyczyn śmiertelnej rozpaczy trzeba szukać na „uboczu”, w najgłębszej „mgle”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wierność

Zaczęliśmy w ostatnim czasie w liturgii mszalnej czytać Jeremiasza. Drugi rozdział jego Księgi (i jeszcze fragment trzeciego) zawiera najwcześniejszą mowę proroka do Jerozolimy. Otwiera ją wypowiedziane w imieniu Boga zdanie: „Pamiętam wierność twej młodości" (Jer 2, 2).

Biblia Jerozolimska tłumaczy nieco inaczej – w miejscu „wierności" odnajdujemy w jej wersji „wierną miłość" („*I remember your faithful love*"). Intuicyjnie nawet wyczuwamy, że owa „wierna miłość" musi lepiej oddawać Boże pragnienia co do relacji z człowiekiem. Czy w spotkaniu z Bogiem, jakim jest wiara, może być w ogóle sensowna inna wierność niż ta, która wynika z miłości? Pewnie może, ale czy okaże się wystarczająca? Wystarczająco zdeterminowana i umotywowana, by stawić czoło każdej próbie?

Nie poprzestawajmy jednak wyłącznie na intuicji – sięgnijmy do tekstu oryginalnego. Znajdujemy w nim hebrajskie *hesed*. Słowo to ma wiele znaczeń; wśród nich również „wierność". Nierzadko jednak występuje w zwrocie *hesed we'emet*, w którym „wierność" oddana jest drugim ze słów, zaś *hesed* tłumaczone bywa zwykle jako „łaska" („łaska i wierność"). Stąd już blisko do innych znaczeń *hesed*, takich jak „dobroć", „litość" i „miłosierdzie". W encyklice „Dives in misericordia" Jan Paweł II przytacza *hesed* jako najważniejsze starotestamentalne słowo opisujące miłosierdzie. *Hesed* to „miłość potężniejsza niż zdrada i łaska mocniejsza niż grzech" – nie można mieć „pretensji do *hesed* Boga na zasadzie sprawiedliwości" (punkt 4, przypis 52).

W Jeremiaszowym tekście najpiękniejsze jest to, że Bóg pamięta taką właśnie „wierną miłość" ze strony Izraela w czasach jego młodości, tzn. wyjścia z Egiptu i drogi przez pustynię.

Bóg pamięta, że tak był kochany przez ludzi – nie na zasadzie wymiennej sprawiedliwości; nie według logiki „daję, żebyś dał", ale bezinteresownie, z wiernością „mimo wszystko" – z miłosierdziem...

Stąpamy tu po kruchym lodzie... To oczywiste, że człowiek nie ma czego wybaczać Bogu. Jest jednak wcale nierzadkim (również naszym) doświadczeniem to, że łatwo oskarżamy Boga i obciążamy Go złem, które nie jest Jego winą (często jest naszą!); jest też prawdą, że człowiek może się okazać „niemiłosierny" wobec Boga.

Najważniejsze jest jednak coś innego: Bóg zawsze (!) ma dla nas ten rodzaj wiernej miłości, jaką jest *hesed*. Z tekstu Jeremiasza wynika jednak, że wierzy również w taką samą miłość ze strony człowieka, a nawet więcej: że takiej miłości już nieraz od ludzi doświadczył. ©

Gdybym miał Boga,
którego bym mógł
zrozumieć,
nigdy bym go
nie uznał za Boga.

MISTRZ ECKHART

Który daje życie i siłę,
i wolę (...),
którego cieniem to,
co nieśmiertelne,
i to, co śmiertelne
– któż jest Bóg ten?

RYGWEDA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (31 VII – 7 VIII)

18. niedziela zwykła: Koh 1, 2. 2, 21-23; Ps 90; Kol 3, 1-5. 9-11; Łk 12, 13-21;
Poniedziałek: Jr 28, 1-17; Ps 119; Mt 14, 13-21;
Wtorek: Jr 30, 1-2. 12-15. 18-22; Ps 102; Mt 14, 22-36;
Środa: Jr 31, 1-7; Ps: Jr 31, 10-13; Mt 15, 21-28;
Czwartek: Jr 31, 31-34; Ps 51; Mt 16, 13-23;
Piątek: Na 2, 1. 3. 3, 1-3. 6-7; Ps: Pwt 32, 35c-36b. 39. 41; Mt 16, 24-28;
Sobota, święto Przemienienia Pańskiego: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; 2 P 1, 16-19; Łk 9, 28b-36;
19. niedziela zwykła: Mdr 18, 6-9; Ps 33; Hbr 11, 1-2. 8-19; Łk 12, 32-48.

KRAJ

PUSZCZA MUREM PODZIELONA

Rozmawiałem z przedsiębiorcami, przewodnikami i naukowcami. W Puszczy spotykałem migrantów, aktywistów i służby. Wiem jedno: mur na granicy nie rozwiązał problemu. Życie w Białowieży nieprędko wróci do normy.

TEKST I ZDJĘCIA: KRZYSZTOF STORY

Zobacz, jak oni idą. To turyści! – Grażyna Chyra z radości prostuje się na kawiarnianym krześle. Trochę się zapomniała, bo grupę po drugiej stronie ulicy pokazuje palcem. Grażyna jest przewodniczką po Białowieskim Parku Narodowym. Tłumaczy mi: – Jest środek dnia, a oni się po prostu włóczą bez celu. Powoli, rozglądają się, gadają. Dawno tego nie widziałam.

Jest 2 lipca 2022 r. W Białowieży od dziesięciu miesięcy nikt nie włóczył się bez celu. Ani mieszkańcy, ani Straż Graniczna, policjanci i żołnierze, ani tym bardziej ukrywający się w lesie migranci. Rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego na granicy polsko-białoruskiej wywróciło puszczańskie życie do góry nogami. Na dwóch dojazdowych drogach stanęły checkpointy, po niebie krążyły helikoptery, a najpopularniejszą kolorystyką stało się wojskowe moro. Taka była odpowiedź polskiego państwa na kryzys migracyjny, jaki ściągnął nam na głowę Alaksandr Łukaszenka z Władimirem Putinem, kierując na granicę z Polską tysiące migrantów z Azji i Afryki. Nieco później, już po przejściu głównej fali migracyjnej, pojawił się ciężki sprzęt i setki ciężarówek Budimexu, budujących zaporę na granicy.

Dla żyjącej z turystyki gminy te dziesięć miesięcy już na zawsze pozostaną traumą. Zakaz przebywania w strefie przygranicznej (bo takim rozwiązaniem prawnym rząd zastąpił stan wyjątkowy, który nie może trwać w nieskończoność) został odwołany w nocy z 30 czerwca na 1 lipca. Ewa, doktorantka z Instytutu Biologii Ssaków PAN i jej chłopak Kamil wsiedli wtedy w samochód i pojechali na checkpoint, gdzie jeszcze kilka godzin wcześniej policjanci legitymowali każdy samochód. W ciemności puścili z głośników „Po co wolność" Kultu i wrócili do domu. Oni, tak jak wszyscy w Białowieży, mają nadzieję, że ich życie w końcu wróci do normy. Przyjdzie im na to jeszcze długo poczekać.

Narewka przepływa przez granicę 4 kilometry od centrum Białowieży. Docieram tam kajakiem, pilnując, by nie przekroczyć przepisowych 200 metrów od granicy. Wbrew rządowym zapowiedziom rzeka została przegrodzona płotem. Lipiec 2022 r.

Patostan

Białowieża nie stała się na powrót turystycznym ośrodkiem dla miłośników przyrody, to nadal punktowo rozłożone koszary. Ulicą Pałacową co kilka minut przejeżdża wojskowa ciężarówka. Teren za zabytkowym dworcem jest zagrodzony szlabanem i ze wszystkich stron obłożony siatką maskującą. Na łące za budynkiem Straży Granicznej i za szkołą leżą hałdy drutu żyletkowego. Żołnierze stacjonują jeszcze na tutejszym stadionie, zajęli również cały parking w centrum, przy wejściu do parku narodowego. Całą dobę warczy tu wielki agregat, najgłośniejszy obiekt w całej wsi, zmora jej mieszkańców.

– Patostrefa się skończyła, ale patostan pozostał – mówi Grażyna Chyra. – A z agregatu żartowaliśmy, że jesteśmy mu wdzięczni, bo przynajmniej nie słychać helikopterów.

„Patostrefa". Tak mieszkańcy nazywają okres, który kończy się wraz z budową bariery na granicy. 30 czerwca, ostatniego dnia działania zamkniętej strefy, do Kuźnicy przyjechał premier Mateusz Morawiecki. Mówił, że „zapora jest wyrazem naszej skuteczności i dowodem odpowiedzialności". Dzięki tym dwóm cechom, zdaniem premiera, udało się zażegnać rozpętany przez Łukaszenkę i Putina kryzys, a życie przy granicy wraca do normy.

Odpowiedzialność władz Rosji i Białorusi za to, co działo się przy granicy polsko-białoruskiej, jest bezdyskusyjna. To naprawdę był, cytując premiera, „pierwszy akord wojny w Ukrainie", który miał przytłoczyć Zachód falą uchodźczą, aby nie mógł już w zdecydowany sposób odpowiedzieć Moskwie po jej inwazji na Kijów. Ten scenariusz udało się Polsce zniweczyć. Ale szef naszego rządu minął się z prawdą w dwóch istotnych kwestiach: zapora wcale nie jest skończona, a życie wciąż pozostaje dalekie od normalnego.

Z Grażyną Chyrą jedziemy na rowerach do popularnego do niedawna rezerwatu Wysokie Bagno, tuż przy granicy. Z daleka widać, a przede wszystkim słychać, że przy zaporze wciąż trwają prace. W wielu miejscach granica przebiega przez bagna i rozlewiska, co ogromnie utrudnia pracę budowlańcom, którzy mają osadzać tam długie betonowe filary. Gdzie indziej brakuje drutu żyletkowego wieńczącego płot. Dopiero w połowie września ma zostać oddany system elektronicznego wykrywania ruchu zaopatrzony w liczne kamery.

To, co już stoi, to metalowe ogrodzenie o wysokości pięciu metrów, do którego zużyto 50 tys. ton stali. Brzmi imponująco, ale nie rozwiązało sytuacji na granicy. Przez Puszczę nadal wędrują ludzie. Tylko w ciągu sześciu dni po zniesieniu strefy Grupa Granica otrzymała prośby o pomoc od 217 osób, a Straż Graniczna codziennie informuje o kilkunastu próbach nielegalnego przedostania się na teren Polski.

Z Grażyną wyjeżdżamy z Białowieży zabytkową Drogą Browską. Tuż za wsią kątem oka dostrzegam w lesie coś jaskrawego. Pomarańczowe spodnie leżą na mchu, obok inne ubrania. Porzucone niedawno. Ktoś przebierał się w pośpiechu. Nic dziwnego, większe drogi są ciągle patrolowane, a migranci już doskonale wiedzą, że polskiej Straży Granicznej i wojska powinni unikać, jeśli chcą przedostać się do Niemiec, które są celem zdecydowanej większości przybyszy. ↦

Chwila oddechu

↦ Ogłoszony przez premiera powrót do puszczańskiej normalności absolutnie nie wygląda normalnie. Na całej granicy polsko-białoruskiej wciąż stacjonuje około dwóch tysięcy żołnierzy. Turystów w Białowieży jest jak na lekarstwo, bo większość już wcześniej zaplanowała na ten sezon urlopy, część boi się migrantów, a inni po prostu nie chcą jeść obiadu przy dźwiękach agregatu i wojskowych jelczy.

– Porównywałem kasę dosłownie dzień do dnia z poprzednimi latami. Obroty są pięć razy mniejsze – mówi Sławomir Droń, właściciel kawiarni i największej wypożyczalni rowerów w okolicy.

Za czas obowiązywania stanu wyjątkowego i strefy przedsiębiorcy z branży turystycznej otrzymywali od państwa rekompensaty w wysokości 65 proc. średniego przychodu. Łącznie wojewoda podlaski w całym województwie wypłacił 17 mln zł. To niewiele, biorąc pod uwagę, że jeszcze niedawno tylko turyści przyjeżdżający na Podlasie zwiedzać Puszczę i obserwować ptaki zostawiali w samej Białowieży ponad 8 mln złotych rocznie. Najbardziej pokrzywdzeni byli przedsiębiorcy spoza granic strefy, choćby z Hajnówki. Ich żadne rekompensaty nie dotyczyły, za to kryzys – jak najbardziej.

Obecne przepisy (zakazują jedynie podchodzenia do granicy na bliżej niż 200 m) obowiązują tylko do 15 września. Część mieszkańców traktuje więc odzyskaną wolność jak chwilowy oddech. Boją się, że państwo znów ich zamknie (tak jak zrobiło to we wrześniu), gdy tylko na granicy pojawi się więcej migrantów.

Nienawidzę lasu

Przyjechałem do Białowieży 1 lipca. Okazało się, że koniec strefy był tu dla wielu wydarzeniem symbolicznym. Z ludzi zaczęły wychodzić historie, wspomnienia, traumy, które zmieniły w Puszczy bardzo wiele. Nawet rzeczy błahe, jak menu w restauracjach na Stoczku, gdzie specjalnie dla żołnierzy pojawiły się kebaby i burgery. Albo półka z bateriami w supermarkecie, gdzie dużo więcej jest kwadratowych R9 używanych w różnych sprzętach wojskowych niż zwykłych paluszków.

Zmieniła się również zawartość plecaków i samochodów. Prawie każdy naukowiec z Instytutu Biologii Ssaków, idąc na badanie terenowe, nosi z sobą od wielu miesięcy dodatkową butelkę wody i kanapkę. Niedaleko rezerwatu ścisłego spotykam Anię i Michała, parę z okolic Białowieży. Otwierają bagażnik – w środku leżą pakiety z folią NRC, jedzeniem i ciuchami, z boku kilka par kaloszy. Regularnie pomagają migrantom, wolą być przygotowani. Część mieszkańców Białowieży korzysta też z Signala, szyfrowanego komunikatora. Zmieniło się wreszcie podejście do samej Puszczy. Jedna z przewodniczek przystaje na leśnej ścieżce i mówi mi: – Zawsze kochałam ten las za to, że jest właśnie taki. Mokry, zarośnięty, dziki. Że łatwiej się w nim zgubić niż przez niego przejść. A w ciągu ostatnich miesięcy wiele razy go za to nienawidziłam.

Rzekę zamurowało

„Przejścia dla dużych zwierząt zostały zlokalizowane na stwierdzonych szlakach migracyjnych. Na odcinkach rzecznych bariery w ogóle nie będzie, więc zwierzęta będą mogły przez te tereny swobodnie wędrować" – mówiła 3 czerwca wiceministra klimatu Małgorzata Golińska. Nie powiedziała prawdy.

Pożyczam kajak i płynę Narewką w stronę granicy. Mijam trzy mosty, ostatni jest już blisko granicy. Cały czas patrzę na GPS, by nie przekroczyć przepisowych 200 metrów. Za ostatnim zakrętem widzę już miejsce, gdzie granica przecina rzekę. Scena jest wręcz absurdalna – koryto w poprzek przecinają metalowe przęsła płotu. Ministerstwo Klimatu i Środowiska reaguje na przesłane mu zdjęcie, powtarzając, że na rzekach granicznych zapory nie ma, a Narewka nie jest rzeką graniczną, bo nie płynie wzdłuż granicy, tylko w poprzek ją przecina. Szkoda, że zwierzęta o tym nie wiedzą.

Ministra Golińska obiecywała, że choć priorytetem jest ochrona granicy, to budowa zapory ma być prowadzona z poszanowaniem pięknej polskiej przyrody. Nie była. Drogi leśne zostały poszerzone i rozjeżdżone ciężkim sprzętem, wysypano na nie tony kruszywa, na każdym kilometrze samej tylko Drogi Browskiej uszkodzono po ok. trzydzieści drzew. Swoje dołożyli żołnierze, którzy często nie rozumieli, że znaleźli się w Puszczy, wyjątkowym na skalę europejską miejscu. Nie bez powodu przed wejściem do rezerwatu ścisłego wisi ogłoszenie: „UWAGA! Żołnierze, policjanci i inni funkcjonariusze. Wchodząc na teren Obszaru Ochrony Ścisłej BPN nie będąc na służbie – łamiecie prawo". Kilku naukowców pokazuje mi zdjęcia prowizorycznych schronień budowanych przez żołnierzy z puszczańskiego drewna, fotografie miejsc po ogniskach, leśnych „toaletach", a czasem nawet drutu żyletkowego rozciągniętego na ziemi w lesie.

Sam mur też nie ma nic wspólnego z dobrem przyrody. Teoretycznie są w nim przepusty dla dużych zwierząt w formie zamykanych bram, tylko że te bramy są na razie... zamknięte. Ministerstwo Klimatu uważa, że żadnego problemu nie ma, bo po białoruskiej stronie i tak jest zapora (tzw. *systiema*), która blokuje migracje zwierząt, a rysie i wilki są w stanie ją przekraczać tylko w „wyjątkowych okolicznościach". Tymczasem według danych z obroży z GPS-em noszonych przez rysie, „wyjątkowe okoliczności" miały miejsce nawet sześćdziesiąt razy w roku. Przez nasz 5-metrowy płot już nie przejdą, a to może oznaczać stopniowe wyginięcie rysia po polskiej stronie granicy, którego populacja jest zbyt mała, by rozwijała się zdrowa.

My już umarliśmy

Z zaporą, która jest nie do przejścia dla zwierząt, radzą sobie za to ludzie. Po tygodniu od przyjazdu, 8 lipca nasz samochód zatrzymuje się na leśnej drodze. Wysiadamy i szybko znikamy w lesie. Zatrzymujemy się dopiero, gdy na pewno nie widać nas z drogi. Nam nic nie grozi, ale dla migrantów, do których idziemy, wykrycie może oznaczać katastrofę.

Towarzyszę aktywistom z Fundacji Ocalenie i Grupy Granica. Idziemy do trójki obywateli Konga i jednej dziewczyny z Demokratycznej Republiki Konga. Prowadzi nas Michał, mówi, że migrantów z Afryki jest coraz więcej. Także przez wojnę w Ukrainie, bo odkąd Rosja zablokowała eksport ukraińskiego zboża do Afryki, ludzie boją się tam nadchodzącej fali głodu i coraz częściej uciekają na północ.

Na miejsce docieramy po 20 minutach. Spotykamy Ruth, Jarheda, Glody'ego i Grace'a. Są w lesie od 10 dni, dotarli tu przez Rosję (to obecny standard), barierę przekroczyli, wspinając się na nią i korzystając z braku kamer i czujników ruchu. Są w dobrym stanie fizycznym, potrzebują tylko jedzenia, powerbanków do ładowania telefonów oraz wody. Martwi mnie tylko Ruth, jedyna dziewczyna w grupie. Ma 17 lat, jest bardzo apatyczna, odpowiada półsłówkami. Trzech chłopaków poznała dopiero w dżungli (tak migranci często nazywają Puszczę), jest z innego kraju niż oni. Zapamiętam jej

Ola, medyczka pracująca przy granicy, szykuje kroplówkę przeciwbólową dla 21-letniego Syryjczyka z kontuzjowaną nogą. Puszcza Białowieska, lipiec 2022 r.

Powyżej: Żołnierze pojawiają się nawet w miejscach turystycznych i oddalonych od granicy. Wieża widokowa w Pogorzelcach, lipiec 2022 r.

buty z nalepką oznaczającą rozmiar 39, strasznie na nie narzekała.

Wracamy do bazy i zaraz na smartfonie jednej z aktywistek pojawia się druga pinezka. Patrzymy na współrzędne – łatwo nie będzie. Kilka kilometrów od najbliższej drogi, a aktywiści unikają leśnych szlaków. Brniemy więc przez chaszcze. Z Hajnówki zabieramy Olę, medyczkę, bo jeden z dwóch chłopaków ma kontuzję nogi. Ola ponuro żartuje, że liczba połamanych nóg od upadków z bariery to główna rzecz, którą zmieniła zapora na granicy.

Przedzieramy się przez las, jak na obozie przetrwania. Docieramy do migrantów na chwilę przed zmierzchem. Mają po 21 lat, jeden jest z Iraku, drugi z Syrii. Saif z Syrii ma paskudnie stłuczoną nogę, nie jest w stanie iść, choć upiera się, że musi, bo po drugiej stronie Puszczy czeka na nich transport do Niemiec. Wojtek przekonuje, że są wyczerpani i muszą odpocząć. Rozbijamy im płachtę biwakową, żeby mogli spędzić spokojną noc bez deszczu. Ola szykuje kroplówkę przeciwbólową, ale najpierw obaj muszą się przebrać, bo dostają drgawek z zimna. Są przeziębieni i wycieńczeni. Suche ubrania lądują na ciałach, karimaty pod tyłkami, ciepła zupa w brzuchach, a noga Saifa w specjalnej szynie. Na pożegnanie zostawiamy im paczkę papierosów.

Z powrotem nie bawimy się już w chowanego, idziemy drogą, jest ciemna noc. Nagle przed sobą widzimy światła samochodu. Wszyscy jak na komendę lądują na ziemi w krzakach. Przejeżdża terenówka Straży Granicznej. Nie zauważyli. 15 minut później jesteśmy w samochodzie.

Migrantów jest dzisiaj mniej niż pod koniec zeszłego roku, ale nie znikli i nie znikną. Będą pewnie nadal wykorzystywani jako broń w rękach dyktatora Rosji i odpowiedź na sankcje Zachodu, ale jeszcze więcej uciekinierów z Afryki i Azji będzie się tu pojawiać wraz z pogłębianiem się zmian klimatycznych. Brak wody, przeludnienie, bieda – wygnają z domów miliony i żaden mur ani tysiące żołnierzy nie powstrzymają ich przed decyzją o ucieczce do Europy. Zrozumiałem to, gdy zacząłem pytać, dlaczego zdecydowali się na taką podróż. W większości wiedzieli, co ich czeka. Swój los wybrali świadomie. Jedna osoba z Białowieży pokazała mi wiadomość od człowieka, którego spotkała w lesie. Namawiała go, żeby pisał do swoich znajomych w ojczyźnie, żeby nie przyjeżdżali, że przecież mogą w tym lesie umrzeć. Odpisał jej tylko jedno zdanie: *„We are already dead”* („Już jesteśmy martwi”).

Kryzys na twardo

Chłopcy dotarli tam, dokąd chcieli. Nie tylko dzięki pomocy aktywistów, ale też przemytników. Szmuglowanie ludzi do Unii Europejskiej to intratny proceder, a aktywiści są bez przerwy oskarżani o to, że ten krwawy biznes wspierają. Sami mają w tym temacie mnóstwo wątpliwości. Ale konkluzja nasuwa się zawsze jedna: alternatywą jest pozostawienie drugiego człowieka bez żadnej pomocy.

Kryzys na naszej granicy na początku był rzeczywiście ręcznie sterowany przez Łukaszenkę. To za jego wiedzą zostały otwarte szlaki, a zorganizowane wycieczki docierały do Mińska z Syrii, Iraku i Jemenu. Dzisiaj ani on, ani Putin już tego robić nie muszą. Nie tylko zmiany klimatu, ale przede wszystkim nagły kryzys energetyczny i żywnościowy powodują, że ludzie są gotowi ryzykować taką podróż nawet bez specjalnych zachęt. Na moje pytanie, dlaczego są w tym lesie, zawsze dostawałem jedną odpowiedź: „U nas jest jeszcze gorzej”.

To, że kryzys na granicy polsko-białoruskiej wymagał i wymaga zdecydowanych działań, nie podlega dyskusji. Tylko że przytłoczeni tłumem na granicy i przerażeni pogarszającą się gwałtownie sytuacją ekonomiczną, nie odbyliśmy najmniejszej dyskusji o tym, jak takie działania miałyby wyglądać. Nie było żadnej próby stworzenia kompleksowej polityki migracyjnej, żadnego zastanowienia się nad subtelniejszymi rozwiązaniami.

Państwo postanowiło działać twardo i pokazywać siłę. Wybrało zapory, pushbacki i drut żyletkowy. Z dnia na dzień weszło rozporządzenie o stanie wyjątkowym, z dnia na dzień przegłosowano specustawę o budowie muru za 1,6 mld zł. Teraz MSWiA pracuje nad projektem rozporządzenia, które w ośrodkach strzeżonych i aresztach dla cudzoziemców pozwoli umieszczać ludzi w celach o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, gdy braknie wolnych miejsc, a toalety instalować w kontenerach na zewnątrz budynków.

Jeśli celem Łukaszenki i Putina była destabilizacja Unii Europejskiej po to, by odeszła od swych najbardziej humanistycznych wartości i zaczęła patrzeć na cierpiących ludzi jak na zagrożenie lub wręcz jak na broń – to cel ten został osiągnięty. Najwyższą cenę zapłacili migranci.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Czy zabraknie nam prądu

MAREK RABIJ

Ta obawa coraz częściej przewija się i w publicznej debacie, i w prywatnych rozmowach. Nigdy wcześniej nie była równie uzasadniona.

Brak – to słowo, które najlepiej oddaje dziś stan polskiej energetyki. Wieczorem 20 lipca br. aż trzy polskie elektrownie musiały znacząco ograniczyć produkcję energii. W Jaworznie stanęły nieoczekiwanie bloki o mocy 910 megawatów, do których zabrakło węgla odpowiedniej jakości. W dwóch innych siłowniach przestoje wymusił z kolei niski poziom wody w rzekach, w których obydwa zakłady miały ujęcia do celów technologicznych.

W piątek 22 lipca zapotrzebowanie na energię elektryczną w skali całego kraju wynosiło (około południa) 23,2 megawatów. Krajowy system energetyczny wytwarzał wtedy tylko 22,9 megawatów, z czego niemal trzy czwarte dostarczały elektrownie węglowe. Braki pokrył import od sąsiadów. W najbliższych latach energetyczny debet może się jedynie powiększyć. Europejska organizacja operatorów przesyłowych energii elektrycznej ENTSO-E w raporcie opublikowanym pod koniec ubiegłego roku szacowała, że jeśli Polska nie przyspieszy modernizacji, to już w 2030 r. nie będzie w stanie pokryć zapotrzebowania na prąd przez 3967 godzin rocznie. Mówiąc prościej – krajowe elektrownie i źródła odnawialne wpięte do systemu zapewnią wówczas najwyżej połowę niezbędnej nam energii.

Klątwa czarnego złota

Polska polityka energetyczna jest wciąż zakładnikiem kalendarza wyborczego i od lat lekceważy wszystko, co nie będzie miało błyskawicznego przełożenia na słupki w sondażach. Na temat elektrowni atomowej przez lata w Polsce tylko dyskutowano (podczas gdy inni je budowali). Potem, wyłącznie w oparciu o światopoglądowe fobie, rząd PiS pozbawił racji bytu rozwój farm wiatrowych, jednocześnie wzmacniając energetykę opartą na „polskim czarnym złocie" – jak mówił o węglu premier Morawiecki. Kilkanaście miliardów złotych, jakie polski budżet rokrocznie otrzymuje w ramach opłat za emisje CO_2, zamiast w inwestycje w zielone źródła energii, są wydawane na inne cele. W ten sposób Polska utrwaliła uzależnienie własnej energetyki od paliw kopalnych, które potem musiała importować w coraz większej ilości, bo krajowy węgiel okazał się mało konkurencyjnym paliwem z uwagi na koszty wydobycia. Najłatwiej i najtaniej można było pozyskać go z Rosji. Do czasu. Po 24 lutego import ze wschodu stał się niemożliwy z racji polskiego embarga.

Rząd oczywiście uspokaja, że brakujące 10 mln ton wydobędzie – *nomen omen* – choćby spod ziemi, ale efektów tych zapewnień wciąż nie widać na pustych placach składów węgla. Choćby z tego powodu zapowiedziany przez premiera dodatek w wysokości 3 tys. zł dla każdego gospodarstwa ogrzewającego dom węglem brzmi na razie jak obietnica gruszek na wierzbie.

Tymczasem do początku sezonu grzewczego zostały mniej więcej cztery miesiące (polskie elektrownie w olbrzymiej większości są też dostawcami energii cieplnej). Na szczęście nie oznacza to, że już przy pierwszych przymrozkach czekają nas długie wieczory w chłodzie i przy lampie naftowej. Polski system energetyczny ma na kryzysowe okoliczności strategię, która zakłada w pierwszej kolejności ograniczenia dostaw dla dużych odbiorców przemysłowych, a na końcu – dla gospodarstw domowych, szpitali czy szkół. Ale nawet w tym najgorszym scenariuszu wyłączenia miałyby charakter rotacyjny: przez pewien czas prądu nie byłoby na przykład na Pomorzu, potem w Wielkopolsce itd. – aż do ustabilizowania dostaw. Zapotrzebowanie powyżej 90 proc. polskich mocy produkcyjnych utrzymuje się obecnie przez najwyżej 100 godzin rocznie, grożą nam zatem kilkugodzinne, a nie kilkudniowe przerwy.

Letni wyż, związany przede wszystkim ze zwiększonym poborem energii przez domowe klimatyzacje oraz urządzenia chłodnicze w handlu i przemyśle, częściowo rekompensuje produkcja fotowoltaiki, która w słoneczne i bezchmurne letnie dni może pokrywać do 30 proc. krajowego zapotrzebowania na prąd. Sytuację ratuje także sezon urlopowy w przemyśle, który na wakacje ma zaplanowane przerwy serwisowe i ogranicza pobór energii. Ryzyko blackoutu rośnie za to w okresie jesienno-zimowym, kiedy wprawdzie nie musimy się schładzać, ale więcej prądu zużywamy na oświetlenie, a częściowo także na ogrzewanie.

Efekt? W zimowym szczycie zużycie energii potrafi być niemal 20 proc. wyższe niż latem. Trudno wtedy liczyć na OZE, gdyż w krótkie i pochmurne dni fotowoltaika na niewiele się zdaje, a wkład farm wiatrowych w miks energetyczny staje się zauważalny jedynie przy najsilniejszych frontach pogodowych niosących wichury. Tak było np. w ostatni weekend stycznia tego roku, kiedy turbiny wiatrowe odpowiadały za 35 proc. dziennej produkcji prądu w Polsce. Jednak zazwyczaj krajowa energetyka zimą bazuje niemal wyłącznie na mocach bloków elektrociepłowni węglowych. Jeśli tylko nie brakuje węgla, a poziom rzek zapewnia dostatecznie dużo wody, system nie powinien zawieść.

Dlaczego zatem w debacie publicznej coraz częściej słychać straszenie blackoutem? Nie lekceważąc faktycznych zagrożeń, nie da się też nie zauważyć, że dla sektora energetycznego to świetne narzędzie przygotowujące opinię publiczną na podwyżki cen prądu. Klienci zakładów energetycznych mogą nie interesować się fluktuacją popytu na kopaliny na światowych rynkach i problemami rynku certyfikatów emisji CO_2, ale nie przejdą obojętnie obok groźby przymusowego zaciemnienia.

Fabryko, zaciśnij pasa

Zdaniem Joanny Maćkowiak-Pandery, szefowej think tanku Forum Energii,

WOJTEK JARGIŁO / PAP

Kopalnia węgla kamiennego „Bogdanka". Maj 2022 r.

ryzyko zimowego blackoutu byłoby *de facto* bliskie zeru, gdyby podobnych problemów z surowcem nie miały też inne kraje Europy. Ukraina, z którą mamy elektryczne interkonektory, sama zmaga się dziś z brakami energii spowodowanymi przez zniszczenia wojenne. Niemcy z kolei stoją przed wielkim znakiem zapytania o przyszłość ich strategii zastąpienia siłowni atomowych przez źródła odnawialne stabilizowane energetyką gazową, podpiętą do rosyjskich gazociągów. Po agresji na Ukrainę niemal ukończony projekt Nord Stream 2 został skasowany, a przez Nord Stream 1 płynie dziś ledwie 30 proc. tego, co Rosja dostarczała przed 24 lutego. Pozyskiwanie energii z Niemiec może być więc w najbliższych miesiącach niemożliwe.

W rachubę nie wchodzi też szybkie zwiększenie wydobycia w polskich kopalniach, które od dawna nie przygotowywały nowych pokładów do eksploatacji, wychodząc z założenia, że popyt na węgiel będzie malał. Z najnowszych danych Agencji Rozwoju Przemysłu wynika, że w pierwszym kwartale tego roku wydobycie węgla kamiennego wyniosło 14,33 mln ton, niewiele przekraczając poziom ubiegłoroczny. Jak tłumaczył niedawno „Dziennikowi Gazecie Prawnej" prezes Polskiej Grupy Górniczej Tomasz Rogala, samo przygotowanie jednej ściany (ok. 800 tys. ton) do eksploatacji wymaga zainwestowania około 200 mln zł i półtora roku przygotowań. Kopalnie rozważają wprawdzie wydobycie w systemie trójzmianowym, co powinno dać im 3-4 miliony ton rocznie, ale i taką zmianę muszą poprzedzić minimum kilkumiesięczne przygotowania.

Prostsze i szybsze byłoby jednak uszczelnienie krajowego rynku węgla, przede wszystkim poprzez ograniczenie – a może nawet czasowe wstrzymanie jego eksportu. Jak podaje GUS, tylko w pierwszych dwóch miesiącach 2022 r. polskie kopalnie zwiększyły go aż o 36,8 proc. rok do roku. Jak to możliwe w kraju, który jednocześnie importuje ten sam surowiec, a zatem uprawia kuriozalną rynkową grę o sumie (niemal) zerowej?

Wytłumaczenie tej pozornej sprzeczności kryje się w określeniu „kontrakt terminowy". To umowa sprzedaży, w której kupujący zobowiązuje się w konkretnym terminie do nabycia, a sprzedający do sprzedaży określonych produktów lub usług po ustalonej z góry cenie, bez względu na to, co w międzyczasie wydarzy się w gospodarce. Kontrakty terminowe zwykle pozwalają obu stronom ograniczyć ryzyko kursowe lub zmniejszyć wpływ innych zmiennych na ich bieżącą działalność. W polskiej energetyce zaczęły się pojawiać na masową skalę po objęciu władzy przez PiS i po przeforsowaniu przez gabinet Beaty Szydło kontrowersyjnej z ekonomicznego punktu widzenia koncepcji połączenia deficytowych kopalni z bogatymi grupami energetycznymi. Dzięki długim kontraktom terminowym polskie górnictwo miało odzyskać płynność finansową.

Od tamtej pory na globalnym rynku energetycznym zaszły jednak olbrzymie zmiany. Ceny węgla od końca 2020 r. wzrosły z ok. 60 do 300 dolarów za tonę, po drodze otarłszy się na początku marca o poziom 350 dolarów za tonę. Polskie elektrownie, nagle odcięte od taniego węgla z Rosji, chętnie kupowałyby polski surowiec w ilości większej od zagwarantowanej w kontraktach terminowych, ale po starej cenie. Naszym kopalniom się to oczywiście nie opłaca, wolą sprzedawać go drożej za granicę. Obecnie – głównie do Czech, Austrii, a także do Ukrainy. W skali roku to ponad 3 miliony ton. Jedna trzecia tego, czego brakuje krajowym elektrowniom.

Ostatnią linią obrony przed blackoutem może być wreszcie szerzej nieznany w Polsce system DSR (ang. *Demand Side Response*), czyli program, w którym dostawcy energii oferują odbiorcom wynagrodzenie za gotowość do redukcji jej zużycia – na żądanie. DSR to na razie oferta wyłącznie dla dużego biznesu, który odpowiada za konsumpcję ok. 70 proc. prądu w skali kraju. Problem w tym, że w 2020 r., trzy lata po starcie programów DSR, ponad 80 proc. polskich przedsiębiorców ankietowanych w badaniu Forum Energii nie wiedziało nawet, że może skorzystać z takiej oferty. Tegoroczne podwyżki taryf dla biznesu z pewnością to zainteresowanie zwiększyły, na razie jednak brak na ten temat dokładniejszych danych.

Niewykluczone, że DSR w okrojonej wersji prędzej czy później zawita także do oferty dla klientów indywidualnych. Kilkadziesiąt złotych rabatu na fakturze za prąd w zamian za wciąż czysto hipotetyczny obowiązek ograniczenia poboru energii przez krótki czas nie brzmi jak coś, co nie mogłoby się u nas przyjąć. ©℗

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zbigniew Ziobro, Patryk Jaki i Janusz Kowalski podczas konferencji prasowej dotyczącej tzw. kroków milowych niezbędnych do odblokowania KPO. Warszawa, 11 czerwca 2022 r.

Ciężkie kamienie

PIOTR WÓJCIK

Skala wyzwań związanych z zatwierdzonymi przez rząd założeniami KPO przekracza zdolności mobilizacyjne państwa. Upłynie wiele czasu, nim zobaczymy pieniądze z Brukseli.

Opór Zbigniewa Ziobry przed finalną wersją Krajowego Planu Odbudowy może być zrozumiały. Wiele z jego założeń ma bowiem charakter postępowy i nie pasuje do linii Solidarnej Polski. KPO to w sumie kilkadziesiąt dużych reform i szereg mniejszych zmian, wśród których głośno omawiane ustawy sądowe stanowią zaledwie jeden z wątków. Opór w samym rządzie może jednak sprawić, że do ich przegłosowania PiS będzie musiał dosztukowywać pojedyncze głosy lub szukać wsparcia opozycji. Tymczasem terminy gonią. Część z tych zmian powinna wejść w życie jeszcze w obecnym lub w przyszłym roku.

Z niektórymi reformami już właściwie jesteśmy spóźnieni. Od końca czerwca powinna obowiązywać nowelizacja ustawy o inwestycjach w lądowe farmy wiatrowe, znosząca zasadę 10H, według której turbiny nie mogą być stawiane w odległości mniejszej niż 10-krotność ich wysokości. Przepisy te wprowadził sam PiS podczas poprzedniej kadencji rządów.

– Po dekadzie intensywnego rozwoju energetyki wiatrowej wprowadzona w 2016 r. zasada uniemożliwiła budowę i rozbudowę turbin wiatrowych na 99,7 proc. obszaru kraju, co w zasadzie zablokowało nowe procesy inwestycyjne. Według naszych obliczeń, zmiana zasady 10H mogłaby uwolnić dla tego celu około 7 proc. Polski – twierdzi Michał Smoleń, kierownik programu badawczego Energia & Klimat w Fundacji Instrat.

W związku z przyjęciem KPO PiS musi się z tych zmian rakiem wycofywać, chociaż wcześniej parł do nich nieraz w kuriozalny sposób, podburzając przeciw wiatrakom lokalne społeczności. Projekt nowelizacji ustawy został jednak przyjęty przez rząd dopiero 5 lipca, chociaż pięć dni wcześniej powinna ona była już wchodzić w życie. Nie rodzi to dla Polski żadnych konsekwencji poza tymi, że pieniądze otrzymamy dużo później, choć w obliczu ciężkiego kryzysu są nam potrzebne już teraz.

Odblokowanie inwestycji w energetykę wiatrową jest potrzebne, by spełnić kolejny wskaźnik zawarty w KPO. Do połowy 2026 r. powinniśmy mieć w Polsce zainstalowane 23,5 gigawatów (GW) w energii słonecznej i wiatrowej. Akurat ten wymóg najprawdopodobniej spełnimy, a to głównie dzięki boomowi na panele fotowoltaiczne, który trwa w ostatnich latach i przeciw któremu politycy PiS na szczęście nie zgłaszali obiekcji.

– Już teraz moc zainstalowana w energetyce wiatrowej w Polsce sięga przeszło 7 GW, a w słonecznej 10 GW – zauważa Smoleń.

Podatek będzie albo nie będzie

Dotychczas największe emocje wzbudziło zbliżające się opodatkowanie samochodów spalinowych. W uchwale ziobrystów przeciwko KPO jako najbardziej kontrowersyjne wymieniono właśnie „wymuszanie opłat emisyjnych od aut". Chociaż minister Waldemar Buda przekonywał już niejednokrotnie, że chodzi wyłącznie o preferencyjne traktowanie samochodów elektrycznych, a nie opodatkowanie spalinowych, to jednak w KPO jest wyraźnie mowa, że w połowie 2026 r. powinien wejść w życie nowy „podatek od własności pojazdów emitujących spaliny, zgodnie z zasadą: zanieczyszczający płaci".

Jego wysokość powinna być związana z emisją CO_2 i tlenków azotu przez dany pojazd. Według ziobrystów doprowadzi to do „wyeliminowania z przestrzeni publicznej samochodów z silnikami diesla i benzynowymi". Jest to nieprawda. Podatek od pojazdów spalinowych funkcjonuje już w zdecydowanej większości państw UE, a mimo to wciąż jeżdżą one po tamtejszych drogach, gdyż danina nie jest wysoka. Przykładowo na Węgrzech zależna jest od wieku pojazdu i jego mocy. Ośmioletni samochód z silnikiem o mocy

77 kW (105 KM) obciążony jest podatkiem w wysokości niecałych 18 tys. forintów, czyli 210 zł rocznie. W Unii tylko Polska, Litwa, Estonia i Słowenia nie wprowadziły jeszcze tej daniny.

– Polacy już wybierają hybrydy, by obniżyć koszty użytkowania samochodu. Jednak obecny kryzys energetyczny powoduje, że ceny napędu alternatywnego rosną zamiast spadać – zauważa Wojciech Jakóbik, analityk rynku energii. To zaś oznacza, że skutkiem nowego podatku będzie najprawdopodobniej skłonienie kierowców do wyboru nie samochodów elektrycznych, ale mniej paliwożernych aut spalinowych. Polskie miasta są najbardziej zanieczyszczone tlenkami azotu w całej UE, więc nowa danina wyjdzie nam na zdrowie. Pytanie jednak, czy rządzący znajdą większość do jej przegłosowania, skoro w ich szeregach nie ma nawet zgody, czy podatek ten znalazł się w ogóle wśród kamieni milowych KPO.

Porządkowanie na szybko

Najbardziej przemilczanym kamieniem milowym KPO jest wprowadzenie nowej ustawy o planowaniu przestrzennym. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego nasze gminy mogłyby oszczędzić prawie 6 mld zł w skali roku, gdyby ograniczyły chaos przestrzenny. Jednym z jego powodów jest brak lokalnych planów zagospodarowania przestrzennego (PZP), które obecnie pokrywają ledwie jedną trzecią Polski.

– Na pozostałym obszarze można lokalizować inwestycje budowlane wszelkiego rodzaju na podstawie decyzji administracyjnych, które nie muszą być zgodne ze strategicznymi dokumentami określającymi gospodarkę przestrzenną w gminie – twierdzi Paula Kukołowicz, współautorka raportu i analityczka PIE.

Według rządu projektowana właśnie ustawa zostanie uchwalona jeszcze w tym roku, więc powinniśmy się zmieścić w terminie wyznaczonym przez KPO na pierwszy kwartał 2023 r. Polska jednak zobowiązała się również, że do połowy 2026 r. wszystkie gminy w kraju przyjmą zgodny z ustawą ogólny plan zagospodarowania przestrzennego. – Dotychczas ta procedura była bardzo długotrwała, w jednej trzeciej przypadków przekraczała trzy lata – wskazuje Kukołowicz.

Plan ogólny będzie mniej szczegółowy niż dotychczasowe PZP, będzie też miał uproszczoną procedurę sporządzania – m.in. krótszy okres konsultacji. Mimo to jest nikłe prawdopodobieństwo, że wszystkie gminy zdążą do połowy 2026 r. Np. Śląski Związek Gmin i Powiatów uważa, że „tryb i terminy realizacji tak złożonej reformy wydają się nierealne do wykonania, w szczególności przez gminy nieposiadające własnej pracowni urbanistycznej". Samorządowcy zarzucają także rządowi zbyt krótki czas konsultacji projektu oraz konieczność poniesienia przez gminy znacznych kosztów.

Zgadza się z tym ekspertka PIE: – Zmiana zagospodarowania niektórych obszarów gmin będzie się przecież wiązać z odszkodowaniami. Kwota zarezerwowana w KPO może być niewystarczająca.

Patologie zatrudnienia

Od lat jedną z najbardziej kontrowersyjnych kwestii dotyczących rynku pracy jest oskładkowanie umów cywilnoprawnych. Choć sprawa ta znalazła się na kartach KPO, rząd zarzeka się, że niczego takiego tam nie ma. „Nie ma decyzji o masowym oskładkowaniu umów zlecenia" – stwierdził rzecznik rządu Piotr Müller w rozmowie z Radiem Zet. Problem w tym, iż kamień milowy A71G przewiduje, że już w pierwszym kwartale przyszłego roku wszystkie umowy cywilnoprawne zostaną objęte składkami na ubezpieczenia społeczne: emerytalną, chorobową, rentową i wypadkową. Nie będzie to dotyczyć jedynie studentów i osób poniżej 26. roku życia.

Zmiany te w istotnym stopniu dotkną kilkaset tysięcy pracowników. Zapewnią im ubezpieczenie społeczne, co jest chwalebne, jednak równocześnie zmniejszą comiesięczne zarobki. Przy umowie o dzieło na 4 tys. zł oznaczać to będzie spadek wypłaty o niecałe 500 zł. Na razie jednak wciąż nie ma projektu ustawy (ostateczny termin w KPO to pierwszy kwartał 2023 r.), a członkowie rządu najwyraźniej nie zdają sobie nawet sprawy, że muszą takie zadanie wykonać.

– Umowy cywilnoprawne są patologią, gdy zastępują umowy kodeksowe. Główne zadania ma tu inspekcja pracy, która powinna być odpowiednio finansowana i wyposażona w narzędzia do surowego i szybkiego karania. Oskładkowanie wszystkich umów może coś w tej sprawie zmieni, ale nie upatruję w tym zasadniczego rozwiązania nierówności na rynku pracy – mówi prof. Ryszard Szarfenberg z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

To nie wszystkie istotne zmiany w tym obszarze zawarte w KPO. Do końca obecnego roku powinny wejść w życie przepisy dotyczące tzw. publicznych służb zatrudnienia (chodzi o inspektorów zajmujących się bezrobotnymi). I faktycznie, 14 czerwca do wykazu prac legislacyjnych rządu wpisany został projekt o aktywności zawodowej prowadzony przez minister Marlenę Maląg. Problem w tym, że dopiero na czwarty kwartał planowane jest jego przyjęcie przez Radę Ministrów. Ustawa przemknie więc zapewne przez parlament bez większego namysłu, choć wprowadzi rewolucyjne zmiany w funkcjonowaniu urzędów pracy. Według KPO powinny one „rozszerzyć grupę klientów urzędów pracy o osoby bierne zawodowo". Czyli o 4 mln osób, które z różnych powodów nie szukają pracy i są poza radarem urzędów. Dla porównania, obecnie w urzędach pracy zarejestrowanych jest ok. 900 tys. osób.

Według KPO ustawa powinna też wprowadzić obowiązek zgłaszania przez pracodawców wszystkich ofert do Centralnej Bazy Ofert Pracy. Obecnie zgłaszana jest zdecydowana mniejszość z nich. W efekcie zaledwie 3 proc. pracowników znalazło w Polsce zatrudnienie dzięki ogłoszeniom w urzędach. W CBOP widnieje 26 tys. ofert pracy, tymczasem według GUS liczba wakatów w Polsce jest ponad sześć razy większa. Od stycznia inspektorów oraz pracodawców czekają więc nowe obowiązki, tymczasem projekt ustawy został dopiero dopisany do wykazu prac rządu.

W naszym KPO znalazło się wiele zasadniczo trafnych reform, o których dyskutowało się w Polsce od dawna, ale brakowało woli politycznej, by je zrealizować. Teraz będziemy je uchwalać i wprowadzać w życie w trybie ekspresowym, stojąc pod ścianą, gdyż w razie niedotrzymania terminów będziemy czekać miesiącami na pieniądze z UE, a niektórych sum może w ogóle nie zobaczymy, jeśli realizacja zbytnio odbiegnie od założeń. Tymczasem gdyby politycy partii rządzącej w ostatnich latach mniej zajmowali się walką z Unią, Niemcami, mediami, samorządami i mniejszościami seksualnymi, większość z tych przełomowych projektów byłaby już dawno za nami. ©

Babcia kontra Olbrzym

ARCHIWUM TOMASZA MARKIEWKI / KOLORYZACJA TP-ONLINE

TOMASZ MARKIEWKA, FILOZOF:

W odniesieniu do wielkiej historii mieszkańcy wsi czuli się jak kibice na trybunach. Mieli swoich faworytów, ale nie mogli wbiec na boisko i wziąć udziału w grze. W życiu lokalnym sami byli bohaterami.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Boom na publikacje prezentujące inną historię Polski trwa. Pan pisząc „Nic się nie działo. Historia życia mojej babki" przyjął bardzo oryginalną perspektywę.

TOMASZ MARKIEWKA: Centralną postacią jest moja babcia, ale jednocześnie śledzimy Polskę jej oczami. Ludowe historie naszego kraju są dość ponure, pokazują, jak złe rzeczy robiono tzw. ludowi. Dobrze, że się o tym pisze, ale chciałem również pokazać, że ten lud nie jest tylko przedmiotem, ale też aktywnym uczestnikiem tego, co nazywamy Polską. Weźmy przykład świetlicy, postawionej w Liszkowie, opisywanej przeze mnie wsi, w latach 80. Można powiedzieć, że ufundował ją PRL, chcąc odgrywać rolę ludowego mecenasa, ale z perspektywy mojej babci, to ona i jej sąsiedzi stworzyli tę świetlicę.

Opisał Pan w książce metaforycznego Olbrzyma, czyli system, który tworzy wszechogarniające uwarunkowania, jednak często nie schodzi na poziom wsi.

Olbrzym jest symbolem zmian systemowych, wielkiej historii, która wpływa na wszystkich, ale ludzie z Liszkowa nie byli nią specjalnie zainteresowani. Nie od nich zależało, czy ktoś wywoła wojnę i w którym kierunku pójdą zmiany ustrojowe. Wyciąga się zwykle z tego wniosek, że tacy ludzie są bierni w życiu społecznym i politycznym. Oni są jednak aktywni, ale na poziomie lokalnym, tam widzą swoją sprawczość. Wiedzą, że mogą coś zrobić na terenie wsi, przy organizacji dożynek, życia szkoły, świetlicy, koła gospodyń wiejskich. Nie mogą zmienić globalnych relacji, więc mniej ich to obchodzi. W odniesieniu do wielkiej historii czuli się trochę jak kibice na trybunach, mieli faworytów, ale bez poczucia, że mogą wbiec na boisko i wziąć udział w grze. W życiu lokalnym sami byli bohaterami.

Pana babcia ciągle chciała czegoś nowego. Wyrwała się z rodzinnej wsi, by uwolnić się spod władzy matki, pojechać do Radkowa i udowodnić, że sobie poradzi. Potem w Liszkowie też chciała mieć wpływ na to, co się dookoła niej dzieje.

To znów zaprzeczenie stereotypom mówiącym, że mieszkańcy wsi są pozbawieni ambicji, zadowalają się trybem życia, w którym nic się nie zmienia. Historia mojej babci pokazuje – i nie jest to wyjątek – że ci ludzie chcieli czegoś nowego. Gdy tylko nadarzała się okazja, korzystali z niej. Jak z kołem gospodyń wiejskich, które powstało w Liszkowie w latach 60. i od razu przyciągnęło wiele tamtejszych kobiet, bo była to przestrzeń publiczna, w której mogły być aktywne. Podobnie było z zespołem folklorystycznym powstałym w latach 80. Na wsi jest duża potrzeba nowych rzeczy.

To, że takie możliwości się pojawiały, wynikało z tego, że – cytując tytuł książki – nic się nie działo, czyli ze stabilizacji, a także z modernizacji technologicznej, która uwalniała czas.

Zmiany w rodzaju wojny, nowych granic lub ustroju przychodziły z zewnątrz i wywracały życie do góry nogami. Były więc czymś niepokojącym. Ale gdy na poziomie globalnym panuje spokój, to bardzo dużo dzieje się na poziomie lokalnym. Świadomość, że mieszkam tu i za

Anna Markiewka (pierwsza z lewej) na pochodzie dożynkowym. Liszkowo, Kujawy, 1986 r.

rok też tak będzie, a moje warunki materialne nie pogorszą się drastycznie, pozwala angażować się w rozkręcanie życia społeczno-kulturalnego. Staje się to łatwiejsze, kiedy na wieś dociera postęp techniczny.

To nie przypadek, że koło gospodyń wiejskich w Liszkowie powstało w tym samym roku, w którym podłączono tam prąd, czyli w 1962. Wiele czynności, które wykonywały kobiety, nagle zaczęło być mniej czasochłonnych. Można było doić krowy dojarką, a nie ręcznie. Kilka lat później pojawiły się pralki. O tych procesach zupełnie się zapomina. Kiedy kłócimy się o PRL, mamy różne wizje. Jedna to taka, że było źle, bo jedzenie na kartki, dyktatura i wszystkie inne negatywne rzeczy, których nikt rozsądny nie neguje. Druga to pewna nostalgia, bo np. rozdawali mieszkania. Zapomina się jednak, że był to również moment wielkiego rozwoju technologicznego. Dla ludzi ze wsi było czymś niesamowitym, że żyli w świecie bez prądu, kanalizacji, lodówek, a kilka lat później to wszystko było już dostępne. Podczas rozmów o najważniejszych skojarzeniach z tego okresu, które prowadziłem z najstarszymi, mającymi ponad osiemdziesiąt lat mieszkańcami, zawsze wracali właśnie do tego. Nie było to nic związanego z Gomułką, Gierkiem czy Wałęsą, tylko fakt, że w domu nagle były prąd i toaleta. Mojemu pokoleniu już to umyka, bo rzeczy te są dla nas oczywistością.

Działać można było dzięki temu, co – według Pana babci – powinno być w każdej wsi, czyli dzięki kościołowi, szkole i świetlicy. Ta ostatnia pojawiła się najpóźniej, co zostało zagospodarowane głównie przez kobiety.

Fakt, że świetlica przyszła na końcu, częściowo tłumaczy, skąd bierze się konserwatywny charakter wsi. Jeżeli w każdej jest kościół pełniący funkcję centrum życia społecznego, to wiadomo, że czynnik religijny jest ważniejszy. Kiedy jednak pojawia się świetlica, to – faktycznie – kobiety wykazują tam największą aktywność. Wreszcie znajdują dla siebie miejsce w przestrzeni publicznej, bo tradycyjna polityka jest domeną mężczyzn. Moja babka działała we wszystkich trzech miejscach. Jako dziecko w kościele wygłaszała wierszyki, co stanowiło pierwsze przetarcie artystyczne. Pomagała odwozić nauczycieli szkolnych na pociąg do pobliskiej wsi. I tak samo w świetlicy – nie przychodziła obserwować, co ktoś robi, tylko sama tworzyła coś nowego.

To zatem też opowieść o tym, jak na przestrzeni lat zmieniały się normy społeczne, prawa kobiet. W PRL zachęcano je do pracy, ale jednocześnie nie zawsze było to możliwe. Z drugiej strony małżeństwo Pana babci nie było typowe, w końcu to mąż przeniósł się tam, gdzie żona dostała pracę, a nie na odwrót.

To, jak bardzo nowoczesne było małżeństwo moich dziadków, stanowiło jedno z największych zaskoczeń podczas pracy nad książką. Babcia w wieku szesnastu lat wyjechała do małego miasteczka, by pracować w fabryce. Kiedy wróciła do domu na święta, poznała dziadka, po kilku latach wzięli ślub i przenieśli się na wieś do jego rodziców. Babcia wolała jednak wrócić do miasta i dziadek się na to zgodził. Pojechał za kobietą, która miała pracę, a on musiał jej dopiero szukać. Kiedy urodziło im się dziecko, ustalili zasady wspólnej opieki i dzielenia się obowiązkami domowymi. A wszystko to pod koniec lat 50.

Tyle że świat PRL był zmieniony do połowy. Kładziono nacisk na wciąganie kobiet w życie zawodowe, dużo mówiono o równouprawnieniu, ale rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Kiedy babka i dziadek wrócili do Radkowa, często nie wiedzieli, co zrobić z dzieckiem na czas pracy, tym bardziej że spodziewali się kolejnego. Nie było żłobków, chociaż państwo obiecywało, że będzie je budować. Nie było też pod ręką rodziców ani teściów, którzy mieszkali kilkaset kilometrów dalej. Do głosu doszły wszystkie tradycyjne role, które sprawiły, że to moja babcia przejęła więcej obowiązków opieki nad dzieckiem. Wychowana tak, a nie inaczej czuła, że musi o to zadbać. Jednocześnie pojawiły się wyrzuty sumienia, że mąż pojechał za nią, zatrudnił się w kopalni, a to niebezpieczne i jak coś mu się stanie, będzie to jej wina. Konserwatywna część rzeczywistości sprawiła więc, że wrócili do Liszkowa, do rodziców mojego dziadka.

I dlatego to skomplikowana historia. Początkowo niby o wyjeździe ze wsi do miasta i budowie nowego życia. Ale po kilku latach mamy powrót na wieś. Nie jest to też jednak opowieść o nieudanej emancypacji, bo moja babcia nie wróciła do punktu wyjścia. Do Liszkowa przyjechała odmieniona, zwiększyły się jej wymagania, pewność siebie, chciała móc decydować o większej liczbie spraw. To długa walka, ale poniekąd zakończona zwycięstwem, bo uzyskała i we wsi, i w rodzinie zadowalający ją status. Nie da się tak łatwo oddzielić wątków konserwatywnych i postępowych.

Pana babcia pracowała od dziecka, często była to długa, rujnująca zdrowie robota. Jednocześnie na wsi ważna była współpraca, kupowanie jednej maszyny przez kilka rodzin, pomaganie sobie, co tworzyło więzi społeczne.

Nie chcę tego idealizować, bo piszę też, że wspólnota wiejska potrafiła być zamknięta i niewygodna dla ludzi, ↦

↦ którzy się wyróżniali. Np. teściowie mojej babci byli świadkami Jehowy i dla nich atmosfera we wsi bywała duszna. Spotykało się jednak wiele elementów współpracy, nazywanych przeze mnie wiejskim pragmatyzmem. Ludzie potrafili się w różnych kwestiach dogadać. Jak z dmuchawą do zboża. Można kupić własną, ale po co, skoro korzysta się z niej kilka dni w roku? Lepiej zrzucić się w kilka rodzin i wymieniać. Podobnie z rozwożeniem mleka, były dyżury – dziś ja zawożę do mleczarni mleko swoje i sąsiadów, jutro ktoś inny. Za tym stały warunki strukturalne – kluczem była pewność, że sąsiedzi nigdzie się nie wybierają. Kiedy się komuś pomogło, a ten ktoś się nie odwdzięczył, mógł zostać we wsi czarną owcą.

To się zmieniło. Gdy mój wujek przejmował gospodarstwo po babci, więzy międzyludzkie nie były już tak silne. Teraz jest zwykła transakcja finansowa – ja ci zapłacę tyle, ty zrobisz to, uścśniemy sobie ręce i koniec.

Jak wpisuje się to w dzisiejsze dyskusje o pracy?

Mamy dwa obozy. Jeden to zazwyczaj osoby starsze, tzw. ludzie sukcesu, reprezentowani np. przez Marcina Matczaka. Mają narrację, że ciężko pracowali, nawet 16 godzin dziennie, dorobili się, więc młodzież powinna wzorować się na nich. Drugi to umowni młodzi, którzy nie chcą tyle pracować, bo to niszczące dla zdrowia i mamy coraz więcej badań pokazujących, że nie przynosi to aż tak dużych korzyści gospodarczych. W dyskusji nie ma miejsca dla kogoś takiego jak moja babcia, która ciężko pracowała, ale nie zgromadziła wielkiego majątku. Najbardziej widocznym efektem harówy jest to, że jeszcze przed pięćdziesiątym rokiem życia musiała przejść operację, zaczęła chodzić o kulach, bo jedna z nóg nie wytrzymała obciążeń związanych z nieustannym schylaniem się i przenoszeniem ciężarów. Ona nie jest wyjątkiem: nie tylko na wsi – ale głównie tam – jest mnóstwo osób, które od dziecka ciężko pracowały. Są jednak dla nas niewidzialne i mam nadzieję, że moja książka przyczyni się do tego, by więcej o nich mówić. Narracja o tym, że pracą ludzie się bogacą, jest uproszczona, bo często przez nią zdrowie tracą. Może unikniemy też nadmiernej polaryzacji, bo gdy w dyskusji jest więcej obozów, to wszystko jest z jednej strony bardziej skomplikowane, ale z drugiej łatwiej szukać wspólnych punktów.

ARCHIWUM PRYWATNE

TOMASZ MARKIEWKA jest filozofem, publicystą, tłumaczem. Wykłada na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor książek: „Język neoliberalizmu" (2017), „Gniew" (2020), „Zmienić świat raz jeszcze. Jak wygrać walkę o klimat" (2021) oraz „Nic się nie działo. Historia życia mojej babki" (2022), której dotyczy ta rozmowa.

Ta polaryzacja zaczęła się rozwijać już w latach 90., które chociażby dla kół gospodyń wiejskich były czarną dziurą, życie na wsi mocno się zmieniło w tej dekadzie.

Przy czym stopniowo. Zwłaszcza w Liszkowie, gdzie PGR-y nie odgrywały większej roli, więc nie doświadczono tam zmiany ustrojowej jako wielkiego wstrząsu. Tak, wiele rzeczy zmieniło się na gorsze, jeśli chodzi o życie społeczno-kulturalne, początkowo spadło zainteresowanie kołem gospodyń wiejskich, bo lokalne władze uznały, że to PRL-owski przeżytek i nie ma sensu w niego inwestować. W latach 90. zaczęto też zamykać punkty biblioteczne i inne ośrodki kultury na wsi, dodatkowym negatywnym zjawiskiem była wzmożona migracja do miast. Ale nie spotkałem ani jednej osoby mieszkającej w Liszkowie, która nie przyznałaby, że jej prywatny dobrobyt poprawił się w czasach III RP. Tak więc z jednej strony mamy więcej aut i żyjemy o wiele bardziej komfortowo, z drugiej likwidujemy zespół folklorystyczny, drużynę piłkarską, połączenia autobusowe. To paradoks, którego nie odczuwa się w dużym mieście, gdzie dobrobyt prywatny i publiczny zwykle idą ręka w rękę.

W ostatnich latach nastąpił jednak renesans kół gospodyń wiejskich, coraz więcej sołtysek bierze na siebie najróżniejsze zadania i na nowo organizuje życie społeczno-kulturalne na wsi. Znów mamy moment, kiedy „nic się nie dzieje"?

Trochę tak, choć obecny kryzys może to zmienić. Pojawiło się poczucie stabilności, ludzie szybko nauczyli się, jak zdobywać nowe fundusze, np. z UE, na działalność kulturalną. To, że robią to kobiety, nie jest zaskoczeniem, po prostu w jakimś sensie kontynuują tradycję PRL. W przypadku Liszkowa problem polega na tym, że nie da się nadrobić pewnych rzeczy. Młodzież wyjechała, średnia wieku jest bardzo wysoka, ponowne rozkręcenie zespołu folklorystycznego byłoby trudne.

Nastąpiło zerwanie z tym, co było. Liszkowo najpierw zyskało przeszłość, pamięć, tożsamość, ale potem, o czym pisze Pan pod koniec, to zanikło.

Punkt startowy jest dziś jednak na pewno lepszy niż w czasach młodości mojej babci. Kiedy szukałem, co działo się w Liszkowie do lat 50., przed okresem, gdy ona się tam przeprowadziła, natrafiłem na czarną dziurę. W lokalnych gazetach czasem pojawiają się tylko notatki o miejscowej drużynie piłkarskiej. Na przełomie lat 40. i 50. wsie takie jak Liszkowo nie miały historii, a wszystko, co ludzie wiedzieli o przeszłości, było przekazywane ustnie, brakowało zaplecza instytucjonalnego. Pokolenie mojej babci musiało dopiero wytworzyć historię i to się udało, Liszkowo już ją ma, opowiadam ją w książce. Z drugiej strony, tak, doszło do zerwania, w tym sensie, że np. nie ma już zespołu Liszkowianek, ale jest pamięć, są zapiski, zdjęcia. Kobiety, które kiedyś w nim występowały, do dziś urządzają spotkania w świetlicy związane z różnymi rocznicami zespołu. Ani moja babcia, ani ja nie wiemy, jaka będzie przyszłość polskich wsi, czy będą się one zwijały, czy rozwijały. Liszkowo jednak – dzięki niej i ludziom takim jak ona – zyskało tożsamość. Można wreszcie opisać, co działo się tam przez ostatnie siedemdziesiąt lat. I że bohaterami tej historii są jej mieszkańcy. A to bardzo dużo.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

JACEK

Podsiadło:
Chodźmy na chaconę

Konserwatywne środowiska szesnastowiecznej Hiszpanii określały nowinki zza oceanu jako przywleczoną stamtąd „zarazę". Szczególnie często nazywano tak nieznane wcześniej formy muzyczne i style taneczne, które nie ukrywały swych amerykańskich i afrykańskich korzeni. Zaczynały karierę jako plebejskie *bailes*, hulanki, dopiero później niektóre z nich trafiły, już jako bardziej dystyngowane *danzas*, na salony. *Bailes* były to tańce dzikie, złe i brzydkie (Rodrigo Caro około 1625 r. przypisywał im „nieprzyzwoite i sprośne ruchy ciała"), *danzas* natomiast – kontrolowane, dobre i ładne („poruszenia ciał są cnotliwe i godne mężów"). Królewska Rada Kastylii zakazywała „jakichkolwiek *jácaras, escarraman, chaconas, seguidilli* i innych hulanek stanowiących obrazę moralności" wielokrotnie. Szczególnie grzeszne były *bailes* w wykonaniu kobiet, przysłowie mówiło: „Diabeł nauczył kobietę hulać, a osła ryczeć". Za wynalazcę diabelskich wygibasów uważano kulawego diabła Renfasa, „patrona" tancerzy i rozpustników. W „Pieczarze Salamanki" Cervantesa bezwstydna Leonarda wyznaje wstydliwie: „I ja po trosze próbowałam tego modnego eskarramaństwa, ale przez wzgląd na obyczajność i honor mego stanu, nie miałam śmiałości go tańczyć".

Cervantes wyspecjalizował się we wprowadzaniu do pisanych na święto Bożego Ciała *autos sacramentales* wątków potępienia „eskarramaństwa" jako pretekstu do prezentacji źle widzianych, a chętnie oglądanych nowinek obyczajowych. Francisco de Quevedo w „Discurso de todos los diablos" umieścił w piekle pikarejskiego poetę odpowiedzialnego za szaleństwo ukryte w samych nazwach takich tańców i piosenek jak *guyriguirigay, polvillo, gandi, tengue tengue, gatatumba, hu hu* i *dongolondron*; diabeł wypominał owemu pikarejczykowi także refreny „*vámonos á chacona*" i „*zarabanda y dura*". Satyryczne wizje de Quevedo jak najbardziej zakorzenione były w rzeczywistości i miały związek z wydarzeniami, których bohaterom na pewno nie było do śmiechu.

Zawołanie „*zarabanda y dura*" pochodzi z piosenki napisanej przez Pedro de Trejo w Meksyku w 1569 r. do *auto sacramental*. Refren „*El criador es ya criatura. / Zarabanda ven y dura*" („Sam stworzyciel jest stworzeniem. / Zarabando, przyjdź i zostań") ściągnął na autora gniew Świętego Oficjum, które oskarżyło go w 1575 r. o bluźnierstwo i zesłało na służbę w charakterze przymusowego żołnierza. De Trejo bronił się przed zarzutami bluźnierstwa wskazywaniem, że jego dzieło zyskało przecież kościelną aprobatę, będąc wystawionym podczas procesji Bożego Ciała, co wymagało uprzedniego zamkniętego pokazu dla władz miejskich i kościelnych. Jednak uroczystości bożocielne w owych czasach wymknęły się spod nadzoru, skoro przybrały karnawałową formę wielogodzinnych pochodów z udziałem muzyków, tancerzy, akrobatów, maszkar, przewoźnych scen i ruchomych machin, wśród których gubiła się i monstrancja, i pierwotny sens religijnego obchodu miasta.

Zgodnie z wymogami *auto sacramental* porywająca chacona ulegała personifikacji. W takiej postaci często porywała do tańca osoby duchowne. José de Valdivielso natchniony pobytem w domu obłąkanych w Toledo napisał „El Hospital de los locos" (1622), gdzie szaleństwo chacony staje się już bez mała jednostką chorobową. Dyrektorem wariatkowa jest pan Grzech, a wicedyrektorkami panie Uciecha i Chciwość. Wśród pacjentów znajdujemy pana Lucyfera, Świat, Rodzaj Ludzki i, jakżeby inaczej, panią Ciało. Akcja kręci się wokół polowania na panią Duszę, która też powinna wylądować w wariatkowie, ale miga się od tego dzięki wspólnictwu pana Rozuma. Kiedy dyrekcja opuszcza szpital, pacjenci wykorzystują to, żeby zająć się swoimi sprawami: Ciało prosi wszystkich do tańca, Lucyfer i Świat wykłócają się, który z nich jest większy, potem pan Świat emabluje panią Ciało... Dusza siada przy zastawionym stole między Łakomstwem a Ciałem. Pod koniec Łakomstwo proponuje pójść coś zjeść. Dusza pyta zatem, dokąd pójdą. „Chodźmy na Chaconę" – proponuje Łakomstwo. „Dobrze – zgadza się Dusza – chodźmy". I chór wariatów zgodnie wykrzykuje: „*Vida, vida, vida bona! / Vida, vámonos á Chacona!*".

Analogiczny refren odnajdujemy już w „Un sarão de la chacona", najstarszej chaconie zachowanej do dziś z kompletnym tekstem i muzyką. Juan Arañes opublikował ją w 1624 r. i uwiecznił w niej zwyczaj urządzania wieczorów tańca zwanych *sarãos*. Fabułę dyktuje sam hiszpański język, a chodzi w niej o to, że Almadán się ożenił, więc odbył się wieczorek taneczny, w którym wzięły udział rozliczne światowe sławy, nie wyłączając Murzynów i kurtyzan. Snobi z wyższych sfer tańczyli w samych gaciach, zaś z dwudziestoma poniedziałkami dźwiganymi na barana do tańca ruszyło trzydzieści niedziel (*domingos*), które mogą oznaczać dominikanów. Przy czym wszyscy oni siedzieli na grzbiecie rozjuszonego osła. A wszystkiemu temu, jakżeby inaczej, towarzyszył refren: „*A la vida, vidita bona, vida, vámonos a chacona!*".

Chodzi o to, że znaczenia nie mają większego znaczenia. Chodzi „tylko" o śpiew i taniec, bo są one furtką do wieczności. Matthias Maute, dyrektor Ensemble Caprice, we wkładce do płyty z chaconami napisał: „Powtarzanie jednego motywu harmonicznego ewokowało odczuwanie czasu jako wybiegającego daleko poza granice naszego fizycznego świata, tworząc iluzję wieczności". Chacona dziś to elegancka, salonowa muzyka, która w każdej chwili może wybuchnąć emocjami tłumionymi przez wieki. W każdej chwili ktoś może wyskoczyć z majtek. Z każdego tancerza może nagle wyleźć Murzyn lub Indianin. ©

WIARA

KOŁO ŻYCIA

MONIKA STASIAK, DORADCZYNI RYTUALNA:

Każdy ma w sobie potencjał tworzenia działań symbolicznych. Potrzebujemy rytuałów.

SZYMON ŻYŚKO: Kto prosi o świeckie ceremonie?

MONIKA STASIAK: Zauważam dwie grupy. Jedną są poszukujący, którzy albo byli związani wcześniej z jakąś religią (głównie katolicką), albo są po prostu spragnieni duchowości i próbują ją wyrażać rytualnie. Drugą są osoby, które już nie godzą się na uczestnictwo w rytuałach mainstreamowych, potrzebują czegoś indywidualnego i szukają kogoś, kto pomoże im to uporządkować.

Czy proszący o rytuały tłumaczą się z tego, że kiedyś byli wierzący? Mają syndrom sierot po katolicyzmie?

To temat, który prędzej czy później wypływa w rozmowach. Sama o to pytam, bo to ważne z punktu widzenia np. odbioru przez otoczenie lub ich potrzeb. Tacy ludzie mogą szukać czegoś, co wciąż jest blisko Kościoła. Ale czy spotykam sieroty? Chyba nie. Rzeczywiście pojawia się wątek tego, że ktoś był wierzący, ale odszedł od Kościoła i układa sobie na nowo życie duchowe bez poczucia porzucenia.

Jak wygląda przykładowy ślub świecki?

Etnograf Arnold van Gennep, badając obrzędy przejścia, wyróżnił w nich trzy fazy. Najpierw następuje wyłączenie z poprzedniej roli. Po niej mamy fazę liminalną, czyli graniczną, kiedy nie za bardzo możesz już wrócić, ale jeszcze nie jesteś na nowym etapie. Jest to faza oddechu, zastanowienia się nad tym, co będzie dalej, osadzenia się w tej przestrzeni. Pozwala na uporządkowanie i oswojenie emocji związanych z rytuałem przejścia. Pozwala poczuć, że jestem tu i teraz: nie ma mnie w poprzednim etapie, jestem gotowy na to, co będzie. Kolejna jest faza włączenia, czyli integracja z nową rolą, w której chcesz się znaleźć.

To struktura, która nie odnosi się tylko do ślubów, ale w ogóle do większości rytuałów, np. powitania dziecka, kiedy następuje wyłączenie go z fazy trochę nieokreślonej, ze stanu, kiedy dziecko nie jest jeszcze istotą społeczną, poprzez fazę graniczną, gdy trwa sam obrzęd, po włączenie w nową rolę już jako członka społeczności ludzkiej lub pozaludzkiej. Podobnie jest w rytuałach dojrzałościowych. W tradycyjnych kulturach bywało to – często brutalne – oddzielanie dzieci od matek, zwłaszcza chłopców. Poznawali święte nauki swojego plemienia lub społeczności. Byli przygotowywani, a następnie dopiero włączani w społeczność młodych mężczyzn lub kobiet, przyjmując przypisane im role kulturowe. Staram się to przenosić na rytuały świeckie, choć już w nowym kontekście, np. bez elementów przemocowych lub osadzenia w z góry przypisanych rolach płciowych.

O co Pani pyta przyszłych małżonków?

O świat wartości i o to, dlaczego decydują się na taką formę rytuału. Pytam, jak to się stało, że są ze sobą. Historia i wspólne wspomnienia są ważne, bo ich łączą. Pokazuję im też różne formy i symbole, i sprawdzam, czy są dla nich akceptowalne. Asi i Mikołajowi, z którymi pracowałam ostatnio, zaproponowałam np. formę spalenia czegoś z przeszłości jako symbol wyjścia z dawnej roli. Odpowiedzieli: „Nie, to jest straszne. Źle nam się kojarzy". Jest w tym dużo pracy z indywidualną wrażliwością osób.

Po ustaleniu kształtu ceremonii jest próba?

Para wchodzi w to na żywioł. Przeżywa swoją ceremonię raz, tu i teraz. Rzeczywiście mogłoby się wydawać, że z próbą będzie prościej, mniej stresu. Nie chodzi jednak o to, żeby całość wyreżyserować. Młodzi znają strukturę ceremonii, wiedzą, jak będzie wyglądał rytuał, i to daje im poczucie bezpieczeństwa. Moją rolą jest przeprowadzić ich przez cały proces zgodnie z ich wrażliwością. To nie jest przedstawienie w teatrze, tylko coś skierowanego do ich wnętrza. Budujemy zaufanie i relację. Dla mnie to zawsze poruszające, że ktoś wpuszcza mnie do swojego świata. Są takie rzeczy, które zostają również we mnie.

Jakie konkretne symbole towarzyszą nowożeńcom w trakcie rytuału?

To działania i gesty, które znamy już z wielu innych kultur. Z Asią i Mikołajem na początku zapaliliśmy świecę, która krążyła między zebranymi jako zawiązanie kręgu, wspólnoty. Ogień jest symbolem przemiany i jedności. Następnie weszliśmy w przestrzeń wody. Krążyła między nami miseczka z wodą jako symbol oczyszczenia przestrzeni i przygotowania jej na wydarzenie kulminacyjne.

Podczas ślubu korzystam też z turówki, ceremonialnej trawy, która pojawia się w kulturach rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej. Doskonale wyraża ważny kontekst: zaplatanie i rozplatanie. Pierwszym gestem jest rozplatanie warkoczy trawy każdej z osób, co oznacza rozejście się części powiązań z poprzednim życiem i rolą. Towarzyszy temu oddanie przedmiotu z dzieciństwa mamie i tacie. Później następuje faza liminalna: zasłonięcie oczu. Ciemność uważana jest za przestrzeń przejścia, w której wiele się może wydarzyć. To dla młodej pary moment ochłonięcia po pierwszej, wzruszającej części, w której następują przemowy rodziców i krewnych. W końcu następuje samo zaplatanie. Z dwóch pojedynczych warkoczy turówki młodzi tworzą jeden wspólny. Towarzyszy temu moje wprowadzenie: tłumaczę, że obie osoby są tak samo ważne w tym procesie. To rzeczywiste przelanie tekstu zawartego w napisanych przez nich przysięgach na konkretne działanie. Po wszystkim następuje zgaszenie świecy jako zakończenie ceremonii w świecie widzialnym, choć przecież ona nadal w nas pracuje.

Symbole w trakcie poszczególnych etapów rytuału mogą być różne: odcinanie, palenie, puszczanie czegoś na wodę... To zależy od tego, co do nas przemawia, działa na wyobraźnię, jest nam bliskie.

Jakiego rodzaju ceremonie Pani organizuje?

Podstawowe to wspomniana ceremonia powitania dziecka, która dotyczy zwykle noworodków lub rocznych dzieci. Następnie inicjacje dojrzałościowe, o które coraz więcej osób pyta, kiedy rówieśnicy idą do pierwszej komunii. Rodzice zastanawiają się, jak dokonać takiego obrzędu, który z jednej strony nie będzie wymuszony przez jakieś oczekiwanie zorganizowania imprezy, a z drugiej będzie nasz własny. Dalej są ceremonie ślubne i ceremonie pożegnania. Nie wykluczam, że będą pojawiały się inne. Część osób ma potrzebę wzmocnienia więzi, np. poprzez odnowienie przysięgi małżeńskiej. Kiedyś oglądałam relację z rytuału rozwodowego, co bardzo ciekawie wyglądało. Wymaga to oczywiście współpracy obu stron: rozejścia na takim poziomie, że uznajemy ten proces i oboje się z nim godzimy. Pojawiał się w nim symbol rozdzierania tkaniny i ponownego sczepiania go za pomocą agrafek. Już jesteśmy ↦

KARINA KRYSTOSIAK

Ślub Joanny i Mikołaja. Radość, Warszawa, czerwiec 2022 r.

Znaki Nieba

SAKRAMENTY są obrzędami i rytuałami, ale w katolicyzmie mają własną, ważną specyfikę. O ile świecki rytuał symbolicznie przywołuje rzeczywistość duchową, która jest „doczesna", czyli z tego świata, o tyle sakrament łączy dwa światy: przyrodzony i nadprzyrodzony, doczesny i wieczny.

DLA CHRZEŚCIJAN rzeczywistość doczesna została stworzona przez Boga, który ją nieustannie podtrzymuje w istnieniu i sobą przenika. Ponadto Bóg objawił się także w ludzkiej kulturze, przemawiając do Narodu Wybranego i przygotowując ostateczne objawienie w swoim Synu, Jezusie Chrystusie, który oddał życie za ludzi – umarł na krzyżu i zmartwychwstał, w ten sposób otwierając ludziom możliwość zbawienia. Od tego czasu mają wyjątkowy dostęp do rzeczywistości nadprzyrodzonej właśnie przez sakramenty.

OD POCZĄTKU chrześcijaństwa naśladowano dwa znaki wskazane przez Jezusa: chrzest i łamanie chleba, czyli eucharystię. Z czasem dochodziły inne – np. namaszczanie chorych naśladujące Jezusowe gesty uzdrawiania. Definicję sakramentu, która ustaliła jego rozumienie, sformułował w V wieku św. Augustyn – widział w nim zewnętrzny znak nadprzyrodzonej rzeczywistości, który udziela tego, co oznacza. Ponieważ rzeczywistością udzielaną jest sam Bóg, sakrament pozwala osobie przyjmującej go z odpowiednimi dyspozycjami łączyć się z Bogiem. Jest to – jak się mówi w teologii – „skuteczny znak łaski", czyli sposób na kontakt z Niebem.

ŹRÓDŁEM SAKRAMENTÓW jest w katolicyzmie Bóg, zatem Kościół ich nie tworzy, tylko rozpoznaje i nie może ich dowolnie zmieniać (zwłaszcza tzw. materii i formy sakramentu). Do XII w. rozpoznano siedem sakramentów (najdłużej spory trwały o sakramentalność małżeństwa). Trzy z nich – chrzest, bierzmowanie i eucharystia – wprowadzają w życie chrześcijańskie, są sakramentami wtajemniczenia. Sakramenty pokuty i namaszczenia chorych uzdrawiają – pierwszy z grzechu, drugi przywraca zdrowie duchowe i fizyczne (jeśli to służy zbawieniu chorego) oraz przygotowuje do śmierci (a w przypadku, gdy nie jest możliwa wcześniejsza spowiedź, przy odpowiedniej dyspozycji przyjmującego także odpuszcza grzechy). Sakramenty społeczne – małżeństwo i kapłaństwo – uzdalniają do przyjęcia powołań ważnych dla misji chrześcijańskiej.

POCHODZENIE OD JEZUSA jest w chrześcijaństwie podstawowym kryterium sakramentu. Między wspólnotami chrześcijańskimi trwają spory o to pochodzenie. Poszczególne wspólnoty różnią się liczbą uznawanych sakramentów. Są też takie, które za sakrament uznają np. obmycie nóg.

©℗ ARTUR SPORNIAK

↦ odrębnymi częściami i nie łączy nas to, co dotąd łączyło, ale nie chcemy, żeby te więzi uległy zniszczeniu.

Zatrzymajmy się przy inicjacji dojrzałościowej. Czy to realna potrzeba dziecka na tym etapie rozwoju, czy raczej odpowiedź na wykluczenie brakiem pierwszej komunii?

Sama się nad tym zastanawiam. Myślę, że z jednej strony to potrzeba, żeby moment dojrzewania zaznaczać, ale z drugiej strony rytuały komunijne proces ten przyspieszają. Sam moment spokojnie mógłby jeszcze poczekać rok, dwa, trzy lata, kiedy te dzieciaki rzeczywiście będą czuły własną potrzebę. Mamy tu więc pewien kompromis: łączenie potrzeb rodziców i potrzeb dzieci, by stać się częścią jakiejś grupy rówieśników. Myślę, że wierzące dzieci mają w komunii coś, co jest dla nich ważne nie tylko na poziomie imprezy, ale też przeżycia.

Inicjacja pozwala zaznaczyć moment wkroczenia w wiek dojrzewania, ułatwić ten czas, w którym zaczyna się zmieniać ciało i psychika. W nawiązaniu do ciałopozytywności – jak byśmy to dzisiaj nazwali – ułatwiamy dziecku zrozumienie, że te procesy są naturalne i będą się działy. Dajemy komunikat, że młoda osoba jest już na to gotowa i ma wsparcie rodziców, przyjaciół, krewnych.

Napisała Pani na swoim profilu w mediach społecznościowych: „Super, że nie chcemy obciążać dzieci ciężarem naszych wyborów światopoglądowych i szukamy dla nich alternatyw wobec obrzędów religijnych". Czy inicjacja w zakresie świeckich wartości nie jest jednak obciążaniem dzieci wyborem światopoglądu rodziców?

W procesie wychowawczym zawsze wpływamy własnym światopoglądem na świat dziecka. Przy rytuałach świeckich dziecko jest jednak brane pod uwagę jako partner. Nie ma czegoś takiego, że narzucamy mu naszą wizję i ono musi się dostosować. Robimy coś, jeśli to dla dziecka jest w porządku.

Czyli dziecko ma udział w tworzeniu własnego rytuału?

To nie może się odbywać bez jego zgody i zaangażowania. Ja nawet nie chciałabym prowadzić rytuału, który jest wymysłem rodziców, a dziecko jest poza nim.

O czym nam mówią momenty przejścia? Dlaczego potrzebujemy rytuałów?

Spójrzmy choćby przez pryzmat narodzin. To ogromna zmiana dla wszystkich, i na wielu poziomach. Rzadko się mówi przyszłym rodzicom, że ich życie będzie teraz drastycznie inne. Rytuał służy więc zaproszeniu dziecka do naszego życia i gotowości na podzielenie się z nim przestrzenią, ale też uświadomieniu sobie, jaka zmiana właśnie zachodzi.

Niektórzy myślą: „po co nam ślub, już i tak jesteśmy razem". Ludzie jednak dążą mimo wszystko do tego, żeby mieć potwierdzenie nie tylko w formie dokumentu. By poszło za tym coś więcej. Chcą przeżycia zakorzenionego w nich samych. Jedna z osób, której prowadziłam rytuał ślubny, powiedziała, że czuje się teraz wypełniona światłem. To coś, co pozwala przejść przez zmianę nie tylko na poziomie decyzji administracyjnej. Angażujesz w to całego siebie. Kiedy zaplatacie razem turówkę lub dokonujecie innego działania symbolicznego, łączycie się w sposób, którego słowa nie są w stanie wyrazić.

Wreszcie mamy te momenty związane z odchodzeniem, gdy musisz pogodzić się

ze stratą jakiejś osoby. Rytuały są elementem przeżywania żałoby i godzenia się ze stratą. Widać to szczególnie w przypadku rodzin, których bliscy zginęli w taki sposób, że nie ma ciała. Dopóki nie pożegnasz tej osoby, dopóty trudno ci będzie robić cokolwiek dalej.

Przejścia zatem to momenty graniczne w naszym życiu, kiedy coś zyskujemy lub coś tracimy, a najczęściej jedno i drugie, bo jeżeli zyskujesz siebie jako część małżeństwa, to jednocześnie tracisz siebie jako osobę niezależną. Musisz się z tym oswoić.

Wyobraża sobie Pani rytuał dla kogoś, kto ciężko zachorował i chce się pogodzić z tym stanem, lub odwrotnie: wyszedł z ciężkiej choroby i wraca do pełni życia?

Myślę, że tak. Oczywiście zawsze warto zaprosić do tego procesu najpierw terapeutę, jeśli czujesz, że musisz to przepracować. Ja nie roszczę sobie takiego prawa, że wpłynę na czyjeś życie i uporządkuję je psychicznie. Można zresztą myśleć o rytuałach nie tylko jako o dużych wydarzeniach, ale też o takich, które są ważne dla nas indywidualnie. I samemu spróbować odnaleźć ich formułę.

Czyli mamy moc tworzenia własnych rytuałów i nie potrzebujemy do tego specjalnych łączników z duchową rzeczywistością?

Często tworzymy sobie mikrorytuały. Przykładem Serena Williams, która przed każdym serwisem odbija piłkę określoną ilość razy, co ma jej przynieść szczęście. Oczywiście na poziomie racjonalnym to nie ma nic wspólnego z wynikiem, jaki osiągnie, ale na poziomie nieracjonalnym czuje, że to w jakiś sposób działa. My też wykonujemy małe codzienne gesty, które nas programują, dodają sił. Każdy ma w sobie ten potencjał tworzenia działań symbolicznych. Łącznicy mogą pomagać w projektowaniu rytuałów przejścia, ale nie mają na to wyłączności.

A co kieruje ludzi do Pani? Bardziej potrzeba duchowości czy rytualizmu?

To jest połączone: rytuały są fizycznym wyrazem tego, co duchowe. Twórca współczesnego druidyzmu powiedział, że rytuały są poezją w świecie czynów. Na poziomie tego, co namacalne i realizowane czynami, pozwalają realizować potrzeby duchowe. Osoby, które proszą mnie o ceremonie rytualne, czasem potrzebują więcej duchowości, a czasem czegoś, co będzie bardziej skrojone pod nich. Ta duchowość nie przebija się tak mocno w ich pragnieniach.

Ale spotykam się też z ludźmi, z którymi ostatecznie ścieżki się rozchodzą. Kiedy ktoś pisze, że bierze ślub i chciałby „przy okazji jakąś ceremonię", czuję, że z tego nic nie wyjdzie. Nie chodzi o zaproszenie na ślub firmy eventowej. Do mnie przychodzą osoby, które rytuał i przeżycie duchowe traktują jako coś, co wynika z głębi i realnej potrzeby.

Czy rytualizm jest zatem dobry?

Rytualizm rytualizmowi nierówny. Jeśli to przemyślany proces, w który angażujesz swój świat wartości, to nie widzę większych zagrożeń. Wyobrażam sobie natomiast taką sytuację, w której wchodzisz w jakąś strukturę z wygody. Ryzykiem jest brak otwartej rozmowy, w której celebrans lub doradca mówi wprost, że nie przychodzi rozwiązać problemów za pomocą rytuałów lub dać odpowiedzi na wszystko.

Angażuje Pani w ceremonie duchownych innych obrządków i religii?

Ostatnio para poprosiła o współudział w ceremonii pewnego zakonnika. O. Wojciech Drążek CMM działa w Ruchu Odnowy Kontemplacyjnej. To był kompromis pomiędzy częścią gości, którzy na różnych poziomach są wciąż związani z chrześcijaństwem, a potrzebą i dążeniem młodej pary do stworzenia własnego przeżycia duchowego. To było ciekawe połączenie. Najpierw medytacja i modlitwa głębi, w której można było uczestniczyć dobrowolnie, a po niej sama ceremonia rytualna. Nie było między nami konkurencji typu ksiądz kontra dziewczyna od ceremonii. Robiliśmy to w akceptacji, że istnieją różne ścieżki, którymi podążamy, i mamy w sobie zgodę, że duchowość objawia się różnie.

Czy istnieją rytuały przejścia, których nie znajdziemy w Kościele katolickim?

Można zapytać odwrotnie: czy są w Kościele rytuały, które nie występowały w kulturach tradycyjnych? Wszystko jest odbiciem podstawowych pragnień, które pojawiają się w ludzkim życiu.

Jest pewien rytuał, który prowadzę. Nazywa się Zgromadzeniem Wszystkich Istot i został zaprojektowany przez osoby związane z ruchem głębokiej ekologii, m.in. Joannę Macy czy Johna Seeda. To rytuał i warsztat jednocześnie, który ma sprzyjać odnowieniu naszej więzi z Ziemią. Zrozumieniu na głębokim poziomie – również czuciu – tego, co złego ↦

KARINA KRYSTOSIAK

MONIKA STASIAK jest doradczynią rytualną, etnolożką, rękodzielniczką i aktywistką przyrodniczą. Prowadzi profil: „Na progu – rytuały przejścia, warsztaty, ceremonie świeckie".

↦ dzieje się z naszą planetą, byśmy mogli efektywniej działać na rzecz jej ochrony. Jego istotą jest wczuwanie się w różne istoty. To brzmi banalnie, ale dzieją się niesamowite rzeczy, gdy zaczynasz przemawiać z perspektywy rzeki, góry, jeża, modraszka. Wielu uczestników działa później na rzecz ochrony bioróżnorodności.

Jak reagują bliscy proszących o rytuał świecki?

Jak dotąd spotykam się z akceptacją – nawet dla mnie samej czasem zaskakującą. Prowadziłam np. ceremonię pogrzebową, dość nowatorską nawet w stosunku do pogrzebów prowadzonych przez mistrzów ceremonii. Pojawił się tam motyw budowania przestrzeni wspomnień o zmarłym. Uczestnicy podchodzili zapalić świecę, a na koniec sadziliśmy roślinę jako symbol tego, że coś odchodzi, a coś zostaje – ta energia dalej krąży w świecie. Było dużo osób starszych, ale wszyscy się zaangażowali. Każdy dosypywał garść ziemi. Później

TP POŻEGNANIE

GRAŻYNA MAKARA

Marta Bogucka (stoi) z Iwoną Kuciel i Piotrem Mucharskim w redakcji przy Wiślnej 12, marzec 2020 r.

ś.† p.

Marta Bogucka

była z nami w „Tygodniku” od 1997 roku.

Odeszła 18 lipca 2022 r., po długiej, bezlitosnej chorobie,
której nie przemogła nawet jej nieustępliwa dobroć i pogoda ducha.
Wcześniej dzieliła się nimi szczodrze z każdym z nas w codziennych zajęciach
i w pracy nad kolejnymi numerami pisma. Lubiła tworzyć, nie lubiła odtwarzać.
Zwykła mówić cicho, lecz śmiała się głośno.

Będzie nam brakować, Marto, Twojego śmiechu i zatroskania,
że znowu zrobiliśmy coś głupio lub nie tak.

Dziękujemy za światło, które dawałaś. Będziemy pamiętać.

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”

zebrani mówili, że potrzebowali takiej formy.

Czasu na przygotowanie przy pogrzebach jest zdecydowanie mniej.

Czasu zawsze jest na tyle, żeby porozmawiać. I ta rozmowa też ma znaczenie dla żałoby bliskich. Spotkanie jest podstawą rytuałów. To coś, od czego odeszliśmy zarówno w religii instytucjonalnej, jak w uroczystościach cywilnych. W kulturach tradycyjnych osoba prowadząca takie spotkania była częścią społeczności.

Rytuały przejścia mogą być zatem powrotem do więzi wspólnotowych.

Wśród świeckich mistrzów ceremonii panuje zasada niełączenia rytuałów ślubów i pogrzebów. Pani prowadzi obie ceremonie.

Myślę, że chodzi o wyparcie pewnych zjawisk. To, co radosne, ma być radosne, a śmierć niech pozostanie we własnej przestrzeni. Ja to łączę, ponieważ wszystko jest częścią życia. Przy każdym z rytuałów coś tracimy i zyskujemy. To koło życia, którego nie jesteśmy w stanie przerwać. Możemy to jedynie wypierać, ale wszyscy jesteśmy w nim połączeni. W naszych rytuałach rodzinnych pojawia się to przenikanie, kiedy np. przy okazji jakichś świątecznych kolacji pozostawiamy jedzenie dla przodków jako symbol pamięci o nich.

Czy są jakieś granice rytualizmu, których Pani nie przekroczy?

Jeżeli wiem, że nie wszystkie osoby uczestniczące w rytuale się na to godzą, to odmawiam. Biorę również pod uwagę podstawowe przesłanki prawne, jak to ma miejsce przy ślubach humanistycznych. Jeśli jedna z osób pragnących ślubu byłaby niepełnoletnia, ubezwłasnowolniona albo osoby byłyby spokrewnione w linii prostej, nie poprowadzę ceremonii. Mimo że rytuał świecki jest pewnym działaniem symbolicznym i nie niesie ze sobą skutków prawnych, nie chcę działać wbrew prawu. Ale nie jest to sztywna reguła. Myślę np. o osobach LGBT+, które z prawnego punktu widzenia w Polsce nie mogą wziąć ślubu i sformalizować relacji. Chętnie stworzyłabym dla takich par ceremonię ślubną.

© Rozmawiał SZYMON ŻYŚKO

Pomogła żyrafa

JACEK TARAN

Afryka przyciąga. Jednak aby móc tu pomagać, trzeba być silnym – mówi świecka misjonarka z Krakowa.

Tereska ma błyszczące oczy, którymi patrzy tak, jakby od tego patrzenia zależało jej życie. Jak wszystkie dzieci z Kenii, uwielbia pstrokate bluzki i kolorowe koraliki wplecione w warkocze.

Ojca nigdy nie znała. Kiedy miała dwa lata, zmarła jej matka. Przygarnęła ją babcia, ale nie minęły nawet dwa tygodnie, a babcia też zmarła. Trafiła do stryjecznego dziadka, ale i on zmarł po dwóch tygodniach. Wieś wydała wyrok – Tereska jest przeklęta. Znalazł się wprawdzie jeszcze jakiś wujek, może brat, a może kuzyn mamy, ale stanowczo odmówił: „Nie wezmę jej, nie jestem gotowy na śmierć".

W końcu Tereska trafiła do szkoły i sierocińca – jak na razie, tu nikt nie umarł.

Córka Adama

Ewa Korbut, świecka misjonarka pracująca w Kenii, takich historii zna mnóstwo. W Afryce mieszka niemal od czterech lat z krótkimi przerwami.

W kawiarni, w której się spotykamy, mówi: – Kawa musi być biała i mocna, jak ja. Nadali mi tam imię „Nkatha", co w języku ludu Meru znaczy „kobieta o silnym charakterze". A tego, że jestem biała, nie da się przecież ukryć. Może w dużych miastach nikt na to nie patrzy, ale we wsiach, gdzie jeździmy z rekolekcjami, jestem atrakcją sezonu.

Na pytanie, kim się czuje, odpowiada niemal biblijną frazą: „Ja jestem Ewa, córka Adama z Krakowa". W gimnazjum trafiła do stowarzyszenia Ruch Światło-Życie, działającego w parafii na krakowskich Piaskach.

– Tutaj Pan Jezus mnie dorwał – mówi – i trzyma do dziś. Pamiętam pierwsze rekolekcje w Oazie, kiedy miałam 14 lat. Myślę, że On wtedy wiedział, że za 20 lat takie same rekolekcje będę prowadzić dla nastolatków z innego kręgu kulturowego, mówiących innym językiem. Jezus musi mieć niezłe poczucie humoru, że tak to zorganizował.

W swojej drodze do Afryki Ewa widzi plan, który powstał gdzieś ponad nami, Boże działanie: – Wierzę, że to Pan Jezus mnie tam posłał, bo wszystko, co robiłam wcześniej, składa się na sumę tego, co dziś robię w Afryce.

W 2016 r. Ewa pracuje w miejscu, w którym dużo mówi się o wyjazdach na misje. – Tym gadaniem Jezus mnie urabiał, bo mnie to w ogóle nie interesowało, ale jednak gdzieś w tyle głowy pewnie ta myśl zaczynała kiełkować – wspomina.

Potem trafiła do organizacji charytatywnej, gdzie zajmowała się fundraisingiem, i tam też spotkała osoby mające doświadczenie misji w Afryce. Znów widzi w tym działanie Jezusa. Zdobyte wtedy umiejętności bardzo przydały się w Kenii, kiedy musiała zebrać fundusze na budowę dużego dormitorium dla dzieci z lokalnej szkoły. Gdy okazało się, że w dotychczasowym miejscu pracy nie przedłużą jej umowy, postanowiła zmienić swoje życie. – Nie miałam nic do stracenia, więc pomyślałam: „Jezu, skoro tak ciągle mi podsuwasz tę Afrykę, to może warto odpowiedzieć?".

Pierwszy raz pojechała do Kenii w 2018 r. i od razu stanęła przed pytaniem: „A co by było, jakbyśmy potrzebowali tu kogoś na dłużej?". – Musiałam to przemodlić, przepracować postem i modlitwą, aż w końcu znalazłam odpowiedź: w sumie czemu nie? Wchodzę w to!

W kolejnym roku pojechała jeszcze raz na krótko, żeby dać sobie czas na ostateczną decyzję. Wróciła odmieniona, oczarowana Afryką, dzieciakami, tym, jak przeżywają rekolekcje, ich entuzjastycznym nastawieniem do spotkania z Bogiem. Ksiądz, który opiekował się rekolekcjami z ramienia Ruchu Światło-Życie, zasugerował znów, że dobrze by było mieć tam kogoś na ↦

ARCHIWUM PRYWATNE X2

stałe, byłoby łatwiej załatwiać wiele rzeczy. – Zostałam więc na tym lądzie, który wcale nie jest czarny, tylko kolorowy i radosny. To był 2020 r., tuż przed pandemią – wspomina.

Kawałek Polski

Ruch Światło-Życie posyła Ewę na misje do szkoły Shalom Home w Mitunguu, ponad dwieście kilometrów na północny wschód od stolicy kraju, Nairobi. W Kenii odległość mierzy się nie kilometrami, a ceną przejazdu – z Mitunguu do Nairobi jest 750 szylingów, czyli daleko. Placówka kształci dzieci na poziomie podstawowym, oferuje też naukę zawodu, głównie dla chłopców. Jej uczniami są dzieci z przyszkolnego sierocińca i zamiejscowe, które mieszkają w internacie. Największe jak dotąd wyzwanie, jakie stanęło przed Ewą, to rozbudowa dormitorium dla uczniów.

Kilka lat temu kenijskie ministerstwo edukacji wprowadziło przepis, że budynki sypialne dla chłopców i dziewczyn szkół koedukacyjnych muszą być oddzielne. – Na naszą szkołę przymykali trochę oko – mówi Ewa Korbut – bo to szkoła z sierocińcem i wiele dzieciaków nie ma dokąd wrócić. Ale w końcu powiedzieli: „Koniec przywilejów – musicie rozdzielić dzieciaki". Nie było pieniędzy na budowę, żadnych oszczędności, materiałów, nie mieliśmy nic. Najgorsze, co mogło się wydarzyć, to odesłanie dziewczynek do domu i zostawienie w niej tylko chłopców, którzy mogli się uczyć zawodu. Na to nie chciałam się zgodzić. Pomyślałam – ogłoszę zbiórkę w Polsce. Jak się uda zebrać chociaż dziesięć procent, to zaczniemy, a potem będziemy się modlić i martwić, co dalej.

Ewa przygotowuje zbiórkę na 550 tys. zł. Ogłasza ją na Facebooku, rozsyła do znajomych, pomaga jej mieszkająca w Polsce mama. Całą kwotę udało się zebrać w kilka miesięcy. Dziś budynek stoi niemal gotowy, a uczniowie i personel szkoły liczą dni do jego otwarcia. – To tylko kwestia wykończenia, brakuje nam trochę materiałów, bo ze stalą jest problem, z armaturą jest problem – mówi Ewa. – Ale za to już wisi na ścianie tablica „kawałek Polski w Kenii".

Mamo, co tylko chcesz!

Kenia jest krajem o bardzo dużym zróżnicowaniu społecznym. W Nairobi tuż obok wieżowców są dzielnice slumsów, w których ludzie żyją w blaszanych barakach rozgrzewających się od słońca tak, że przebywanie w ich wnętrzu staje się niemożliwe.

Wystarczy odjechać ledwie kilka szylingów od stolicy, by zobaczyć, jak diametralnie różne jest życie mieszkańców prowincji. Wsie zwykle składają się z lepianek krytych palmowymi liśćmi, budynki murowane są rzadkością. Prawie zawsze są to kościoły lub powstające w ich sąsiedztwie szkoły. Dominuje chrześcijaństwo ze znaczną przewagą kościołów protestanckich (54 proc. populacji), głównie zielonoświątkowców. Katolicy stanowią tu około 20 proc. wszystkich mieszkańców (blisko 10 mln osób).

To właśnie kościoły i powstające przy nich szkoły są dla młodzieży szansą na wyrwanie się z biedy. Co to oznacza w Kenii? Jeden z podopiecznych Ewy odpowiada: „Chciałbym żyć takim życiem, żeby móc powiedzieć, mamo, co chcesz, to ja ci to kupię!". Niektórzy marzą, żeby wyrwać się do miasta, inni myślą, żeby wrócić do wsi i być nauczycielem, żeby kolejne pokolenia mogły zdobywać edukację.

Ewa Korbut opowiada o Derricku, który trafił do szkoły Shalom Home w niedalekiej wsi: – Na pierwsze spotkania oazowe zaczął przychodzić jeszcze w podstawówce. W liceum jeździł z nami na rekolekcje. Jego mama zmarła, kiedy był dzieckiem, wychowywał go ojciec. Potem okazało się, że nie jest jego prawdziwym ojcem. Derrick zamieszkał z bratem matki. Mówi nam tak: „Wiesz Ewa, patrzę z żalem na moich rówieśników, którzy co zarobią, to potem wydają

Budowa dormitorium przy szkole Shalom Home w Mitunguu, 25 stycznia 2022 r.

Obok: Ewa z jedną ze swoich podopiecznych. Kenia, 24 maja 2022 r

na narkotyki, nie mają rodziny, nie mają perspektyw".

– Derrick jest teraz na drugim roku studiów – kontynuuje Ewa. – Pomagamy mu z czynszem, ten wujek opłaca mu czesne. Podczas pierwszych rekolekcji dowiedział się o inicjatywie Krucjata Wyzwolenia Człowieka, czyli o decyzji o abstynencji od alkoholu, narkotyków. Uważa, że to uratowało jego przyszłość. Teraz jeździ z nami na rekolekcje, dzieli się swoim świadectwem. Przykład osoby miejscowej bardzo działa na ludzi, pokazuje, że można inaczej żyć. Zawsze, jak spotyka Polaków, przedstawia się po polsku, że jest Deryczek Podróżnik, tak go nazwaliśmy.

Albo inna historia: – Przemianę Shareen uważam za mój pierwszy sukces – mówi Ewa. – Jest tu z bratem i siostrą, pochodzą z pobliskiego miasteczka. Ich mama jest prostytutką, więc dzieciaki są u nas właściwie na stałe. Shareen miała dystans do ludzi, potrafiła się wyłączyć, siedziała jakby nieobecna, w ogóle się nie odzywała. Trudno było nawiązać z nią kontakt. Raz rozbiła sobie kolano i przybiegła po pomoc do mnie, zawołała: „Ewa, Ewa, zobacz na kolano!". Nakleiłam jej plasterek z żyrafą i potem wszystkie dzieciaki przybiegały z każdym urazem, udawanym lub prawdziwym, żeby tylko mieć taki kolorowy plasterek. To Shareen wyrwało ze stuporu.

Jeden Zbawiciel wystarczy

W szkole Shalom Home Ewa nie zajmuje żadnego stanowiska. W Polsce zatrudnia ją wspólnota Ruch Światło-Życie. Jest łącznikiem pomiędzy światem Afryki a strukturami organizacji w Polsce. Często bierze zastępstwa za nauczycieli albo pierze i ceruje mundurki dzieciaków, organizuje rekolekcje wyjazdowe. – Wśród moich ciężkich obowiązków misjonarza jest też gra w piłkę, dmuchanie balonów, rzucanie frisbee – wylicza.

Jedno z jej najważniejszych zadań to organizacja adopcji na odległość. – Koszt utrzymania jednego dziecka to około stu dwudziestu złotych. W naszej szkole z internatem kwota ta pokrywa całe czesne, wyżywienie, podstawowe zakupy. W szkołach bez internatu wychodzi jeszcze mniej. W tej chwili stale z Polski wspiera nas ponad czterysta osób, ale potrzeby są ciągle bardzo duże – dodaje.

W tych działaniach Ewa widzi realizowanie Ewangelii. – Mam świadomość, że jestem tylko narzędziem – mówi. – Nie myślę, że zbawiam Afrykę, bo jeden Zbawiciel już jest i drugiego nie trzeba, ale możemy mu pomóc w tym dziele. Cały czas mówimy o tym, że Kościół jest misyjny, i rzeczywiście tak jest, ale to można realizować na różne sposoby. Niektórzy mogą wysłać sto dwadzieścia złotych miesięcznie, a inni mogą te pieniądze na miejscu zagospodarować dla konkretnych osób. Staram się pomagać Zbawicielowi.

Każdemu z polskich sponsorów Ewa regularnie przesyła zdjęcia dzieci, informacje o sytuacji, postępach w nauce i stanie zdrowia.

Entuzjazm

Ewa chciałaby przenieść z Kenii do Polski tutejszy entuzjazm. – Uderzyło mnie to od pierwszych dni tutaj. Wystarczy, że idę ulicą, a ludzie od razu się do mnie uśmiechają. Okazują radość ze wszystkiego, także z małych rzeczy, i wszystko celebrują tańcem i śpiewem. Tak jest też w kościele – okazywanej tam radości nie da się opisać, a tym bardziej wyobrazić sobie w naszych świątyniach. Kiedy jedna z jeżdżących z nami na rekolekcje dziewczyn skończyła uniwersytet i wróciła do wsi, to na jej powitanie zorganizowano procesję, tańce i mszę dziękczynną. My uznajemy coś za zwyczajne, a tu z tego powodu robi się imprezę na całą wieś.

Misjonarka wspomina także o zaskakujących relacjach z Kenijczykami i o tym, jak jest przyjmowana. – Oni są niesamowicie otwarci, gościnni i wdzięczni nawet za małe rzeczy. Kiedyś poszłam do kogoś na obiad. Na moje przywitanie zaczęło przemawiać kilka osób, mówiąc, jak się cieszą, że przyszłam. „Ej, ale to ja zjadłam obiad! To ja powinnam dziękować!". Oni żyją w kulturze przemówień. Podczas rekolekcji w parafii też jest zawsze seria przemówień i podziękowań.

Dwa domy

Coraz trudniej jest Ewie Korbut znaleźć odpowiedź na pytanie, które miejsce nazywa swoim domem. Czy jest on w Polsce, czy w Afryce? – Teraz mam dwa domy – mówi. – Mam poczucie, że rzeczywiście odnalazłam tam swoje miejsce – mam co robić i to przynosi efekty. Czy jest to zabawa z jednym dzieckiem, czy budowanie budynku na dwieście pięćdziesiąt łóżek. I tam też zaczynam mieć rodzinę, bo często proszą mnie o zostanie matką chrzestną. Przecież nie zostawię tych moich dzieci – na przykład mojej chrześnicy Faustynki, która jest bardzo chora i ciągle jeżdżę z nią po lekarzach.

Planów na przyszłość jest dużo. Dziś najważniejsze jest oficjalne zarejestrowanie w Kenii stowarzyszenia Ruch Światło-Życie. To otworzy wiele możliwości, choćby prawo do posiadania ziemi, na której powstanie centrum misyjne.

Coraz poważniejszym problemem do rozwiązania jest nękająca Kenię susza. – W tym roku jest ona szczególnie dotkliwa – mówi Ewa. – Powinno już w kwietniu padać, ale prawie w ogóle nie było deszczu, rzeki wyschły, a następna pora deszczowa będzie dopiero w październiku. Nawet dziś rano dostałam wiadomość ze szkoły: „Pomidory nam uschły, nie ma czym podlewać".

©℗ JACEK TARAN

Informacje o możliwości pomocy dzieciom z Kenii można znaleźć na stronie **misje.oaza.pl** w zakładce **Adopcja na odległość**.

WOJCIECH

Bonowicz:
Płomienie

W południe świat za oknem ma temperaturę zdrowego człowieka. Chwilę później – już gorączkującego. Świat się pali? Niech się pali. Szkoda, że ogień podszedł już tak blisko. Póki był daleko, mogliśmy udawać, że to nie nasza sprawa. Niech gaszą ci, u których płonie. Ale teraz płonie u nas, na naszym kontynencie. Coraz większy. Coraz bliżej.

„Bardzo trudno jest wyjaśnić Europejczykom, że nie przyjeżdżam tu z Australii", mówił Richard Flanagan na spotkaniu w trakcie tegorocznego Festiwalu Góry Literatury. „Ja przyjeżdżam z Waszej przyszłości. Ale tej przyszłości nie da się przekazać i nie da się w pełni zrozumieć. Dziś rano czytałem o potwornej fali upałów, która dotknęła południe Europy: we Francji, Hiszpanii, Portugalii spłonęło 50 tys. hektarów ziemi i mieszkańcy tych krajów są tym zszokowani. Trzy lata temu w moim kraju spłonęły 24 mln hektarów. To, co spłonęło w Europie, to zaledwie dwie dziesiąte procenta tamtej powierzchni. To, co jest moją teraźniejszością w Australii, jest Waszą przyszłością".

Scenę, na której odbywało się spotkanie, ustawiono u stóp Zamku Sarny, na wilgotnej, zielonej łące, w otoczeniu drzew. Był rześki, niedzielny wieczór. Temperatura szybko spadała, część osób na leżakach nakryła się kocami, w pewnym momencie musiałem wstać i pójść do samochodu po kurtkę. Słowa australijskiego pisarza, który również siedział na scenie w kurtce, wydawały się w tym otoczeniu trochę nierzeczywiste. Ale były tylko opisem, relacją, nie proroctwem. „Przez ostatnie dni spacerowałem po okolicy, po tutejszych wzgórzach zarośniętych drzewami", mówił Flanagan. „Te miejsca przypominają mi rejony w Australii, które teraz nawiedzane są przez tornada. Jedna trzecia mojej wyspy, Tasmanii, pokryta jest lasem deszczowym, którego początki sięgają głęboko w dzieje, do czasów, gdy żyły dinozaury. I po raz pierwszy w historii ten las deszczowy wysycha. Pojawiły się gwałtowne burze, których wcześniej nie było, lasy zapalają się od piorunów, a w ogniu giną unikalne gatunki roślin i zwierząt. W Australii przybywa opustoszałych pól, miast i miasteczek, które mają problemy z wodą, regionów, które przestają nadawać się do życia. W mojej najnowszej powieści opisałem coś, co widziałem w swojej ojczyźnie i co obserwuję teraz w Europie – ludzie widzą te zmiany, ale nie pytają: dlaczego? Odwracają wzrok".

Podobne słowa przestrogi padają od lat z różnych ust. Wiele na ten temat pisał „Tygodnik": rosnące temperatury powietrza i wody, zmieniająca się struktura opadów, zniszczenia powodowane przez przemysł, masową hodowlę, masową wycinkę drzew. Czy jest jakiś sposób na to, żebyśmy nie odwracali wzroku? Czy jest sposób na poskromienie ludzkiej chciwości? Flanagan nie mówił o wielkich ideach, opowiadał o tym, co dzieje się w jego okolicy. Tego lata sami możemy zobaczyć, jak wyglądają pustynniejące pola i wysychające rzeki. Poszedłem na spacer w stronę malowniczego niegdyś Wodospadu Pośny, który okazał się wąską strugą, niknącą wśród głazów i kamieni. W drodze do Krakowa mijałem kręcące się po rozpalonych polach traktory; wznosiły się za nimi wysokie słupy kurzu, które opadały na drogę, utrudniając jazdę. Temperatura asfaltu zbliżała się do 50 stopni; wyobraziłem sobie, że gdyby ktoś rzucił niedopałek na pobocze, jechalibyśmy w otoczeniu płomieni.

Czy to wciąż lokalny kryzys, czy już początek globalnej katastrofy? Świat za oknem słabnie jak człowiek w gorączce, któremu nie ma kto podać wody. Póki co mamy jeszcze gdzie się schować. Mamy prysznice, lód w działającej lodówce i wiatraki, które poruszają ciężkie, nagrzane powietrze, przynosząc chwilową ulgę. Mam lasy, w których możemy odetchnąć, strumienie, w których możemy zamoczyć stopy, schłodzić głowy. Czy umiemy sobie wyobrazić, że to wszystko stanie się nagle, z dnia na dzień, trudno dostępne lub niedostępne wcale? Nasza wyobraźnia woli się żywić wielkimi, wykreowanymi apokalipsami, niż zatrzymać przy małych końcach świata. Przyjdzie zima, pojawi się pierwszy większy śnieg, a temperatura spadnie do minus 15 i znów w mediach społecznościowych niejeden zażartuje inteligentnie: „Aha, a więc tak wygląda globalne ocieplenie". Jak blisko musi podejść ogień, żebyśmy go dostrzegli?

Świat się pali, niech się pali? ©

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PIOTR KORCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

Organy i muzyka kameralna

22 lipca odbędzie się pierwszy koncert XXI edycji Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Zakopanem. W tym roku wydarzenie zyskało swojego patrona – jest nim Wacław Geiger.

Tego lata w Zakopanem usłyszymy cztery koncerty organowe, podczas których wystąpią wirtuozi organów: małżeństwo Zuzanna i Maciej Batorowie ze Świdnicy, Michał Białko z Krakowa, Mariola Brzoska z Gliwic oraz Filip Presseisen z Krakowa. Programy przygotowane przez artystów zabrzmią na organach zakopiańskich kościołów. Jak co roku wybór lokalizacji nie jest przypadkowy, jako że organizatorzy za każdym razem starają się wykorzystać potencjał danego miejsca.

Organistom towarzyszyć będą solistka Magdalena Kulig z Hamburga na koncercie inauguracyjnym oraz świetny sekstet wokalny proMODERN z Warszawy, który usłyszymy na koncercie finałowym.

W części kameralnej wystąpi Malawski Trio z Krakowa, które mistrzowsko wykona utwory Józefa Haydna, Adama Walacińskiego i Andrzeja Panufnika, polsko-austriacki kwartet Guitar4mation zaś przeniesie słuchaczy w świat muzyki gitarowej Ernesto Halfftera, Leoša Janáčka, Anselmo Aiety i Juana Carlosa Cobiana w aranżacji na cztery gitary.

Innym ciekawym wydarzeniem będzie koncert Katarzyny Wiwer i Marka Szlezera w Czerwonym Dworze, czyli pieśni Henryka Opieńskiego, Bolesława Raczyńskiego, Jadwigi Sarneckiej, Jerzego Gablenza, Władysława Żeleńskiego, Karola Szymanowskiego i Mieczysława Karłowicza, dzięki którym będzie można poczuć muzyczny świat Krakowa i Zakopanego z okresu Młodej Polski.

A w samym środku festiwalu w Miejskiej Galerii Sztuki zabrzmi muzyka jego patrona Wacława Geigera, czyli pieśni do tekstów góralskich i utwory kameralne w wykonaniu Katarzyny Wiwer oraz kwartetu smyczkowego The Time Quartet z Warszawy.

„Po dwóch latach pandemii, która mocno pokrzyżowała nasze plany, festiwal wraca z nową siłą. Wybór Wacława Geigera na patrona nadaje mu wyrazisty rys i tożsamość. Przy okazji chcemy przypomnieć tę niezwykle ważną dla naszego miasta, ale i polskiej muzyki postać. Zakopane kojarzy się przede wszystkim z Karolem Szymanowskim i Mieczysławem Karłowiczem – chcemy poszerzyć to grono o Wacława Geigera", mówi dyrektor artystyczny festiwalu Rafał Monita.

Więcej informacji na **www.zakopane.pl**

Organizatorem wydarzenia jest **Miasto Zakopane** oraz **Zakopiańskie Centrum Kultury**.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

MATERIAŁY PRASOWE

WACŁAW GEIGER

kompozytor, pedagog i organista, przez długie lata związany zawodowo z Zakopanem. To tutaj prowadził klasę śpiewu solowego, chór oraz orkiestrę w szkole muzycznej, a także chóry Wierchy i Rysy. Był członkiem założycielem Towarzystwa Muzycznego im. K. Szymanowskiego i wielokrotnym jurorem Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich. Komponował również piosenki dla zakopiańskiego kabaretu Zaskroniec. Dzisiaj znany jest przede wszystkim ze swej twórczości pieśniarskiej, w której wykorzystywał też motywy góralskie i poetyckie teksty w gwarze. Zmarł w roku 1988 i został pochowany na zakopiańskim cmentarzu na Pęksowym Brzyzku. Kilka lat temu w Zakopanem wytyczono muzyczno-literacki szlak znanych zakopiańskich osobistości kultury, a jedna z multimedialnych ławeczek poświęcona jest Geigerowi. Można ją znaleźć na zakopiańskim placu Niepodległości.

PAŃSTWO ZAWŁASZCZONE

Rosyjska inwazja na Ukrainę zmienia też Białoruś. Stopień jej zależności od Kremla narasta, gospodarka przeżywa potężny kryzys, a reżim Łukaszenki stał się bardziej agresywny – również wobec Polski.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Trwająca wojna rosyjsko-ukraińska sprawia, że sytuacja w Białorusi znalazła się na dalszym planie w europejskich mediach. Niesłusznie, bo zachodzą tam procesy, które zadecydują o przyszłości tego kraju i będą miały konsekwencje dla całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Fakt, że od pierwszego dnia inwazji reżim Alaksandra Łukaszenki udostępnił białoruskie terytorium Rosjanom – do prowadzenia ataków rakietowych i nalotów lotniczych na cele w Ukrainie, a także do koncentracji i zaopatrzenia wojsk – nie był zaskoczeniem. Od dawna wiadomo, że Mińsk pozbawiony jest suwerenności w sferze wojskowej i pełni klasyczną funkcję wasalną wobec Rosji. Konsekwencją tego było objęcie Białorusi zachodnimi sankcjami, które mają dewastujący wpływ na jej gospodarkę.

Prawo międzynarodowe nie pozostawia bowiem wątpliwości: nawet bez bezpośredniego udziału wojsk białoruskich w tej wojnie samo już przekazanie swojego terytorium do ataku na inne państwo oznacza współudział w agresji.

Jedna rakieta z trzech

Koncentracja wojsk rosyjskich na terenie Białorusi – pod pretekstem wspólnych ćwiczeń – zaczęła się na kilka tygodni przed najazdem na Ukrainę. Potem, od pierwszego dnia inwazji, terytorium białoruskie stało się dla Rosjan niezwykle istotnym zapleczem logistycznym i technicznym. Szczególne znaczenie odegrało podczas ataku na północną część kraju, czego Kijów – jak wiemy ze szczerego wywiadu udzielonego przez Ołeksija Daniłowa, szefa ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obronności – się nie spodziewał.

Od tamtego czasu aż co trzecia rakieta – z ponad trzech tysięcy, które Rosja skierowała na cele w Ukrainie – została wystrzelona z terenu Białorusi. W ostatnich tygodniach doszły do tego również naloty rosyjskich bombowców, które startują z białoruskich lotnisk, a także dostawy amunicji ze składów armii białoruskiej.

Zaczął się szósty miesiąc inwazji, a Ukraińcy wciąż się zastanawiają, czy armia białoruska włączy się do tej wojny po stronie rosyjskiej. Jak wiemy, dotychczas do tego nie doszło – co wynika z kilku względów. Po pierwsze, potencjał bojowy stale niedoinwestowanych sił zbrojnych Białorusi jest bardzo ograniczony. Po drugie, wiadomo, że morale białoruskich żołnierzy jest niskie, a konflikt ten postrzegany przez nich jako obcy, co groziłoby masowymi dezercjami. Po trzecie i najważniejsze: 85 proc.

AP / EAST NEWS

Władze kontynuują represje także wobec osób wcześniej skazanych. Ostatni przykład to wyrok wobec Kaciaryny Andrejewej, dziennikarki Biełsat TV: 8 lat za „zdradę stanu". Powyżej: Andrejewa (z prawej) na poprzednim procesie; obok dziennikarka Daria Czulcowa. Mińsk, 18 lutego 2021 r.

Białorusinów opowiada się przeciwko wysłaniu białoruskich oddziałów do Ukrainy, a jedynie 8 proc. popiera taki pomysł.

Wejdą czy nie wejdą

Akurat w tej sprawie w podzielonym społeczeństwie panuje więc konsensus, co nawet dyktatorskie władze wciąż muszą brać pod uwagę. Zarazem jednak aż 40 proc. Białorusinów deklaruje poparcie dla rosyjskich działań w Ukrainie – pokazuje to, jak głębokie są tu podziały.

Sam Łukaszenka wysyła natomiast sprzeczne sygnały. Jednego dnia mówi, że „Białoruś nie chce walczyć na Ukrainie", następnego zaś ogłasza, iż „nasz udział w operacji specjalnej na Ukrainie uzgodniłem [z Kremlem] już dawno". Ta dwuznaczność nie jest przypadkiem – ma ona sprawić, że Ukraińcy pozostaną w niepewności co do tego, czy Białorusini wejdą, czy też nie wejdą.

Taka gra Łukaszenki jest na rękę Moskwie, gdyż niepewność, co zrobi północny sąsiad, wiąże bez wątpienia istotne siły ukraińskie w zachodnich i północnych obwodach kraju – jako zabezpieczenie na wypadek bezpośredniej białorusko-rosyjskiej agresji z tego kierunku. Jednocześnie Łukaszenka regularnie krytykuje władze ukraińskie i usprawiedliwia działania Kremla, twierdząc, że „ukraińscy nacjonaliści" i Zachód „nie pozostawili Rosji wyboru". ↦

Koniec polityki zagranicznej

↦ To nie koniec zmian, które z Białorusi czynią państwo w pełni zależne od Kremla.

W ostatnich latach Mińsk wciąż zachowywał ograniczoną, ale jednak możliwość manewrowania w swojej polityce zagranicznej. Obawiając się wzrostu zależności od Rosji, ostrożnie rozwijał stosunki z Zachodem, w tym także gospodarcze.

Teraz, po 24 lutego, sytuacja całkowicie się zmieniła. W Białorusi stacjonują znaczne siły rosyjskie (mniej liczne stacjonowały już wcześniej) i nic nie wskazuje na to, aby w dającej się przewidzieć przyszłości miały się z niej wynieść. Wprawdzie oficjalnie nie ma mowy o ich stałych bazach, ale sama ich obecność jest ważnym elementem politycznym. Ciekawe, że aż 41 proc. obywateli pozytywnie ocenia decyzję reżimu Łukaszenki o rozmieszczeniu w kraju wojsk rosyjskich (47 proc. negatywnie).

Patrząc z zewnątrz, Białoruś – mająca zamrożone stosunki z czterema z pięciu sąsiadów oraz z całym Zachodem – jest więc dziś graczem niesamodzielnym, pozbawionym suwerenności w sferze zagranicznej i zdanym na łaskę lub niełaskę Kremla. Łukaszenka regularnie oraz z dużą gorliwością zapewnia Putina o swojej lojalności, m.in. proponując rozmieszczenie rosyjskiej broni atomowej na swoim terytorium. Jest jednak jasne, że jeśli do tego dojdzie, nie będzie to decyzja Mińska.

Sondaże w Białorusi pokazują, że paradoksalnym efektem wojny rosyjsko-ukraińskiej jest wzrost poparcia społecznego dla rozwoju integracji z Rosją – poziom ten wzrósł do 46 proc., choć jeszcze kilkanaście miesięcy temu wynosił 33 proc. Zarazem poparcie dla integracji z Unią Europejską (perspektywa obecnie, rzecz jasna, czysto teoretyczna) spadło do 29 proc., podczas gdy w 2020 r. wynosiło 40 proc. (był to najwyższy poziom w historii kraju). Widać więc, że w sytuacji wojennej coraz więcej Białorusinów uznaje, iż bezpieczniejsza jest bliskość do wschodniego sąsiada. Podkreślmy zarazem, że poparcie dla opcji zjednoczenia z Rosją – lub wręcz aneksji przez Rosję – wyraża mniej niż 20 proc. Białorusinów.

> Dwie jedyne w Białorusi polskie szkoły, w Grodnie i Wołkowysku, **od września staną się szkołami rosyjskojęzycznymi.**

Cena za poparcie Putina

Innym ważnym czynnikiem, który ogranicza dziś pole manewru reżimu Łukaszenki, okazały się zachodnie sankcje. Ich skutkiem jest już częściowy paraliż wielu sektorów gospodarki.

Przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji około jednej czwartej białoruskiego eksportu przypadało na Unię Europejską, około 13 proc. zaś na Ukrainę. Inwazja i sankcje spowodowały w dużym stopniu utratę tych rynków, a znalezienie alternatywy łatwe nie jest. Wskaźniki gospodarcze już uległy znaczącemu pogorszeniu: w pierwszej połowie tego roku PKB Białorusi obniżył się o 4,2 proc., a w całym roku 2022 ten wynik będzie jeszcze niższy.

Dla władz w Mińsku utrzymanie stabilności społeczno-gospodarczej będzie wprawdzie wciąż priorytetem, ale na cuda nie mogą one liczyć. Także dlatego, że sama Rosja spodziewa się spadku swojej gospodarki o co najmniej 10 proc. – zatem jej możliwości wsparcia Białorusi będą ograniczone, a przy tym nic nie będzie za darmo.

W tej sytuacji reżimowi nie pozostaje nic innego, jak tylko kontynuowanie represji przeciwko tej części własnego społeczeństwa, która stawia mniej lub bardziej czynny opór czy choćby wyraża niezadowolenie. W ostatnich dniach władze zlikwidowały nawet – poniekąd na wszelki wypadek – niezależne związki zawodowe, które i tak niemal pozbawione były znaczenia (pozostałe związki zawodowe są tylko fasadową dekoracją).

Represje w cieniu wojny

Za więźniów politycznych uznawanych jest obecnie 1259 osób, a ich liczba cały czas lawinowo rośnie. Coraz więcej Białorusinów trafia do aresztów i więzień – teraz również za krytykę postawy Mińska wobec wojny.

Przykładem niech będzie Danuta Pierednia, 20-letnia studentka z Mohylewa. W pierwszych dniach inwazji Pierednia udostępniła w sieciach społecznościowych wpis innego internauty, który krytykował rosyjską agresję na Ukrainę. Już następnego dnia została zatrzymana. Po czterech miesiącach spędzonych w areszcie odbył się „proces": studentka została skazana na 6,5 roku bezwzględnego więzienia. Podobnych przypadków jest znacznie więcej – w zamyśle reżimu mają one służyć jako ostrzeżenie dla reszty społeczeństwa. Mają pacyfikować wszystkie głosy niezadowolenia – nawet, a może w szczególności, te wyrażane w sieciach społecznościowych.

Władze kontynuują również represje wobec osób, które już wcześniej zostały skazane z powodów politycznych. Najnowszy przykład to skazanie Kaciaryny Andrejewej, korespondentki telewizji Biełsat: dostała 8 lat więzienia za „zdradę

POŻEGNANIE

17 lipca 2022 roku zmarła

dr Elżbieta Wierzchowska

nefrolog i pediatra, długoletni pracownik
Szpitala Dziecięcego im. św. Ludwika w Krakowie.
Wyjątkowy człowiek, lekarz i przyjaciel.
Jej wrażliwość, lekarska mądrość, prawość i umiejętność
współczucia z pacjentem pozwalały rodzicom ufać,
że nie są sami w chorobach ich dzieci
i że zrobi dla nich, co w Jej mocy.

Niech odnajdzie wieczny spokój duszy.

Ojciec Jej długoletniego pacjenta Jaśka

stanu". Już wcześniej odsiadywała 2 lata więzienia z równie absurdalnego paragrafu. Potwierdza to jedynie, że reżim Łukaszenki kontynuuje walkę z realnymi lub wymyślonymi przeciwnikami politycznymi, zapełniając więzienia lub zmuszając niepokornych do emigracji.

Ku totalitaryzmowi

Zmiany prawne i działania metodą faktów dokonanych, które można obserwować w Białorusi od sierpnia 2020 r. – tj. od chwili, gdy reżim sfałszował wybory prezydenckie, a następnie stłumił wielkie protesty społeczne – każą uznać to państwo za z gruntu totalitarne. Widać, że reżim Łukaszenki, który opiera się na przemocy i nagradza jedynie tępą lojalność, przystąpił do kontrofensywy, licząc, że „wyplenienie wpływów zachodnich" będzie kwestią czasu.

Białoruskie media państwowe stały się kopią rosyjskich, jeśli chodzi o skalę kłamstwa, manipulacji i agresywność przekazu. Efekt jest niestety widoczny: aż 40 proc. Białorusinów uważa, że armia rosyjska nie używa broni przeciw ukraińskiej ludności cywilnej. Towarzyszą temu coraz bardziej brutalne próby ograniczenia dostępu do internetu i niezależnych treści z sieci społecznościowych.

Cel jest oczywisty: spacyfikować, zastraszyć lub zamknąć w celi wszystkich myślących inaczej, którzy nie chcą równać do wyznaczonej przez reżim linii.

Antypolska kampania

Niemal od początku rządów 67-letniego dziś Alaksandra Łukaszenki – a rządzi on nieustająco od roku 1994 – jednym z jego naczelnych wrogów była Polska. Teraz, w ostatnich miesiącach, w narracji reżimu i propagandowych mediach państwo polskie awansowało już do roli głównego zagrożenia dla Białorusi. Miński reżim regularnie oskarża Warszawę o „imperializm", „faszyzm" i rzekomą chęć aneksji części terytorium białoruskiego. Narracja ta współgra z tym, co dobiega z Kremla oraz z rosyjskich mediów.

Powód tej antypolskiej kampanii jest oczywisty: to w gruncie rzeczy swoiste docenienie roli Polski we wspieraniu Ukrainy, białoruskiej opozycji i społeczeństwa obywatelskiego, a także w lobbowaniu na rzecz zachodnich sankcji przeciwko reżimowi.

Wizje Mińska i Warszawy – to w istocie odzwierciedlenie dwóch skrajnie różnych wizji i dwóch porządków w Europie Wschodniej. Na jednym biegunie jest rosyjski neoimperializm, którego Łukaszenka stał się bezwolnym sługą, a według którego Ukraina i Białoruś nie mają prawa ani do suwerennego bytu, ani nawet do poczucia odrębnej tożsamości narodowej. Na drugim zaś biegunie jest polska idea wolności zakładająca podmiotowość wschodnich sąsiadów i stawiająca na ich europeizację.

> Przyszłość Białorusi, w tym zwłaszcza jej suwerenność, zależą dzisiaj **od wyniku wojny obronnej, którą toczy Ukraina.**

Mińsk ma dziś jednak niewielkie możliwości, aby realnie zaszkodzić polskim interesom. Szczególnie po ustawieniu przez Polskę 187-kilometrowej zapory na granicy z Białorusią, która ogranicza wspieraną przez reżim białoruski nielegalną migrację do Unii – traktowaną przez Mińsk jako narzędzie do destabilizowania i Polski, i Europy.

Na celowniku: szkoły i groby

W tej sytuacji Łukaszenka zdecydował się na kontynuowanie walki z polskością w Białorusi – dwie jedyne w całym kraju polskie szkoły, w Grodnie i Wołkowysku, od września staną się szkołami rosyjskojęzycznymi – oraz na haniebne uderzenie w miejsca pochówku żołnierzy Armii Krajowej.

Na początku lipca trzy polskie cmentarze wojenne, położone w różnych częściach Białorusi, zostały zrównane z ziemią – co władze cynicznie skomentowały jako „prowadzenie prac porządkowych". Kampania przeciwko grobom wpisuje się w antypolską obsesję reżimu oraz – być może – ma sprowokować Polskę do odpowiedzi, którą potem Mińsk wykorzystałby propagandowo dla wsparcia swojej narracji o „polskim rewizjonizmie".

Dla poszerzenia kontekstu przypomnijmy, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat władze białoruskie kilkukrotnie niszczyły krzyże i znaki pamiątkowe, m.in. w Kuropatach pod Mińskiem, gdzie w latach 30. XX w. pogrzebano co najmniej 100 tys. ofiar sowieckich represji. Dla reżimu bezczeszczenie grobów nigdy nie było żadnym tabu.

Paradoksalnie, Łukaszenka – ten sam, który wszędzie widzi knowania Polski – od 1 lipca zniósł dla Polaków wizy. Do narracji propagandy białoruskiej o tym, że Polacy przygotowują się do ataku, ma się to nijak. Ale wytłumaczenie jest proste: pogrążająca się w kryzysie gospodarka Białorusi potrzebuje dewiz, a władze liczą, że unijni sąsiedzi (obowiązek wizowy zniesiono także dla Litwinów i Łotyszy) przyjadą na tańsze zakupy.

Polski MSZ odradza jakiekolwiek wyjazdy do Białorusi z powodów bezpieczeństwa. Ale Łukaszenka zdążył już odtrąbić sukces, twierdząc, że Polacy zaczęli odwiedzać Białoruś, co jakoby „doprowadza [polskie] władze do wściekłości i do wariactw".

Zaklinanie rzeczywistości

Przez ponad 28 lat swoich rządów Łukaszenka zdążył przyzwyczaić własne społeczeństwo i obserwatorów zagranicznych do stylu klauna. Jednak ten klaun od dłuższego czasu ma ręce unurzane we krwi, a jego narastająca agresja wynika z tego, że w istocie walczy on o przeżycie. Coraz bardziej bezwzględne represje są oznaką, że wcale nie ma on pewności, iż skutecznie pokonał „opozycję wewnętrzną".

Tymczasem drugie – i poważniejsze dziś dla niego – zagrożenie pochodzi ze strony Rosji, wobec której nigdy nie miał on tak słabych kart jak obecnie. Mimo to dyktator prezentuje na pokaz dobre samopoczucie. W jego wystąpieniach regularnie słychać zapewnienia: „Nie trzeba jęczeć, krzyczeć, że Putin zajmie Białoruś". Innym razem zaś: „Ciągle słyszę: jutro aneksja, jutro inkorporacja... 30 lat przeszło i nie inkorporowali, nie zajęli. A mówiąc szczerze, otrzymujemy od Rosji wszystko, co potrzebne jest dla niepodległego państwa".

Jakkolwiek Łukaszenka zaklinałby dziś rzeczywistość, nie ma wątpliwości, że czuje się on bardziej niepewnie niż kiedykolwiek wcześniej. A przy tym najwidoczniej nie zdaje sobie sprawy, że przyszłość Białorusi – w tym zwłaszcza jej suwerenność – zależą ni mniej, ni więcej, tylko od wyniku wojny obronnej, którą toczy Ukraina.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 21 lipca

Na zegarze piąta piętnaście

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z OBWODU DONIECKIEGO (UKRAINA)

Mieszkańców Konstantynówki niemal codziennie budzą spadające rosyjskie rakiety. Ludzie są wycieńczeni, mają zszarpane nerwy.

Jeszcze panuje zmrok. Budzik dzwoni za piętnaście czwarta. 40-letni Mychajło Tereszczenko wstaje z łóżka, czeka na pierwszy telefon.

Mychajło jest zastępcą kierownika Konstantynowskiej Administracji Wojskowej. To do niego dzwoni policja, gdy w mieście coś się wydarzy. W tym jeszcze do niedawna spokojnym miejscu w ostatnich tygodniach niestety dzieje się wiele.

„Po czwartej", „po piątej", „po szóstej" – to trzy odpowiedzi, które padają niemal zawsze na pytanie, kiedy doszło do ostrzału. Z bezlitosną monotonią rakiety spadają na Konstantynówkę – miasto w obwodzie donieckim, w rejonie (powiecie) kramatorskim, które do rosyjskiej inwazji na pełną skalę było domem dla 74 tys. ludzi. Linia frontu jest dziś coraz bliżej.

Zmęczenie ogarnia wszystkich

Rosyjskie rakiety zamieniają kolejne budynki w gruzy. Paraliżują miasto, a jego mieszkańców stopniowo odcinają od prądu i wody.

Gaz wyłączono już dawno – wkrótce po tym, jak na rozkaz prezydenta Rosji Władimira Putina wojska tego kraju uderzyły na całą Ukrainę. Rakiety nie oszczędzają skromnych piętrowców, budynków użyteczności publicznej ani infrastruktury. Dlatego zmęczenie ogarnia wszystkich. W nocy trudno o spokojny sen. Niektórzy nie są w stanie zmrużyć oka na dłużej niż na chwilę.

Tamtego lipcowego dnia Tereszczenko także obudził się jeszcze przed świtem. Wciąż panowała cisza, choć dobiegała piąta. Pomyślał, że może dziś będzie spokojnie, że może mieszkańcy Konstantynówki będą mieli chwilę, by złapać oddech. Zanim zadzwonił telefon, usłyszał eksplozje. Ich odgłos dotarł do Drużkiwki – sąsiedniego miasta, gdzie Tereszczenko mieszka.

Zazwyczaj od razu wyjeżdża na miejsce ostrzału, aby ocenić spustoszenie, jakiego dokonały rakiety. Tamtego dnia zostawiły po sobie ogromy lej, uszkodziły kilka budynków, a także zrównały z ziemią przepompownię, przez co lewobrzeżna część miasta straciła dostęp do bieżącej wody.

– To jest jak straszny sen – mówi Tereszczenko, a jego twarz zdradza okropne zmęczenie.

To, co jest teraz, zapamiętam na zawsze

15-letnia Margarita także jest wycieńczona i ma zszarpane nerwy. Brak snu stał się niemal chroniczny. Nocą nie zmruży oka wcale albo tylko na chwilę. Boi się, że zaraz coś może trafić w jej dom. Tego dnia, w którym Tereszczenko myślał, że będzie spokojnie, udało jej się pospać z godzinę. Więcej nie dała rady.

– Jak wisi nad tobą groźba śmierci, można nie spać całymi dniami – mówi Margarita.

Leżała w łóżku, patrzyła w ekran telefonu i czytała informacje. Gdy przejrzała wszystkie, otworzyła galerię i przeglądała zdjęcia i filmiki, które nagrywała ona lub jej znajomi. Do niektórych napisała po raz kolejny z ostrzeżeniem, żeby przypadkiem nie wracali do Konstantynówki, i prosiła, aby pozostali tam, gdzie są, w bezpiecznym miejscu. Aby ich przekonać, wysyłała zdjęcia pokazujące skutki ostatnich ostrzałów. Wszyscy rówieśnicy z jej szkolnej klasy wyjechali już dawno temu, ale część zdążyła wrócić – zwabionych spokojem, który długo panował w mieście.

Tereszczenko przyznaje, że znaczna część mieszkańców opuściła Konstantynówkę jeszcze w marcu i kwietniu, ale niedługo potem wielu zaczęło wracać. W okolicy miasta linia frontu się nie przesuwała. Jak przez minione osiem lat, jego najbliższy odcinek wciąż znajdował się 25 km na południowy wschód i panował tam względny spokój.

Mimo wszystko przez wszystkie te lata mieszkańcy Konstantynówki mogli mówić o szczęściu.

Wojna zaczęła się tutaj, jak w całym Donbasie, wiosną 2014 r. Jeszcze przed początkiem pełnowymiarowej rosyjskiej inwazji z 24 lutego w jej rezultacie zginęło przynajmniej 13 tys. ludzi, z czego większość w pierwszym roku konfliktu. Ominął on jednak Konstantynówkę, choć poważne starcia toczyły się zupełnie niedaleko.

Gdy się zaczynało, Margarita miała siedem lat. Praktycznie nic nie pamięta z tamtych wydarzeń. Większość zna z opowieści ojca – że strzelali, jak szła do szkoły, że na lekcjach uczyli ich, jak chować się w piwnicach, zaklejać okna, jak żyć bez wody czy prądu.

– Co działo się wtedy, nie pamiętam. Ale to, co jest teraz, zapamiętam na zawsze – przyznaje.

Ta ulica w dzielnicy Czerwona była ostrzeliwana trzy dni z rzędu. Rakiety niszczyły domy i infrastrukturę. Pracownicy wodociągów usiłują naprawić zniszczoną rurę. Konstantynówka, 16 lipca 2022 r.

Dobrze już było

Wtedy, pod koniec kwietnia, na ulicach Konstantynówki znowu pojawiły się dzieci i zwierzęta domowe – co dla Tereszczenki było najlepszym dowodem na to, że ludzie wracają.

Zastępca szefa administracji wojskowej podaje dwa powody tych powrotów: tęsknota za domem i problemy finansowe. Zgodnie z danymi Międzynarodowej Organizacji Pracy z maja, od początku wojny na pełną skalę w Ukrainie zniknęło 4,8 mln miejsc pracy.

Dalsza eskalacja może doprowadzić do utraty kolejnych dwóch milionów. Uchodźcy wewnętrzni i wygnańcy przebywający za granicą często nie mogą znaleźć źródła zatrudnienia, skarżą się na wysokie czynsze, więc szybko kończą się im pieniądze. W rezultacie, w porównaniu do sąsiednich miast, w Konstantynówce ulice były wyjątkowo ruchliwe.

– Było u nas dobrze. Nie było wody w domu? To nic, podwozili. Jakoś można było żyć. Ale jak rakieta leci na ciebie, to już się nie da – stwierdza Tereszczenko.

Powroty wstrzymała fala ostatnich ostrzałów. Rosyjska armia stara się osłabiać ukraińskie zaplecze, nie zawsze celnie atakując punkty dyslokacji i składy, które są rozsiane także po miastach takich jak Konstantynówka. Atakuje również cele cywilne.

Z tego powodu znowu więcej ludzi opuszcza domy. Z miasta regularnie odjeżdżają autobusy, które odwożą chętnych na pociąg ewakuacyjny do Lwowa, lub też wywożą ich do miasta Dnipro w sąsiednim obwodzie.

Nawet matka Margarity zaczęła mówić, że chyba czas wyjechać. Ale jak do tej pory nie wie, dokąd się udać.

Przygotowani na wszystko

Dźwięki eksplozji rozległy się około piątej rano. Zatrząsł się dom, drżały okna. Po chwili do uszu Margarity dobiegł kolejny huk. Owinęła się kołdrą i leżała w bezruchu, nasłuchując. Nie zareagowała tak, jak podczas pierwszego ataku na Konstantynówkę. Wtedy owładnęło nią dziwne uczucie: mieszanka bólu, smutku, żalu, za którym poszły krzyk i łzy. Trwał czwarty dzień porannych ostrzałów i dla Margarity szybko stały się częścią codzienności.

– Wszyscy jesteśmy już przygotowani, że między czwartą a szóstą latają samoloty czy rakiety. Nikogo to nie dziwi. Po prostu pozostaje strach, że przyleci coś do ciebie, bliskich czy sąsiadów – stwierdza nastolatka.

Wtedy okazało się, że rakieta spadła po raz trzeci na tę samą ulicę w dzielnicy Czerwonej. Pierwsza zrobiła ogromną wyrwę pośrodku podwórka jednego z mieszkańców, rozrzucając grudy ziemi dookoła i niszcząc dom. Druga spadła na inne podwórko, uszkadzając okoliczne budynki. Trzecia walnęła w gruntową drogę i uszkodziła rurę z wodą, przez co w leju szybko zrobił się mały staw. W domu stojącym najbliżej miejsca wybuchu zniosło dach, powyrywało okna i rozwaliło ogrodzenie.

Tylko cudem nic nie stało się parze emerytów, w tym mężczyźnie po udarze, którzy przebywali w piętrowym domu. Celem najprawdopodobniej był jeden z sąsiednich budynków, gdzie jakiś czas temu przebywali wojskowi.

Oby z miasta coś się ostało

Obecność żołnierzy w mieście irytuje część mieszkańców, w szczególności tych o poglądach prorosyjskich. Na miejscu ostrzału kipią emocje. Ludzie są źli na wszystkich dookoła – na wojsko (ukraińskie i rosyjskie), na władze, policję, dziennikarzy, wolontariuszy.

– Wszystko przez to, że są tutaj ci faszyści – rzucił pracownik wodociągów, który przyjechał naprawiać pękniętą rurę.

Mówiąc o „faszystach", miał na myśli ukraińskich żołnierzy. Tak określa ich rosyjska propaganda.

– Dach podziurawiło, okna powybijało. To już drugi raz. Tylko co je wyremontowaliśmy, a teraz jest jeszcze gorzej. Jesteśmy emerytami, skąd mamy wziąć na to wszystko pieniądze? – pyta retorycznie jedna z mieszkanek ulicy. – Niech pozwolą tu mówić po rosyjsku, dogadają się i tyle. Nie ma znaczenia, w jakim języku kocham Ukrainę.

– Jak zbombardują mi dom, to nie uczynię go już nigdy takim, jaki był. ↦

72-letni Wiktor pokazuje zegar, z którego wypadła bateria po tym, jak obok uderzyła rakieta. Wskazówki zatrzymały się na piątej piętnaście. Konstantynówka, 16 lipca 2022 r.

↦ Wkładałam w niego ciągle pieniądze, a teraz go niszczą. Nie ma dla mnie znaczenia, czy zrobi to Rosja, czy Ukraina. Po prostu nie rozumiem, za co – mówi najbardziej wściekła i obsypująca wszystkich przekleństwami 62-letnia Nina, siostra kobiety, której ostrzał zniszczył piętrowy dom.

Margarita poszła w stronę leja, bo niedaleko znajduje się dom jej ojca. Rodzice się rozwiedli, ale mieszkają niedaleko. Ojciec służy w armii ukraińskiej. Margarita też chciałaby pójść na front, żeby bronić kraju, ale jest za młoda. Pilnuje więc domu taty. Tym razem nic się nie stało. Ale na skutek wybuchu dzień wcześniej, także około piątej, uszkodziło dach, okna i altanę.

Nastolatka jest wykończona na tyle, że już z trudem wykrzesuje z siebie emocje. Mówi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Łzy po jej twarzy popłyną dopiero potem.

– Boję się o moje miasto, mam nadzieję, że coś z niego zostanie – stwierdza.

Zazwyczaj Margarita odsypia w ciągu dnia, bo wtedy w mieście jest raczej spokojnie. Tego dnia udało się jej przespać piętnaście minut – z krótkiej drzemki wyrwało ją poczucie ogarniającego lęku.

Będziemy żyć

Dom 72-letniego Wiktora, chorego na raka, znajduje się naprzeciwko przepompowni. Rano wybuchy wyrwały go z łóżka. Siła była taka, że na podwórko Wiktora przyleciało skrzydło metalowej bramy. Przed budynkiem są teraz nieduże leje. Fala uderzeniowa zrobiła dziurę w dachu i rozbiła okna, a pchnięty nią kamień spadł prosto na szybę samochodu.

W domu mieszka też żona Wiktora, jego dzieci i 7-letni wnuk. Ten ostatni bardzo się przestraszył i nie chciał wyjść na zewnątrz. Gdy Wiktor oprowadza mnie po podwórku, chłopiec nieśmiało patrzy na nas przez szybę, w którą uderzył odprysk i zostawił dziurę.

Służby komunalne zbierają zerwane gałęzie i rozrzucone gruzy, na terenie przepompowni trwa rozbiórka pozostałości po niej. Zgodnie z informacją administracji wojskowej, nie da się już jej odbudować. Dlatego kolejne cysterny wyjechały na ulice Konstantynówki, aby mieszkańcy mogli nabrać wody do wiader.

Wiktor pewnie nawet by nie wiedział, o której doszło do ostrzału, gdyby nie to, że fala uderzeniowa zrzuciła zegarek i wypadła z niego bateria. Zatrzymał się na piątej piętnaście.

– Będziemy żyć! – mówi na odchodne i znika za furtką.

Urodziny wnuka

62-letnia Wałentyna wielokrotnie powtarza, że „wszystko będzie dobrze", jakby chciała zaczarować rzeczywistość. Gdy rozmawiamy, oczy zachodzą jej łzami kilkukrotnie.

Wieczorem Wałentyna zazwyczaj ogląda telewizję. Włącza relaksujący program, na przykład o grzybobraniu, bo jest jego wielką wielbicielką. To wprawia ją w dobry nastrój, przez co – jak mówi – tylko doleci do poduszki i już śpi.

Zgodnie z codzienną rutyną kładzie się o wpół do dwunastej, ale dzień przed ostrzałem przepompowni i dzielnicy Czerwonej poszła spać pół godziny wcześniej. Obudziła się nad ranem. Leżała i czekała, czy zaczną strzelać. Było cicho, więc szczęśliwa zamknęła oczy. I wtedy rozległ się wstrząsający huk. Wkrótce ustał, więc w wygodnym łóżku Wałentyna zasnęła ponownie. Ani ona, ani mąż nie chodzą na korytarz. Mają tak ułożone posłanie, aby nie sięgnęły ich kawałki szkła, jeśli okna nie wytrzymają fali uderzeniowej.

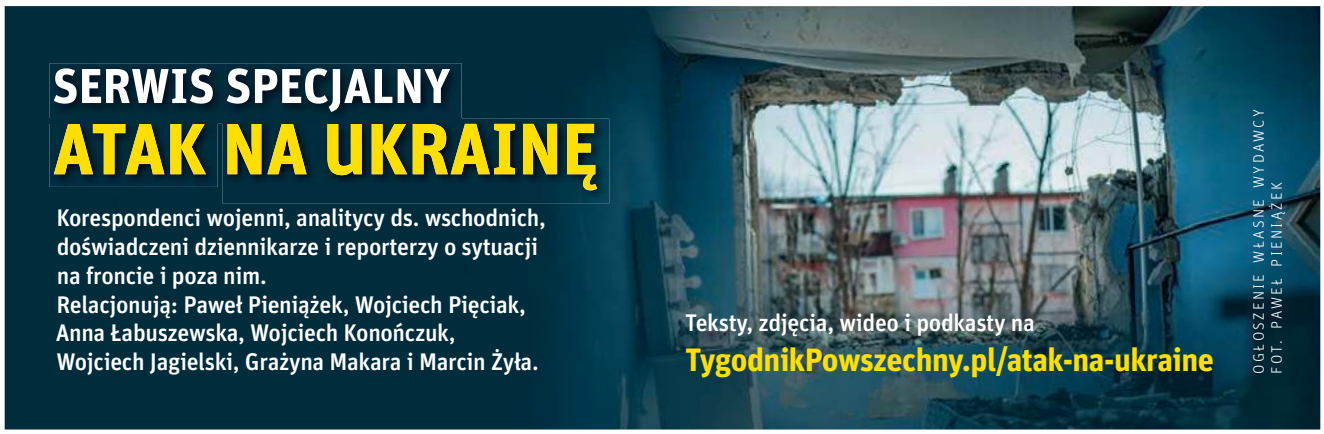

Tego dnia było głośno, ale dopiero następnego rakieta trafiła naprawdę blisko. Do ataku na sąsiedni budynek doszło w dobrze znanym wszystkim przedziale czasowym. Huk eksplozji mieszał się z dźwiękiem pękającego szkła. Coś posypało się Wałentynie na głowę. Myślała, że to kawałki okien, ale dopiero potem zobaczyła, że to zawieszki spadły z żyrandola.

Panowała zupełna ciemność, więc nie była w stanie ocenić zniszczeń. Nie chciała włączać światła. Zgodnie z zaleceniami władz nocą w ukraińskich miastach ma panować mrok, by utrudnić przeciwnikowi lokalizowanie celów. Sąsiedzi w okolicznych budynkach się tym nie przejęli, więc Wałentyna też włączyła światło. Ku jej zaskoczeniu mieszkanie było całe.

W budynku pojawiły się tylko dwie dziury w dachu i wcięcie w żywopłocie. Wałentyna nie do końca rozumie, gdzie spadła rakieta, bo dom jej syna, usytuowany dalej od miejsca wybuchu, ucierpiał dużo bardziej niż jej. Podziurawiło w nim cały dach.

Wałentynę zastaję kilka godzin po ataku. Stoi plecami do ostrzelanego budynku i w ogóle nie zwraca uwagi na zniszczenia. Cierpliwie wyrównuje żywopłot.

– Wyszłam go wyrównać. Tutaj wszyscy teraz sprzątają, więc pomyślałam, że skoro nadarzyła się okazja, to ją wykorzystam – mówi. – Dzięki ogrodowi jeszcze nie straciłam świadomości.

Tego dnia są urodziny wnuka Wałentyny. Jest tutaj, w Konstantynówce, wraz z rodzicami. Mieszkają właśnie w tym domu z podziurawionym dachem. Będą świętować. Zrobią kebaby i Wałentyna obiecuje, że będzie wesoło. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Przepraszamy

Z opublikowanej w poprzednim numerze „TP" korespondencji Pawła Pieniążka ze Słowiańska na skutek błędu technicznego zniknął fragment jednego z akapitów. Pełną wersję tekstu przez najbliższy tydzień będzie można przeczytać na naszej stronie w otwartym dostępie pod adresem: **powszech.net/slowiansk**.

GRILLAERA

Pracownicy restauracji Grillaera w Maladze, 2022 r.

Ile zarabia hiszpański kelner

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MALAGI (HISZPANIA)

Do tej andaluzyjskiej restauracji codziennie spływa kilkanaście podań od ludzi starających się o pracę. I to w chwili, gdy kucharze i kelnerzy mogą przebierać w ofertach – w całym kraju brakuje ich 50 tysięcy.

Karta dań w restauracji Grillaera w Maladze z pozoru wygląda normalnie. Na pierwszej stronie mnóstwo atrakcyjnych zdjęć hamburgerów z grubą warstwą prawdziwego mięsa z sałatą i sosem, a także dodatki: frytki czy krążki cebulowe. Więcej uwagi budzi druga strona menu.

– Klienci przyglądają się jej przez dłuższą chwilę, uśmiechają pod nosem i zwykle dopytują, czy to prawda – mówi Carlos Castaño, który od roku jest kelnerem w tej restauracji.

PO CO TAKI ZABIEG? „Czerpiąc radość z jedzenia, wnosisz swój wkład w tworzenie bardziej sprawiedliwego zawodu" – czytamy na drugiej stronie menu. Dalej Grillaera informuje, że jej kelnerzy zatrudnieni są w wymiarze 40 godzin tygodniowo, za co otrzymują 1648 euro brutto (1430 euro netto), a 537 euro trafia na ich ubezpieczenie społeczne. Restauracja dodaje, że zatrudnia siedmiu kucharzy, dziewięciu kelnerów i jedną osobę do zmywania naczyń. 80 proc. umów to te o pracę na czas nieokreślony, a wszyscy ↦

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Sergio Díaz, właściciel restauracji Grillaera. Malaga, lipiec 2022 r.

zatrudnieni mają prawo do dwóch dni wolnego z rzędu.

– Nie ujawniamy żadnych danych wrażliwych pracowników – mówi Sergio Díaz, współwłaściciel restauracji. – Tak naprawdę to, o czym wspominamy w karcie, nie jest niczym spektakularnym. To zasady wynagrodzenia pracowników, do których zobowiązują nas regulacje prawne, można znaleźć je w internecie. Ale rzeczywiście mało kto ich przestrzega. Pomyśleliśmy więc, że skoro my ich przestrzegamy, powiemy to naszym klientom – dodaje Díaz.

Regulacje, o których wspomina współwłaściciel, faktycznie można znaleźć w umowie zbiorowej sektora hotelarstwa, obowiązującej w latach 2018-22 w Maladze, stolicy prowincji Andaluzja. Każda hiszpańska prowincja uchwala swoje stawki dotyczące wynagrodzeń minimalnych, a także procent ich wzrostu rok do roku.

– Właściciele restauracji pytali nas, co sądzimy o publikacji naszych pensji – mówi Carlos Castaño, kelner z Grillaera. – Odpowiedziałem, że dopóki nie opublikują mojego numeru konta bankowego, nie mam nic przeciwko.

POMYSŁ NA NIETYPOWĄ kartę dań narodził się przy zakładaniu nowej restauracji. Ich pierwszy lokal – w mieście Algeciras, również pod nazwą Grillaera – istnieje od 2018 r. Po trzech latach jego właściciele zdecydowali o założeniu nowego, właśnie w Maladze. Podczas rekrutacji personelu wielu kelnerów skarżyło się na warunki, w których wcześniej pracowali. – Od ośmiu lat jestem kelnerem, zdarzało mi się pracować bez żadnych dni wolnych. Albo miałem oficjalnie płacone za 15 godzin na umowie, a pozostałe pieniądze dostawałem na czarno – wspomina Carlos Castaño.

Podczas pandemii wielu pracowników branży gastronomicznej odeszło, **a po zniesieniu restrykcji do zawodu już nie wrócili.**

Krajowy Instytut Statystyki (INE) podaje, że w Hiszpanii kelnerzy zarabiają średnio 1300 euro brutto i jest to jedna z najniższych pensji odnotowanych przez instytut. Ponadto z danych wynika, że dwie trzecie kelnerów pracuje na umowy tymczasowe (głównie w czasie sezonu turystycznego, tj. od kwietnia do września). Wielu nie zna swoich dokładnych grafików, często pracują „do ostatniego klienta". Bywa, że nie dostają dodatków za nadgodziny. Normą w zawodzie kelnera jest praca na czarno.

Według INE w pierwszym kwartale 2022 r. bezrobocie wyniosło w Hiszpanii 13,65 proc. Tak wysoki wskaźnik może dziwić, zwłaszcza że zgodnie z danymi hiszpańskiego ministerstwa pracy sektor hotelarski cały czas szuka nadaremno pracowników. Łącznie w tej branży zatrudnionych jest blisko 1,8 mln osób, a wciąż brakuje ponad 50 tys. kelnerów i kucharzy.

Skąd takie braki? W czasie apogeum pandemii covidu wielu pracowników branży musiało odejść i szukać nowego zajęcia ze względu na przedłużający się lockdown i niewielką liczbę turystów. Po zniesieniu restrykcji do zawodu już nie wrócili. Sekretarz generalny Hiszpańskiej Konfederacji Hotelarstwa (CEHE) Emilio Gallego przyznaje, że wynagrodzenia pracowników sektora hotelarskiego powinny rosnąć, ale firmy po dwóch latach pandemii nie mają pieniędzy na dodatkowe wydatki, a sytuację pogarsza inflacja.

O PENSJACH PRACOWNIKÓW firmy Grillaera w kartach obu restauracji, w Maladze i Algeciras, można przeczytać od roku. Głośno stało się o nich jednak dopiero niedawno – za sprawą Twittera, gdy jeden z klientów postanowił podzielić się wrażeniami z wizyty w restauracji w Maladze na swoim koncie w mediach społecznościowych i dołączył zdjęcie menu.

W sieci zawrzało. Pojawiły się komentarze na Twitterze, w których różne osoby pisały o swoich zarobkach. Jak Mariola, prawniczka po dwóch magisterkach, albo Jorge, kelner z Sewilli. Wielu komentowało, że chciałoby pracować w takich miejscach jak Grillaera. Tylko w ciągu dwóch czerwcowych dni właściciele restauracji dostali ponad sto *curriculum vitae*.

W planach restauratorów z Andaluzji jest także publikacja cen towarów, które kupują. – Chcemy, aby zwłaszcza teraz, w czasie inflacji, nasi klienci wiedzieli, jakie są koszty prowadzenia restauracji. Myślimy o tym, czy w przyszłości dołączyć do naszej karty informacje, ile płacimy np. za chleb w ciągu roku. Chodzi o transparentność – mówi Díaz.

Grillaera jest prawdopodobnie pierwszą w Hiszpanii restauracją, która zdecydowała się opublikować szczegóły dotyczące wynagradzania swoich pracowników. – Nie wiem, czy to dzięki naszemu pomysłowi, ale coraz częściej widzę oferty pracy w naszym sektorze, w których podaje się dokładną pensję. Chciałbym, żeby kiedyś publikacja pensji pracowników w menu stała się normą. Myślę, że to poprawiłoby warunki pracy i przyciągnęło nowych pracowników. A klienci wiedzieliby, ile naprawdę zarabia kelner, który ich obsługuje – mówi Sergio Díaz. © AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Artefakty*

Lipiec, o tej porze umierała Celina.

ME nie zdążył na jej śmierć ani na pogrzeb. Mimo że paszport załatwił mu sam minister do spraw wyznań.

Prosiłam ministra o ten paszport – bo Celina, bo pogrzeb... Celina? – powtórzył zaskakująco poruszony. – Ach, mój Boże, więc Celina...

Pamiętał ją, jak się okazało – z procesu Eichmanna. Był tam jedynym polskim dziennikarzem, Celina była świadkiem oskarżenia.

(„...wciąż jeszcze bardzo piękna, całkowicie wyzbyta sentymentalizmu, bądź pobłażania sobie", napisze o niej Hannah Arendt w „Eichmann w Jerozolimie").

Odprowadziliśmy ME na lotnisko, miał wrócić po dwóch tygodniach. Po tygodniu zadzwonił, żeby go z lotniska odebrać.

Spędził te dni z Antkiem, mężem Celiny. Antek starał się nie trzeźwieć, bo jak przestawał pić, to wpadał w rozpacz. Do tego był straszny upał. Do tego była makieta. Antek zaprezentował ją z wyraźną dumą: całe getto odtworzyli, ty byłeś tutaj, mówił i pokazywał ulicę Bonifraterską, Niemcy tam, jest brama na Umschlagplatz i Miła osiemnaście... I lampki zapalał, żaróweczki różnych kolorów. Widzisz? – mówił i zapalał. I gasił. Gasił i zapalał.

Jedna nie pali się, zauważył przytomnie ME. No nie, przyświadczył Antek. To Miła, żarówkę ma jakąś felerną.

Nie wiem, prawdę mówiąc, dlaczego wrócił tak prędko. Czego nie wytrzymał... Rozpaczy Antka? Upału? Bo nie tej makiety przecież.

Zobaczyłam ją dziesięć lat po ME. Myślałam, że jest większa. Mała była, stała na stole, przewodniczka kibucu uprzejmie zapaliła żaróweczki. Jedna nie chciała się palić, felerna jakaś.

W archiwum są dokumenty Celiny – jej papiery aryjskie, listy z getta z imionami i nazwiskami, jakby się bała, że nikt nigdy się o nich nie dowie („pisząc te słowa nie wierzymy, że się jeszcze zobaczymy kiedykolwiek"), są meldunki do Londynu, powojenny akt ślubu i pozwolenie na broń. Dostała je 30 listopada 1945: „Zezwolenie na posiadanie broni palnej bocznej systemu Walther kaliber 7,65".

Był to pewnie wojenny pistolet, którym próbowała zatrzymać ciężarówkę. Jak z kanału wychodzili i jak Kazik nie chciał czekać na chłopców. W kanale zostali, ktoś miał po nich pójść, Celina krzyczała – czekać, bo strzelam, Kazik powtarzał, że wróci po nich i ciężarówka ruszyła.

Leżą na Miłej osiemnaście.

Anielewicz, Mira, jego narzeczona, Lutek z Miriam, swoją matką, Jurek Wilner (odezwała się niedawno studentka polonistyki, Jurek przepisywał do zeszytu ulubione wiersze, studentka chciałaby o tym zeszycie napisać pracę magisterską). I Ruth, o której opowiadał ME. Nie potrafiła się od razu zastrzelić, za siódmym razem strzeliła celnie. Miała ładną brzoskwiniową cerę, mówił ME, ale zmarnowała nam sześć naboi.

Jak 19 kwietnia ME zapalał znicz na Miłej osiemnaście, jak szeptał coś do kogoś czy sam do siebie, to w jidysz, to po polsku, jak osłaniałam mu ten znicz od wiatru, to o niej myślałam, o dziewczynie z brzoskwiniową cerą.

Na Miłej osiemnaście wre praca. Geofizycy mierzą, archeolodzy kopią. Dwa buty już wykopali, najpierw jeden, dziewczynki, chyba dziesięcioletniej, potem drugi, mniejszy, też dziewczynki.

Głośno było o tych butach, nawet „Daily Mail" o nich napisał i liczne media zagraniczne.

Poza butami wykopano kafle od pieca, naczynia, słoiczek po kremie Nivea i talmud. Znalezione artefakty wzbogacą w przyszłości Muzeum Getta.

Geofizycy pracują nieinwazyjnie, na przykład georadarem. Robią mapę tego, co znajduje się pod ziemią.

Zlokalizowano już pięć miejsc obiecujących dla archeologii – mówił szef geofizyków, Amerykanin. Jeśli na przykład zlokalizują kawałek metalu, krótki i zwarty, to wolno będzie przypuszczać, że znaleźli pistolet.

Szuka się wolontariuszy i wolontariuszek chętnych do pracy przy wykopaliskach, pasjonatów archeologii – ogłasza na swoich stronach powstające Muzeum Warszawskiego Getta. ©

Celina – Cywia Lubetkin.
ME – Marek Edelman.
Dokumenty z archiwum czytałam dzięki Natalii Judzińskiej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Serwisy specjalne: patrz szerzej
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
Eseje, recenzje, felietony, podkasty
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

REDUTA W PODZIEMIACH

Po upadku powstania warszawskiego lewobrzeżna część stolicy była pustynią ruin. Atak Rosji na Ukrainę sprawia, że tamte obrazy nabierają przejmującej aktualności.

PATRYCJA BUKALSKA

W Mariupolu zniszczonych zostało już 95 proc. budynków" – prosty plakat, w kolorze biało-czarnym, umieszczono na słupie ogłoszeniowym przy placu Wilsona w Warszawie. I jeszcze: „Pamiętamy? Warszawa 1944 – Ukraina 2022".

Tak, o tamtym powstaniu pamiętamy. O wojnie w Ukrainie oczywiście też, choć coraz częściej wiadomości zza wschodniej granicy schodzą na dalszy plan.

Plakaty – z napisami także po ukraińsku i angielsku – były częścią prowadzonej w czerwcu przez władze stolicy kampanii solidarnościowej, mającej budzić w warszawiakach empatię wobec przybyszów z Ukrainy uciekających przed wojną. Miała ona też łączyć przez podobne doświadczenia i historię nowych mieszkańców stolicy ze starymi – w szczytowym momencie Warszawa gościła niemal 350 tys. ukraińskich wygnańców.

Na plakatach przypomniano też inne dane. „W trakcie Powstania Warszawskiego uszkodzeniu uległo 84 proc. budynków w lewobrzeżnej Warszawie". „Od początku wojny z Ukrainy uciekło już 6 mln osób". „Po II wojnie światowej Warszawę zamieszkiwało o 70 proc. mniej mieszkańców niż przed jej rozpoczęciem". „Na początku maja z Mariupola ewakuowano 80 proc. mieszkańców".

Od powstania w stolicy mija właśnie 78 lat, a cierpienie, jakiego wtedy doznali cywile i powstańcy, dziś jest udziałem naszych sąsiadów.

Prowadzona przez miasto kampania zakończyła się oficjalnie 30 czerwca. Jed-

nak w połowie lipca na słupie przy placu Wilsona nadal można było przeczytać: „Pamiętamy?”.

Wspaniałe ruiny

„Garnizon w Mariupolu wypełnił swoją misję bojową” – oświadczył w połowie maja sztab generalny ukraińskiej armii, informując, że „dowódcom jednostek stacjonujących w zakładach Azowstal nakazano ratowanie życia żołnierzy. (...) Obrońcy Mariupola to bohaterowie naszych czasów”.

Azowstal – wielki kombinat fabryczny, pełen bunkrów i podziemnych korytarzy – był ostatnią redutą Mariupola, miasta oblężonego przez Rosjan od początku marca. Schronieniem dla cywilów i miejscem heroicznej obrony prowadzonej do ostatniej chwili przez ukraińskich żołnierzy. Wojna trwa, a Azowstal – choć upadł – już stał się jedną z legendarnych opowieści. Apokaliptyczne obrazy zrujnowanego kompleksu, pogiętego żelaza i gruzów przez tygodnie obiegały światowe media.

Kiedy w powstaniu warszawskim padła pod koniec sierpnia 1944 r. jedna z ostatnich powstańczych placówek na Starym Mieście – Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych – niemiecka prasa odnotowała to jako wielki sukces. W końcu w polskich rękach Wytwórnia była od 2 sierpnia i od tego czasu Niemcy bezskutecznie starali się ją zdobyć.

Gdy w końcu ją zajęli, tygodnik „Das Reich” tak to opisał: „Grupa bojowa Reinefartha w ciągu kilku dni ostrzeliwała z ciężkiej broni kompleks budynków na północnej krawędzi kotła warszawskiego, przy czym front wynosił tylko 250 metrów. Miotacze min i ciężkie działa porozdzierały w strzępy grube żelbetonowe mury, ciężkie bomby lotnicze poniszczyły dziedzińce, a czołgi, działa szturmowe i artyleria przeciwpancerna spędziły obrońców swym morderczym ogniem z górnych pięter; lecz wewnątrz kretowiska piwnic, w podziemiach i korytarzach szaleje bój dalej, nawet wówczas, kiedy wielki gmach zamienia się w gruzy, nad którymi unosi się stale chmura dymu i kurzu”.

I dalej: „Dopiero gdy do ostatniego natarcia poszły oddziały Wehrmachtu, Waffen SS, policji i żandarmerii, oraz batalion miotaczy płomieni, udało się grenadierom wtargnąć do wnętrza podziemnego labiryntu i zameldować dowódcy odcinka, pułkownikowi Schmidtowi, o zajęciu tych wspaniałych ruin”.

Rzeczywiście, z imponującego kompleksu bloków PWPW pozostały ruiny. Walki toczyły się o każde piętro, każde pomieszczenie, na klatkach schodowych, w zamęcie, kurzu i ogłuszającym huku. Gmach został zniszczony w 60 proc., zginęło około 80-100 obrońców.

Dzień pierwszy

PWPW była szczególnym punktem już na konspiracyjnej mapie Warszawy. Przed powstaniem działało tam podziemie, m.in. dostarczając Armii Krajowej banknoty i formularze niemieckich druków urzędowych.

Gdy 1 sierpnia wybuchło powstanie, polskie oddziały zaatakowały Wytwórnię. Nie było to łatwe – chodziło w końcu o żelbetonowy gmach ogrodzony czterometrowym parkanem (żelaznym, a w części z cegieł), obsadzony przez kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych Niemców.

Udało się, a o powodzeniu natarcia przesądził – zdaniem Juliusza Kuleszy, autora monografii walk w PWPW, a także ich uczestnika – niespodziewany atak od wewnątrz przeprowadzony przez ↦

ZDZISŁAW WDOWIŃSKI / PAP

Zrujnowana zabudowa warszawskiego Nowego Miasta około 1945 r., z prawej zburzony gmach Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Widok ze skrzyżowania ulic Zakroczymskiej i Wójtowskiej.

↦ konspiracyjny oddział o kryptonimie PWB/17.

Kulesza tak mówił w 2007 r., w wywiadzie dla Muzeum Powstania Warszawskiego: „Niemcy zawiesili produkcję, ale została spora część personelu do czynności ewakuacyjnych. Również wartownicy, dzisiaj się mówi służba ochrony. Wszyscy byli w PWB/17 zaprzysiężeni. (...) Było dużo personelu polskiego, o czym Niemcy wiedzieli, uważali to za naturalne. Teraz nagle ci Polacy, z którymi się oni do tej pory mijają na korytarzach, obrzucają ich granatami. To uderzenie od wewnątrz, kiedy oni już się bronili przed powstańcami od ulicy. (...) Nagle dostali coś w rodzaju noża w plecy, zaczynają do nich strzelać i granaty wybuchać. Nastąpiło po prostu załamanie, ich ogarnął popłoch. To był decydujący moment".

2 sierpnia o godzinie czternastej PWPW znalazła się w polskich rękach. Stała się powstańczą fortecą, jednym z głównych punktów oporu.

Początek końca

Przez kolejne sierpniowe dni PWPW jest zaciekle broniona i zaciekle atakowana: Niemcy wysyłają czołgi, trwa ostrzał z pociągu pancernego (stojącego na Dworcu Gdańskim) oraz z artylerii z Pragi. Na Wytwórnię spadają bomby, jednak żelbetonowa konstrukcja trzyma się długo – stropy wszystkich kondygnacji mogły wytrzymać obciążenie 2 tys. kg na metr kwadratowy. Problemem są za to olbrzymie okna, przez które wpadają granaty i pociski.

26 sierpnia Niemcom udaje się od strony Parku Traugutta rozerwać żelazny parkan – zaporę utrudniającą wejście na dziedzińce – i wdzierają się do gmachu. Kolejne dwie doby to walka o każdy metr korytarza. Powstańcy są wyczerpani: brakuje amunicji i snu. Ewakuują część rannych i medyków. Ale kucharki – wymieńmy ich nazwiska: Kazimiera Kosiarek i Katarzyna Żach – decydują się, by zostać. Ktoś musi karmić powstańców.

Niemieckie samoloty nadlatują systematycznie, co godzinę. Jedna z półtonowych bomb przebija się do podziemnych kondygnacji. „Zburzona została część schronu ludności cywilnej, grzebiąc kilka osób. W bezpośrednim sąsiedztwie zdemolowany został punkt sanitarny dr »Rany« (Hanna Petrynowska), akurat w momencie operowania »Kaliny« z kompanii miotaczy płomieni (...). Powtórnych obrażeń doznali też ranni leżący w pobliskich pomieszczeniach, wśród nich (...) »Szczuka« (Jan Świątkiewicz) – syn ppor. »Wicka«" – pisze Kulesza w swojej książce „Reduta PWPW".

– To była potężna eksplozja. Zapadła się podłoga i mój ojciec podobno spadł do podziemnej części budynku. Cudem nic poważnego mu się nie stało, ale i on, i pozostali byli tam odcięci, bo schody miały też się zawalić – opowiada dziś Wicek Sosna, syn „Szczuki".

Ojciec i dziadek

„Szczuka" nie był w Wytwórni sam. Przyprowadził go tam jego ojciec, Wincenty Świątkiewicz ps. „Wicek". Był adiutantem ppłk. Jana Szypowskiego ps. „Leśnik", który od 21 sierpnia dowodził obroną PWPW (skierowano tam wówczas jako wsparcie całe Zgrupowanie „Leśnik").

„Szczuka", żołnierz elitarnego oddziału „Kolegium A" Kedywu, został ciężko ranny jeszcze podczas walk na Woli. Ojciec odnalazł go w szpitalu na Starym Mieście. Uznał, że grube mury PWPW, gdzie sam właśnie został skierowany, będą bezpiecznym miejscem dla jego poważnie rannego jedynego syna.

Stało się inaczej. Obaj znaleźli się w centrum najbardziej zaciekłych niemieckich ataków, a teraz jego syn został odcięty w podziemiach budynku.

„Szczuka" od dawna działał w konspiracji – najpierw w harcerskich Grupach Szturmowych, potem w batalionie AK „Zośka", wreszcie w Kedywie (skrót od Kierownictwa Dywersji). Podobno zależało mu na przeniesieniu się do Kedywu, bo tam było więcej akcji zbrojnych. O tym, co robi, raczej nie rozmawiał z ojcem, który sam był zaangażowany w podziemie – w tym w produkcję i magazynowanie broni.

– Oczywiście wiedziałem, że ojciec był w powstaniu, ale nie opowiedział nam, co stało się w Wytwórni – mówi Wicek Sosna.

Syn „Szczuki" i wnuk „Wicka" stara się zrozumieć ojca i jego przeszłość, napisał o nim książkę. – Dopiero prowadząc własne poszukiwania świadków i relacji, zacząłem poznawać mojego dziadka, którego osobiście nigdy nie poznałem – wspomina Wicek Sosna. – Dowiedziałem się, że bardzo lubił życie, lubił się śmiać, opowiadać żarty. Nie zmieniły tego jego przejścia: rewolucja sowiecka i ucieczka ze Wschodu, a potem udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Nieraz zastanawiałem się, jak się czuł, gdy w PWPW życie jego jedynego syna, niespełna 17-letniego – potem mojego ojca – zawisło na włosku.

Nastoletni „Szczuka" zadeklarował, że jest o dwa lata starszy – tak zapisano w jego dokumentach.

Po drabinie do życia

Tamtego dnia, późnym wieczorem, powstańcze oddziały zaczęły przeciwnatarcie. W ich szeregach idących na odsiecz odciętym był „Wicek". Walczył również o życie syna.

Wykorzystując ciemność i znajomość budynku, Polacy zajęli ponownie część Wytwórni. Juliusz Kulesza pisze, że to „rozszerzenie stanu posiadania pozwoliło odblokować odciętą przez pewien czas w dolnej kondygnacji grupę z rannymi – ppłk. »Leśnikiem« i mjr. »Mirem« oraz innymi, których nie zdążono ewakuować".

Teraz można było wydostać ich z Wytwórni. Droga ewakuacji prowadziła po drabinie i potem przez małe okienko na zewnątrz. „Leśnika", który został ranny w biodro jeszcze przed przybyciem do PWPW i dowodził, leżąc na noszach, trzeba było wynieść niemal siłą, bo kategorycznie się sprzeciwiał. Chciał zostać w budynku do końca.

Kiedy się to udało, „Wicek" jako adiutant „Leśnika" mógł odetchnąć. Ale jako ojciec musiał odczuwać jeszcze większą ulgę, gdyż także jego syn został uratowany.

– Nie wiem, czemu tata nigdy nie opowiedział nam tej historii: tego, że jego ojciec uratował mu życie. Że dziadek jest prawdziwym bohaterem – zastanawia się dziś Wicek Sosna. – To jedno z wielu pytań, na które nie znam odpowiedzi i pewnie już jej nie poznam.

Co do samego „Wicka", to pozostał on w broniącej się resztką sił Wytwórni. Niemcy zajmowali kolejne części kompleksu. 28 sierpnia powstańcy byli już tylko w podziemnych pomieszczeniach jednego z bloków.

Kulesza przytacza w książce relację sanitariuszki „Dalii": „Pamiętam olbrzymią halę z sufitem, podpartym filarami, a w połowie hali zza filarów strzelających z broni maszynowej Niemców. (...) Z tej hali z filarami było jedyne wyjście

ARCHIWUM WICKA SOSNY

Wincenty Świątkiewicz ps. „Wicek" oraz Jan Świątkiewicz ps. „Szczuka", zdjęcia z 1946 r.

cych z broni maszynowej Niemców. (...) Z tej hali z filarami było jedyne wyjście z przystawioną do okna drabiną. Osłonę stanowiło kilku chłopców, zapamiętałam starszego strzelca »Klawego«, który zdenerwowany kazał nam wchodzić na drabinę i »skosił« mierzącego do nas Niemca".

„Dalia" wspominała dalej: „Po wydostaniu się na zewnątrz zobaczyłam przed sobą wykopany rów pełen trupów. Przejście po nich było dla mnie szokiem. Wydostałam się na brzeg rowu i zygzakiem po gruzach przebiegłam na drugą stronę, w pewnej chwili podmuch rzucił mną na gruzy. Obejrzałam się, w ułamku sekundy zobaczyłam (...) strzępy wyrzucone w górę. Jak się okazało, »Ceniek«, który prowadził nas i szedł rowem, dostał wiązankę granatów, rzuconą z I piętra".

Później

Na koniec w Wytwórni zostało około 20 powstańców. Niemców było kilkuset. Wśród tych ostatnich z ostatnich, którzy się wycofali, był „Wicek".

28 sierpnia PWPW znalazła się w rękach niemieckich. W jej ruinach pozostała doktor „Rana" wraz z ciężko rannymi. Podobno wołała po niemiecku: „Tutaj jest szpital, nie strzelać!". Niemcy zamordowali „Ranę" i około 30 rannych.

Kilka dni później dzielnicę opuszczą kanałami ostatnie oddziały powstańcze – Starówka padnie. Będą się jeszcze bronić Czerniaków, Mokotów, Śródmieście i Żoliborz, przez kolejnych 35 dni.

„Wicek" i jego syn „Szczuka" przeżyją powstanie. „Wicek" zostanie odznaczony orderem Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Wydaje się, że nigdy już nie będzie miał szansy, by usiąść i spokojnie porozmawiać z synem o tym, co przeszli.

Gdy skończyła się wojna, „Wicek" z obozu jenieckiego wrócił do Polski, a „Szczukę" zabrano do szpitala w Wielkiej Brytanii, gdzie został. Z czasem nadzieja na powrót do ojczyzny zniknęła, a on zmienił nazwisko na Sosna, łatwiejsze w wymowie.

O swojej historii opowiadał rodzinie i znajomym mało – na początku może dlatego, że nie wiedział, czy może (wielu jego kolegów z AK trafiło do komunistycznych więzień). Potem może nie był pewien, czy ktoś to zrozumie.

Po latach jego syn Wicek dojdzie do wniosku, że ojciec musiał cierpieć na syndrom stresu pourazowego. To wpłynęło na całą rodzinę.

Strata

– Po zrekonstruowaniu historii ojca i dziadka czasem wolałbym już o tym nie myśleć. A teraz widzę, że znów dzieje się to samo. Nie tylko w Mariupolu, w Ukrainie niszczone jest miasto za miastem. Budynki można po wojnie odbudować, ale życia ludzi już nie. Cały naród będzie niósł tę traumę. Żyłem z ojcem, który przeszedł coś takiego, i wiem, że po takich doświadczeniach życie człowieka jest zniszczone – mówi dziś Wicek Sosna.

Dodaje: – Wpływ wojny dotyka całych pokoleń. Nawet odbudowa miasta trwa kilkadziesiąt lat, popatrzmy na Warszawę... I czym właściwie jest odbudowa? Przecież to nie będzie to samo miasto – ulice się zmienią, inne będą materiały. Ludzie, którzy powrócą, będą czuć tę stratę. Pamiętam ojca, jak podczas jednej z późniejszych wizyt w Polsce stał zagubiony na ulicy Warszawy i nie mógł rozpoznać tego, co tam zostawił. Miał tylko swoje wspomnienia. Popatrz na zdjęcia, jaki piękny był Mariupol przed tą wojną. Tak jak Warszawa. I w jednej chwili go nie ma. Mariupol już nigdy nie będzie taki jak kiedyś. Ludzie tam żyli, mają wspomnienia, ale stracili swoje miasto. To potworna strata.

Ślady

Kończy się gorący lipcowy dzień roku 2022. Wiatr znad Wisły chłodzi grube mury Wytwórni i spacerowiczów zmierzających na Starówkę. Lipy już przekwity, ale z pobliskich ogrodów dobiega ciężki zapach lilii. Mirabelki jeszcze nie dojrzały, choć zaczynają spadać na kamienne schody prowadzące z nadwiślańskich bulwarów do PWPW.

Wieczór jest spokojny i cichy, jeśli nie liczyć szumu aut na pobliskiej Wisłostradzie. Zwykły letni dzień w Warszawie.

Po wojnie budynek PWPW wiernie odbudowano. Pozostawiono nawet część żelaznego parkanu i dziś na grubych prętach wciąż można znaleźć liczne ślady po pociskach. Można ich dotknąć, poczuć – namacalny ślad dawnych wydarzeń. Mniejsze i większe wgłębienia w letnim upale z daleka wyglądają jak rozmazana plastelina.

Ślady, które wojna zostawia w ludziach, trudniej dostrzec. Ale są tak samo realne jak te po kulach. Trwają przez pokolenia, jątrzą się, uwierają.

Wojna nie kończy się wraz z ostatnim wystrzałem. © PATRYCJA BUKALSKA

PS. Wicek Sosna jest brytyjskim architektem. O swoim ojcu Janie Świątkiewiczu „Szczuce" napisał książkę pt. „The Man with Three Names" („Człowiek o trzech nazwiskach"; chodzi o nazwisko Świątkiewicz, pseudonim „Szczuka" i przyjęte w Anglii nazwisko Sosna). Prywatnie jest mężem autorki artykułu.

ARTUR CHMIELEWSKI / FORUM

OSTATNI TRĘDOWACI

Choć dziś to choroba całkowicie uleczalna, tysiące pacjentów wciąż nie mogą liczyć na terapię. I nadal muszą mierzyć się z ostracyzmem.

BARTOSZ KABAŁA

Region Tulcza na wschodzie Rumunii, w pobliżu miasta Isaccea. To tu, tuż przy granicy z Ukrainą, znajduje się Tichilești – ostatnia czynna kolonia trędowatych w Europie.

Z licznych reportaży, które w ostatnich dekadach powstały w tym miejscu, wyłania się obraz zbiorowiska osób, którym nagle odebrano całe dotychczasowe życie. Zabierani z dnia na dzień z własnych domów, zamykani w barakach bez prawa do opuszczenia osady i posiadania dzieci. Było tak nawet wtedy, gdy trąd już od dawna dało się wyleczyć.

Początki Tichilești sięgają drugiej połowy XIX w., gdy znajdujący się w tym

Mieszkańcy kolonii trędowatych po niedzielnym nabożeństwie, Tichilești (Rumunia). Fotografia pochodzi z 2014 r.

miejscu klasztor przekształcono w punkt zsyłki dla chorych. Historia osady przecina się z historią świata i regionu. W latach 30. ubiegłego wieku Wielki Kryzys dosięgnął także Rumunię. Państwo przestało finansować lokalnych sklepikarzy, którzy zaopatrywali ośrodek w żywność. Wygłodniali pacjenci w lipcu 1932 r. postanowili wyruszyć do oddalonego o prawie 250 km Bukaresztu. Marsz trędowatych zakończył się jednak w Isaccea. Przerażeni mieszkańcy zabarykadowali się w swoich domach i czekali na nadchodzącą pomoc służb porządkowych.

Za czasów Nicolae Ceaușescu kolonia oficjalnie nie istniała. Dopiero po upadku komunizmu jakość życia pacjentów się poprawiła. Od 1991 r. chorzy mogli swobodnie opuszczać ośrodek, choć większość wcale tego nie chciała. Niektórzy mieszkańcy urodzili się i spędzili tam całe życie. Wreszcie, po 2000 r. Tichilești zaczęła finansować Unia Europejska. W planach było przekształcenie kolonii w nowoczesny dom spokojnej starości, ale rok temu zmarł Răsvan Vasiliu, lekarz, który przez ostatnie 30 lat kierował ośrodkiem i kreślił ambitne plany na przyszłość. Pozostawił kilkoro ostatnich pacjentów – Tichilești zakończy działalność, gdy odejdzie ostatni z nich.

Powolna bakteria

Trąd to choroba zakaźna wywoływana przez bakterię *Mycobacterium leprae*, należącą wraz z odpowiedzialną za gruźlicę *M. tuberculosis* do rodzaju prątków. Wyróżniającą cechą tego gatunku jest niezwykle powolne namnażanie. Spośród wszystkich znanych nauce bakterii prątek trądu ma najdłuższy czas podwojenia populacji, wynoszący blisko dwa tygodnie.

Ten brak pośpiechu prątka powoduje istotne konsekwencje kliniczne. Od zakażenia do pierwszych objawów mija wiele miesięcy, w skrajnych przypadkach nawet 30 lat. Trudno przy takim okresie wylęgania dokładnie prześledzić drogę transmisji – do dziś nie jest ona całkowicie wyjaśniona. Najprawdopodobniej trądem zarazić się można drogą kropelkową, jednak ponad 90 proc. osób mających do czynienia z trądem nie zachoruje. Kontakt ze skórą chorego nie jest groźny. Choroba nie przenosi się też drogą płciową ani z ciężarnych kobiet na ich dzieci.

M. leprae najlepiej czuje się w temperaturze ok. 33 stopni Celsjusza. Z tego względu u człowieka rozwija się przede wszystkim w peryferyjnych częściach ciała, takich jak kończyny, uszy czy twarz. To tam tworzą się bolesne guzy i nacieki komórkowe. Na twarzy skóra marszczy się i twardnieje. Zmiany te obrazowo określane są jako „lwia twarz". Prątki atakują również obwodowy układ nerwowy. Najczęściej widoczne zmiany skórne poprzedzone są zaburzeniami czucia, porażeniami nerwów i parestezjami, czyli uczuciem mrowienia. Chory traci czucie w kończynach, które z powodu guzów uciskających na naczynia krwionośne stają się niedokrwione. Przypadkowe urazy i oparzenia, nieodczuwane przez chorego, źle się goją – prowadzi to do głębokich owrzodzeń i okaleczeń. Choroba cierpliwie pochłania kolejne tkanki.

Nie lada wyzwaniem jest wykrycie samej bakterii. Prątek trądu żyje wyłącznie we wnętrzu komórek i tylko tam może się namnażać. Jego hodowla w warunkach laboratoryjnych przez długi czas była nieosiągalna. Dopiero w latach 60. XX w. Charles Shepard odkrył, że trąd można hodować w komórkach poduszek łap myszy, choć i to nie jest najłatwiejsze – szczyt wzrostu bakterii pojawia się dopiero po około pół roku. Niedawno zauważono zaś, że prątek trądu znalazł sobie nowego gospodarza – przeskoczył z człowieka na pancerniki, które utrzymują niską temperaturę ciała – dzięki czemu dysponujemy nowym modelem zwierzęcym choroby.

Minimum egzystencji

Z nowych badań wiemy, że w toku ewolucji genom bakterii został znacznie zredukowany. Prątek trądu korzysta z minimalnej liczby genów koniecznych do budowy swojej komórki i jej podziału. W kwestii pozostałych procesów metabolicznych, takich jak synteza aminokwasów (czyli cegiełek, z których zbudowane są białka), prątek liczy na gościnność zarażonej przez siebie komórki.

Dzięki poznaniu genomu *M. leprae* udało się ustalić, skąd wziął się ten gatunek, jak duża jest jego różnorodność (istnieją cztery szczepy, różniące się między sobą w zaledwie 0,005 proc. materiału genetycznego) i jakie były drogi jego migracji. Podobnie jak gruźlica i dżuma, trąd to choroba związana z ludzką cywilizacją. Z prac Marca Monota z Instytutu Pasteura wynika, że *M. leprae* po raz pierwszy pojawił się we wschodniej Afryce i wraz z ludzkimi migracjami trafił do Azji, gdzie wyewoluował kolejny szczep tej bakterii. Inny rozwinął się na Bliskim Wschodzie, a stamtąd dotarł do Europy. Czwarty typ, najmłodszy, wyewoluował w Afryce Zachodniej z wariantu europejskiego, który zawleczony został tam przez kolonizatorów i również przez nich, wraz z wywożonymi niewolnikami, dotarł na kontynent amerykański.

Drogi ekspansji bakterii (i ludzi) poznajemy także dzięki poszukiwaniu szczątków osób chorych na trąd. Jeden ↦

ARTUR CHMIELEWSKI / FORUM

Leprozorium w Tichileşti (fotografia z 2004 r.)

z najstarszych szkieletów noszących ślady tej choroby pochodzi z Indii (ok. 2000 r. p.n.e.). Szczątki mężczyzny w średnim wieku odkryte zostały w 2009 r. w Radżastanie na północy Indii, w rolniczym regionie, który już cztery tysiące lat temu był dość gęsto zaludniony. W raporcie z przeprowadzonych badań Gwen Robbins z Appalachian State University opisuje uszkodzenia w kościach czaszki, zmiany degeneracyjne stawów, ślady zapalenia okostnej piszczeli oraz ubytki w stopach i rękach.

Wykrycie wszystkich tych śladów i powiązanie ich z działaniem *M. leprae* stało się dowodem na migrację prątka z Afryki do Azji oraz... pozwoliło prawidłowo odczytać fragmenty Atharwawedy, jednej ze świętych ksiąg hinduizmu, w których mowa o trądzie i zwalczaniu tej choroby przy pomocy zioła kushtha. Co ciekawe, starożytni hinduscy uczeni chcieli leczyć tym ziołem również gruźlicę, mimo że nie mogli wiedzieć, iż obie choroby wywoływane są przez bakterie zaliczane do tego samego rodzaju.

Nieczysty! Nieczysty!

Choć istnieją dużo starsze przekazy i opisy trądu, to jednak w kulturze Zachodu choroba w sposób oczywisty kojarzy się z Biblią, w której jest jedną z głównych dolegliwości zdrowotnych trapiących ludzkość. W Księdze Kapłańskiej Starego Testamentu znajduje się cały rozdział z radami, jakie Bóg przekazał Mojżeszowi i Aaronowi dotyczącymi postępowania z trądem. Znajdziemy tu zarówno szczegółową diagnostykę, jak i metody zapobiegania rozprzestrzenianiu się tej choroby. Np.: „Gdy kapłan stwierdzi na skórze białe nabrzmienie, pod wpływem którego włosy stały się białe, i że dzikie mięso wyrosło na tym nabrzmieniu, to zastarzały trąd na jego skórze. Kapłan uzna go za nieczystego i zatrzyma w odosobnieniu, gdyż jest nieczysty" (Kpł 13, 10-11). W przypadku braku pewności, czy zmiana skórna jest wynikiem trądu, kapłan mógł posłać podejrzanego o „nieczystość" wiernego na kilkudniową kwarantannę, by móc szczegółowiej określić przyczynę choroby, jednocześnie nie narażając innych.

Trąd bywa w Biblii karą za grzechy, jak w przypadku Miriam, która „obmawiała z Aaronem Mojżesza". W trakcie spotkania z Jahwe „nagle Miriam pokryła się trądem białym jak śnieg" (Lb 12, 10). Trędowaci nie zawsze byli jednak przedstawiani negatywnie. Czterej chorzy odegrali ważną rolę w trakcie oblężenia Samarii przez Aramejczyków. To oni jako pierwsi spostrzegli, że wypełniła się przepowiednia proroka Elizeusza i aramejscy najeźdźcy uciekli, pozostawiając głodujące miasto w spokoju.

Izolacja jest odwieczną metodą radzenia sobie z trądem. Trędowaty miał także zwracać na siebie uwagę, by chronić innych. Znowu Księga Kapłańska: „Człowiek dotknięty plagą trądu będzie miał rozdarte szaty i włosy na głowie w nieładzie; zasłoni on brodę i będzie wołał: »Nieczysty, nieczysty!«" (Kpł 13, 45). Niewiele zmieniło się do późnego średniowiecza, kiedy zaraza, rozniesiona wcześniej za sprawą podbojów Imperium Rzymskiego, a później podsycana przez wyprawy krzyżowe, osiągnęła swoje apogeum w Europie.

Chorzy mieli ubierać się w długie i kolorowe szaty, nosić grube rękawice i kaptury, ostrzegać innych przed swoją obecnością przy pomocy dzwonka lub kołatki, unikać kontaktu z innymi ludźmi i rozmawiać z nimi wyłącznie pod wiatr, by wrogi miazmat nie przeskoczył na zdrowego.

W średniowiecznej Europie od czasów Edyktu Rotariego z 643 r. upowszechnił się rytuał Separatio Lepresorum. Pacjent podejrzany o trąd stawał przed komisją złożoną z lekarza, księdza i innego trędowatego, która decydowała o wygnaniu. Po kilku dniach na załatwienie swoich spraw choremu odprawiano symboliczny pogrzeb. W artykule „Trąd i jego szerzenie się w Polsce" z 1948 r. Michalina Biehler tak to opisuje: „Po mszy, której wysłuchiwał trędowaty, klęcząc na czarnym suknie z głową okrytą czarnym woalem, i po której oficjant posypywał choremu głowę ziemią, mówiąc *sis mortuus mundo* (będziesz umarły dla świata), dla pociechy dodając *vivus iterum Deo* (żywy natomiast dla Boga), ksiądz odczytywał to wszystko, co trędowatemu było zabronione".

Z kolei według innych przekazów trędowaty po mszy wraz z procesją szedł na cmentarz i wchodził do wykopanego grobu, gdzie ksiądz posypywał go ziemią. Aż do XIII w. choroba jednego z małżonków oznaczała zakończenie małżeństwa, a zdrowego uznawano za owdowiałego. Trędowaty był nie tylko wyrzutkiem społeczeństwa, był martwy za życia.

Szpital w Bergen

W 1321 r. we Francji wybuchła panika. Wieść niosła, że trędowaci na zlecenie żydów, których z kolei kontrolują muzułmanie z Półwyspu Iberyjskiego, chcą zatruć wszystkie studnie i rzeki, aby zniszczyć chrześcijańską Europę. Jako pierwsi spisek wykryli mieszkańcy Périgueux. Zaczęli napadać trędowatych i palić ich żywcem. Wkrótce król Francji Filip V zainteresował się sprawą i zdecydował powierzyć śledztwo Bernardowi Gui, dominikaninowi i bezwzględnemu inkwizytorowi (znanemu m.in. z kart powieści „Imię róży" Umberto Eco), który nie miał wątpliwości co do istnienia spisku przeciwko chrześcijaństwu. Na terenie Francji spalono wówczas ok. 5 tys. trędowatych.

Trudno powiedzieć, czy straszniejsza jest sama choroba, czy też społeczne konsekwencje z nią związane. W średniowiecznej Europie chorych było tak wielu, że poza miastem tworzyły się całe wsie i małe miasteczka zakładane przez trędowatych (tzw. leprozoria). W XIII w. na naszym kontynencie mogło ich być blisko 20 tys. Przyjmuje się, że trąd z Europy wypędziła dopiero epidemia dżumy z XIV w. Dla głodujących i wyniszczonych trędowatych stłoczonych w zaniedbanych osadach dżuma stanowiła śmiertelne zagrożenie. Wyjaśnieniem przygaśnięcia trądu może być też wzrost zachorowań na gruźlicę i potencjalna odporność krzyżowa między wywołującymi te choroby patogenami.

Trąd pozostał jednak problemem zdrowotnym w niektórych częściach Starego Kontynentu. Na północy Europy w XIX w. liczba chorych stale wzrastała, a w Norwegii dwóch na tysiąc mieszkańców było zarażonych trądem. Najbardziej dotkniętym chorobą miastem było Bergen – żyło tam aż 25 trędowatych na 1000 mieszkańców. To tutaj powstał pierwszy oficjalny rejestr tej choroby, a szpital pod wezwaniem św. Jerzego w Bergen był wówczas wiodącym ośrodkiem naukowym w zakresie trądu. To właśnie w tych warunkach 32-letni Gerhard Henrik Hansen w 1873 r. odkrył pod mikroskopem niewybarwione prątki trądu w wycinku z węzła chłonnego osoby zarażonej (stąd trąd bywa też nazywany chorobą Hansena). Miało to miejsce prawie dekadę przed słynnym wykładem Roberta Kocha o prątku gruźlicy.

Przełomowe odkrycie, jak to zwykle bywa w historii medycyny, nie zostało od razu przyjęte z entuzjazmem. Jeśli trąd jest chorobą zakaźną, to zakażenie innego osobnika w warunkach laboratoryjnych musi spowodować te same objawy. Biorąc pod uwagę charakterystykę *M. leprae*, udowodnienie tego jest niezwykle trudne. Od zakażenia do pierwszych objawów mija czasem wiele lat, a zakaźność jest niewielka. W dodatku u niewielu gatunków prątek trądu wywołuje chorobę, hodowla zaś tych bakterii w warunkach laboratoryjnych była w czasach Hansena niemożliwa.

Zakaz jazdy pociągiem

Nawet gdy znano już przyczynę choroby, podstawową metodą leczenia pozostawała izolacja. Przez całe wieki leczono bowiem z trądu nie chorego, a tkankę społeczną, wycinając z niej trędowatych. To zmieniło się dopiero w XX w. Pierwszym odkrytym preparatem przeciwko trądowi był promin, który w organizmie człowieka ulega rozpadowi, tworząc związek nazywany dapsonem. Pomimo skutków ubocznych promin był podstawowym lekiem aż do lat 60., kiedy na rynek weszły nowe antybiotyki – ryfampicyna i klofazomina. Te dwa ostatnie wraz z dapsonem są obecnie stosowane powszechnie i znajdują się na tzw. liście leków podstawowych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), która także w tym przypadku zapewnia do nich darmowy dostęp.

> Przez całe wieki leczono z trądu nie chorego, **lecz tkankę społeczną,** wycinając z niej trędowatych.

Ogromna skuteczność tych leków i niewielka oporność bakterii zupełnie zmieniają obraz trądu. Z choroby stygmatyzującej i powoli, choć nieodwracalnie pochłaniającej ludzkie ciało trąd stał się wyleczalny, a jego skutki – znacznie bardziej łagodne. Teoretycznie medycyna znów ujarzmiła trawiącą ludzkość plagę.

Ale nawet dziś, mimo skutecznego leczenia, problem trądu istnieje. Na świecie żyje między 2 a 3 miliony osób z niepełnosprawnościami spowodowanymi zakażeniem *M. leprae*. WHO podaje, że w 2019 r. wykryto 202 tys. nowych przypadków trądu. Rok później liczba ta spadła o osiemdziesiąt tysięcy, jednak te dane mogą nie być precyzyjne ze względu na pandemię COVID-19.

Ponad połowa nowych przypadków diagnozowana jest w Indiach, choć jeszcze na początku lat 90. ubiegłego wieku kraj ten odpowiadał za 75 proc. nowych zachorowań. Zmniejszenie tego udziału umożliwił m.in. Narodowy Program Eliminacji Trądu, którego początki sięgają 1955 r. W 2005 r. indyjski rząd ogłosił, że trąd przestał być problemem zdrowotnym, ponieważ jego występowanie spadło poniżej 1 na 10 tys. mieszkańców, i przekierował działania na walkę z innymi chorobami.

W rzeczywistości trąd dalej się rozprzestrzenia, za co odpowiada zarówno jego charakterystyczny powolny przebieg, jak też wciąż powszechna i prawnie usankcjonowana stygmatyzacja chorych. Do dziś istnieje w Indiach około stu przepisów, które dyskryminują pacjentów. Przykładowo, dopiero w 2019 r. indyjski parlament zdecydował, że trąd nie będzie już podstawą dla rozwodu. Część z tych przepisów (np. uniemożliwienie chorym na trąd uzyskania prawa jazdy) ma swoje prawne uzasadnienie w dokumentach sprzed ery antybiotyków, gdy trąd był chorobą nieuleczalną, ale niektóre, jak zakaz podróży pociągiem, powstały całkiem niedawno.

Z łatwością można sobie więc wyobrazić osoby, które zauważyły niepokojące zmiany skórne u siebie lub u członków rodziny i ze strachu nie zgłaszają się do lekarza. Część z chorych sama udaje się do nieoficjalnych leprozoriów, których w Indiach jest ponad 700. Palącą kwestią jest zatem nie tylko dostępność do opieki zdrowotnej, ale również edukacja (w tym politycznych elit) i upowszechnienie wiedzy o możliwym leczeniu i drogach transmisji choroby.

W planach WHO zapisano zredukowanie do 60 tys. w 2030 r. liczby nowych infekcji prątkiem trądu, który, choć powolny i uzależniony od żywiącej go komórki, wciąż bywa nieuchwytny.

© BARTOSZ KABAŁA

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Żoliborza w Warszawie, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 472/21 toczy się z wniosku Ryszarda Karubina postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wojciechu Karubinie, ur. 23 kwietnia 1946 r. w Warszawie, zm. 6 kwietnia 2021 r. w Radomiu, ostatnio przed śmiercią zamieszkałym w Warszawie przy ul. Sady Żoliborskie, bratanku Stanisława Karubina – pilota 303. Dywizjonu Myśliwskiego Warszawskiego im. Tadeusza Kościuszki.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w sądzie i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogę zostać pominięci w postanowienu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Zaprzyjaźnić się z przedmiotami

MICHAŁ STONAWSKI, MALARZ:

Rzeczy miały kiedyś znacznie dłuższy żywot. Projektowano je na lata, dlatego starzały się powoli.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Tytuł najnowszej wystawy w Bunkrze Sztuki brzmi: „To, co widzę, nie jest tym, co widzę". Co to znaczy?

AGNIESZKA MAZOŃ: Michał Stonawski posługuje się w swojej twórczości rodzajem iluzji, może nawet próbuje nieco oszukać widza, któremu wydaje się, że widzi jakiś przedmiot, a dopiero po chwili dostrzega, że jest on namalowany albo jest obiektem trójwymiarowym zbudowanym z obrazów. Jest to rodzaj gry, w której obie strony pozostają usatysfakcjonowane – zarówno ta oszukująca, jak i ta oszukiwana.

MICHAŁ STONAWSKI: Gdy chodzę ulicami po mojej okolicy, natykam się na różne obiekty – skrzynki na listy, tabliczki, deski czy inne elementy naszej codziennej rzeczywistości, których zazwyczaj nie dostrzegamy. Ja patrzę na nie po swojemu, staram się dotrzeć do ich historii – skąd się wzięły, jaka jest ich struktura, dlaczego starzeją się w taki, a nie inny sposób.

Śledztwo w sprawie starzejącej się materii?

MS: Próbuję prześledzić losy danego obiektu – dlaczego ktoś zeskrobał akurat ten fragment tabliczki albo po co na tej wysokości drzwi od windy przykleił naklejkę. Zależy mi, aby obiekty, które potem maluję, miały bogatą historię.

Nie ma tu przypadku?

MS: Nie, to są rzeczy dobrze mi znane, opatrzone, które codziennie mijam na ulicy. To w pewnym sensie moi znajomi, wręcz przyjaciele, którzy towarzyszą mi w drodze do pracy czy dawniej na uczelnię. Przyglądam się, jak spełniają swoją funkcję – bo są to prawie zawsze przedmioty użytkowe. Obserwuję też, jak zmieniają się na przestrzeni czasu.

Michał Stonawski, Poczta, 2020

Ile trwa takie zawieranie przyjaźni z przedmiotami?

MS: Długo. Najpierw chodzę wokół nich, aż je w końcu zauważę. Potem jakiś czas myślę o nich, sprawdzam, czy osadzają się w mojej głowie. Czasem robię zdjęcie, żeby móc w każdej chwili upewnić się, czy dany obiekt wciąż mnie porusza, czy dalej mam w sobie jakieś uczucia względem niego. Dopiero gdy pozytywnie przejdzie taką weryfikację, zaczynam go malować, aby dowiedzieć się o nim więcej.

O jakich uczuciach tu mówimy?

MS: Najpierw jest zachwyt, poruszenie serca, a z tego, po jakimś czasie, może zrodzić się miłość.

Maluje Pan z natury czy ze zdjęć?

MS: Najbardziej lubię, gdy mam bezpośredni dostęp do przedmiotu, bazuję na dogłębnej znajomości danego obiektu. Niestety nie zawsze jest to możliwe. Medium fotografii nie jest dla mnie obiektywne – mam przeświadczenie, że zdjęcia zawsze przekłamują, choćby w kwestii kolorów. Fotografia jest dla mnie rodzajem zakorzenienia w pamięci, służy mi przede wszystkim do przypomnienia sobie emocji, które wywołał we mnie dany obiekt.

Maluje Pan przedmioty, które powoli znikają, rozpadają się – skoro miłość, to czy także smutek, że odchodzą?

MS: Nie, raczej wdzięczność, że mogłem przez jakiś czas z nimi być, dzielić swoją egzystencję.

Jaką opowieść możemy zbudować z portretów niszczejących przedmiotów?

AM: Projektując wystawę, staraliśmy się zacząć od początku artystycznej drogi Michała, czyli od jego pracowni. To właśnie tam ukształtował się jego charakterystyczny sposób przedstawiania fragmentów rzeczywistości. Szafka na przybory malarskie, puste płótno na sztaludze, kaloryfer pochlapany farbą, kratka wentylacyjna – to wszystko są elementy jego biografii.

A szerzej, co te obrazy mówią o naszej rzeczywistości?

AM: W pewnym sensie to wariacja na temat *vanitas*, przemijania i nietrwałości świata, w którym wszyscy jesteśmy zanurzeni. Nie ma tu jednak czytelnej alegorii, bo znaczenie portretowanych przedmiotów zapośredniczone jest w osobistym doświadczeniu Michała. Brak tu też smutku czy egzystencjalnego lęku, jest raczej czułość, specyficznie rozumiany sentyment. Tęsknota za czymś przeszłym, zniszczenie i korozja materiału – to w tym przypadku wartości dodatnie, inspirujące, niczym gotyckie ruiny w angielskim ogrodzie. O obrazach Michała można też pomyśleć jak o portretach starych ludzi, których twarze są przeorane zmarszczkami i widać na nich upływ czasu. Tyle że nie chodzi tu o zapowiedź zbliżającej się śmierci, a raczej ślady życia, w którym doświadczyli całego bogactwa emocji. Bo przecież zmarszczki robią się także od częstego uśmiechu.

Dziś myślimy o przedmiotach niemalże wyłącznie w kategoriach

MATERIAŁ PROMOCYJNY // FOT. R. SOSIN X3

Michał Stonawski, Talerzyki, 2008

poniżej: Michał Stonawski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Narkotyki. Niemyte dusze, 2022

użyteczności – rzeczy stare i zniszczone po prostu wymienia się na nowe.

MS: Pamiętam z dzieciństwa w latach 80., że rzeczy miały znacznie dłuższy żywot. Projektowano je na długie lata, dlatego starzały się powoli. Ta dbałość o trwałość, refleksja nad tym, jak coś będzie wyglądało za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat, często uwzględniane były na etapie produkcji. A to z kolei miało znaczący wpływ na późniejszy sposób ich postrzegania i użytkowania przez właścicieli.

AM: Tego z pewnością brakuje w dzisiejszym świecie, gdzie przy wyborze materiałów decyduje przede wszystkim cena, a nie jakość. Łatwa zastępowalność przedmiotów to podstawa dzisiejszego projektowania i produkcji.

Metal jest ciekawszy niż plastik?

MS: To zależy, plastik też może się ciekawie starzeć – na przykład utleniać się pod wpływem energii słonecznej czy powoli rozpuszczać się od ciepła. Każdy materiał pracuje inaczej, trzeba to brać pod uwagę. Łatwo jest zrobić coś, co wygląda ładnie przez tydzień czy dwa, a potem szybko traci dla nas wartość, staje się po prostu odpadkiem.

Po co nam malarstwo hiperrealistyczne w epoce wszechobecnej fotografii w wysokiej rozdzielczości?

AM: Michał stanowczo odżegnuje się od hiperrealizmu, który często mu się przypisuje.

MS: Wolę słowo „naturalizm", bo hiperrealizm kojarzy mi się z odhumanizowaniem malarstwa. Ja nie dążę do uzyskania efektu fotografii, ukrycia malarskiego gestu, śladów duktu pędzla.

AM: Hiperrealiści używali przede wszystkim farb akrylowych, które dają efekt gładkiej powierzchni. Farba olejna pozostawia unikalną fakturę, czyli bardzo ważny element w pracach Michała, który obficie czerpie z możliwości, jakie oferują mu grube impasty, zacieki, chropowatość płótna. Nie wstydzi się warsztatu, eksponuje go jako wartość estetyczną.

MS: Zawsze fascynowała mnie martwa natura, czyli różne sposoby ujmowania prostych przedmiotów składających się na daną kompozycję. Nie tylko kształty i kolory, ale też kadrowanie czy perspektywa. Stąd, krok po kroku, zrodził się mój pomysł na malowanie rzeczy w skali 1:1. Zrezygnowałem zupełnie z tła, z przestrzeni, która miałaby tworzyć ramę dla obiektu – u mnie wypełniają one całą powierzchnię. Zamiast tworzenia efektu głębi wolę wnikać w strukturę samej materii.

Dużo maluje Pan książek.

MS: Wszystkie portretowane przeze mnie przedmioty są mocno zakotwiczone w mojej codzienności. Pierwsze pozycje pochodziły z mojej biblioteczki. Niektóre z nich należały jeszcze do moich rodziców. Mój ojciec jest inżynierem i zostawił mi wiele podręczników z czasów swoich studiów, między innymi „Teorię względności" Einsteina, którą nawet próbowałem czytać, ale szybko zrezygnowałem. Za to zafascynował mnie jej fizyczny wygląd.

Wystawa o rzeczach, które nie są tym, co widzimy, to kuratorskie wyzwanie?

AM: Wszyscy lubimy ulegać iluzji, więc to jest nasz punkt wyjścia do tej opowieści. W zakamarkach średniowiecznych piwnic Pałacu Potockich realistyczne obrazy i obiekty mogą być „niewidoczne", a odwiedzający wystawę zostają wciągnięci w rodzaj gry. W ten sposób chcemy otworzyć widzów na inne, mniej oczywiste kategorie piękna, zmienić nieco percepcję względem rzeczy pozornie banalnych, które widzimy na co dzień. Choć tak naprawdę, zgodnie z tytułem wystawy, wcale ich nie dostrzegamy.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

AGNIESZKA MAZOŃ (ur. 1986) jest historyczką sztuki, kuratorką, antykwariuszką. W Galerii Bunkier Sztuki na stanowisku specjalisty ds. kolekcji.

MICHAŁ STONAWSKI (ur. 1984) uprawia malarstwo, rysunek, tworzy obiekty i instalacje. Absolwent Wydziału Malarstwa ASP w Krakowie, nauczyciel rysunku i malarstwa w krakowskim liceum plastycznym.

▪ Michał Stonawski **„TO, CO WIDZĘ, NIE JEST TYM, CO WIDZĘ"**
23.07 – 2.10.2022
Galeria Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki
Rynek Główny 20, Kraków
Więcej informacji: **www.bunkier.art.pl**

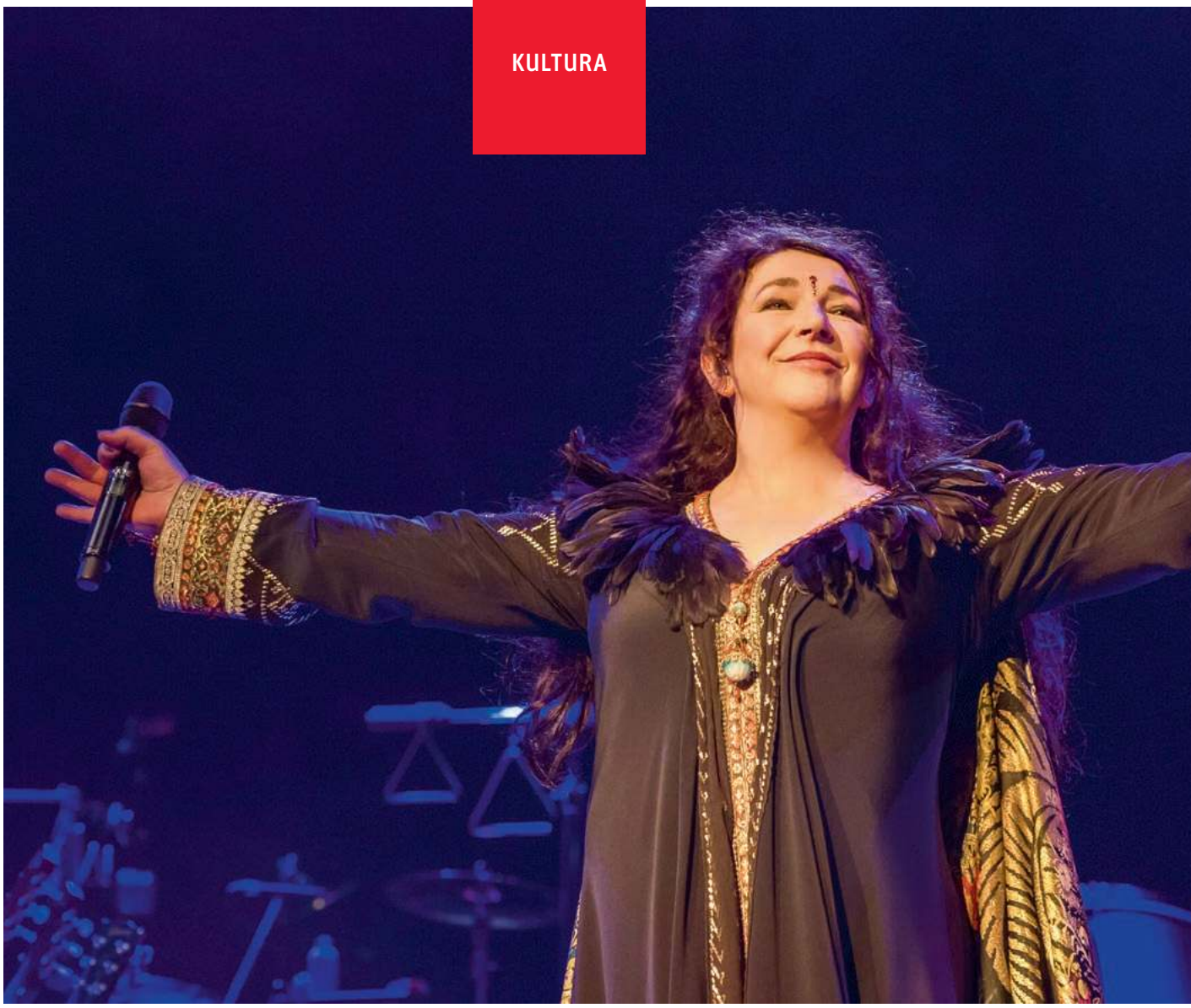

BURZA NA WZGÓRZACH

Zmagała się z opinią panienki z majętnego domu, która bawi się w sztukę. Ale zaplecze intelektualne, wsparcie rodziny, osłuchanie w muzyce dawnej, klasycznej i folkowej dały w połączeniu z talentem niespotykany efekt.

ROBERT KASPRZYCKI

W historii rocka i popu rzadko zdarzają się tak spektakularne powroty. Oto Kate Bush – znana z programowego ignorowania wyścigu śpiewających celebrytów, artystka tyleż legendarna, co nieobecna – zgarnęła całą pulę.

W konkursie na „najdłuższy odstęp czasowy między jedynkami na listach przebojów" zdeklasowała Toma Jonesa, a w dyscyplinie „najstarszy wykonawca na miejscu pierwszym" pokonała Cher, z tym, że w przypadku naszej bohaterki nie był to wynik trzymania ręki na pulsie epoki czy paktu z bogami chirurgii plastycznej, lecz pojawienia się piosenki „Running Up That Hill" z 1986 r. w serialu Netfliksa. W czwartym sezonie „Stranger Things" utwór Kate Bush stanowi emocjonalny emblemat jednej z postaci. A ona sama kończy właśnie 64 lata.

KEN MCKAY / SHUTTERSTOCK / REX / EAST NEWS

Kate Bush podczas koncertu w londyńskim Hammersmith Odeon, sierpień 2014 r.

Autorka

Catherine Bush urodziła się 30 lipca 1958 r. w hrabstwie Kent, w Anglii, jako dziecko chirurga i pielęgniarki o irlandzkich korzeniach. Wychowana została w zielonym ogrodzie i w cieplarnianej atmosferze rodzinnego domu, mając wsparcie starszych braci – Johna i Paddy'ego, którzy pisali wiersze, muzykowali, znosili do domu różne instrumenty, parali się sztukami walki i fotografią. Naturalne zatem zdawało się jej przejście od „śpiewnika domowego" do własnej twórczości.

Piosenki zaczęła pisać mając 11 lat, co nie jest szczególnym ewenementem – w podobnym wieku zaczynali Céline Dion, Justin Bieber czy Taylor Swift. Legendarnym już wątkiem jest odkrycie jej twórczości przez samego Davida Gilmoura – gitarzystę Pink Floyd. Dostał pocztą od znajomych taśmy demo z muzyką szesnastolatki. Pod jego opieką utwory rozrosły się na profesjonalnych sesjach, prowadzonych pod okiem doświadczonych producentów.

Mimo tak spektakularnego wejścia do zasobów wytwórni EMI Bush nie była, zdaniem decydentów, gotowa do wyjścia na świat. Decyzje szefa programowego Boba Mercera sprawiły, że czas ten spędziła jednak twórczo – pisząc teksty, doskonaląc swój taniec i pantomimę, a także koncertując z zespołem KT Bush Band. Dodać należy, że Bush będzie bronić później lojalnie jego integralności i forsować obecność kolegów w studiach, co w branży zdominowanej wówczas przez muzyków sesyjnych nie było praktyką częstą.

Przygasł właśnie charakterystyczny dla tamtych czasów entuzjazm wokół monumentalnych form art-rockowych, a nie wszystkich wabił piwny czar punkowej rewolucji. Koncerny płytowe zaczęły szukać czegoś nowego, by muzyczny świat znów miał z czego „zżynać", wedle zasady: „co Brytyjczyk wymyśli, Jankes ulepszy, oprawi w ładne dźwięki, i da zaśpiewać przystojniakowi z lepszym zgrzytem". Traf chciał, że wbrew tej regule powiodło się debiutantce.

W roku 1978 19-letnia Bush przez cztery tygodnie zajmowała szczyty brytyjskiej listy przebojów debiutanckim singlem „Wuthering Heights" („Wichrowe Wzgórza"), będąc pierwszą kobietą, która weszła tam bez pomocy najemników, realizując autorski projekt. W samym Zjednoczonym Królestwie debiutancki „This Kick Inside" sprzedał się w ponad milionie sztuk, a „Wuthering Heights" oraz „The Man with the Child in His Eyes" stały się przebojami międzynarodowymi. Powtórzmy: Bush była pierwszą wokalistką popową, która wszystkie piosenki na swoim bestsellerowym albumie napisała sama.

Płycie „Lionheart" (również z 1978 r.) towarzyszył cykl koncertów noszących proroczą nazwę „The Tour of Life" („Trasa życia") – proroczą, gdyż niemal na progu kariery pojawiła się u Bush niechęć do grania na żywo, wynikająca tyleż z perfekcjonizmu i niemożności przeniesienia świata wykreowanego w studio na poletko sceny, co z traumy po tragicznej śmierci Billa Duffielda, technika światła, który zginął spadając z konstrukcji scenograficznej.

Rodzinnie

Żeby w 2011 r. obejrzeć choć jeden z jej dwudziestu dwóch koncertów „Before the Dawn", granych w londyńskim Hammersmith Apollo, nie wystarczyło wstać przed świtem – bilety sprzedały się w kwadrans. Co więcej, były to występy na prawach „rezydenta", wykonawcy stałego, który ustawia scenę, fiksuje ustawienia miksera i gra kolejne koncerty, mające niewiele wspólnego z przygodą, jaką oferuje prawdziwa trasa: z karawaną ciężarówek, busami pełnymi *groupies* i żelazną regułą: „co się dzieje w trasie – zostaje w trasie".

EMI miało zresztą pecha do artystów, którzy rezygnowali z grania koncertów, będących przecież samoistną promocją, a co za tym idzie: maszyną do zarabiania pieniędzy. The Beatles uzasadniali zaprzestanie koncertów krótko: „Interesuje nas muzyka, mamy dość bycia mięsem". Ich decyzja czy wycofanie się Kate Bush to same kłopoty – wytwórnie wolą formacje takie jak Rolling Stones, Metallica albo Iron Maiden, potrafiące łoić wieloletnie trasy promujące nagrany materiał. Określenie „materiał" jest tu użyte z rozmysłem – z perspektywy wytwórni płytowej sprawa jest prosta, jak ze sprzedażą tweedu, szyfonu czy popeliny: my wypuszczamy materiał, a ty ruszasz w trasę napędzającą jego sprzedaż (i produkując w tym samym czasie nowy materiał, który po wyprzedaży zapasów z magazynu będzie pretekstem do ruszenia w kolejne *tournée*). Coś w sam raz dla młodziaków szukających w sukcesie finansowym dowodu akceptacji i potwierdzenia własnej wartości.

W przypadku Bush sytuacja była jednak odwrotna: stała za nią rodzina, pielęgnująca małe rytuały i niemałe dziwactwa, w tym dwaj starsi bracia, otaczający siostrzyczkę opieką niczym Lasse i Bosse w „Dzieciach z Bullerbyn". Z drugiej strony Bush rozumiała samo zjawisko show-biznesu – aby podtrzymać zainteresowanie wydawcy, należy dać mu na sobie zarobić.

Początkowo dość regularnie wydawała kolejne albumy, jednak stachanowskiej wydajności, tak cenionej z punktu widzenia wydawcy, nie pomagały wewnętrzna ↦

RB / REDFERNS / GETTY IMAGES

Kate Bush, 1980 r.

↦ niezależność, samodzielność finansowa oraz panowanie nad katalogiem własnych piosenek. To dlatego musiała się zmagać z opinią kapryśnej panienki z majętnego domu, która bawi się w sztukę. Ale też nikt przytomny nie mógł zaprzeczyć, że jej talent, zaplecze intelektualne, wsparcie rodziny, osłuchanie w muzyce dawnej, klasycznej, folkowej sprawiły, iż wydatnie poszerzyła katalog art-popu, avant-popu czy art-rocka.

Dość wcześnie stworzyła też własne profesjonalne studio. Ten typ zaangażowania sprawia, że nigdy nie czujesz się wolny – jak w *home office*: nawet nie będąc w pracy, zawsze jesteś w pracy. Łatwy dostęp do świetnego sprzętu był jednak dla niej furtką do czarodziejskiego ogrodu.

Arcydzieła

Sprawdziło się znane studyjne powiedzenie, że lepsze jest wrogiem dobrego. Nic nie było dla Bush tak dobre, jak wyobrażony dźwięk, który należałoby w rzeczywistości poprawiać bez ustanku. Dodajmy do tego możliwość zatrudniania muzyków na prawach castingu i katastrofa gotowa – córka lekarza z prawdziwie chirurgiczną precyzją dopieszczać będzie albumy pełne starannie kładzionych podwalin i warstw.

Właśnie: pierwsze, co kojarzy się z muzyką Bush, to warstwy. Nie tylko w prostym rozróżnieniu „słów" i „muzyki", lecz również kolejnych warstw głosów, dźwięków, odcieni, pogłosów i rytmów. Jej płyty to wyjątkowo dopracowane arcydzieła – starannie zakomponowane, pokryte kolejnymi smagnięciami faktur. W kontekście banalnego porównania głosu do instrumentu, jej głos jest paletą barw: czuły jak szept kochanki, zimny jak szkocki wiatr, szalony jak zakochana wiedźma – referencyjny, rozedrgany, gardłowy. To dlatego barwa jej głosu tak dobrze sprawdzała się w latach 80., kiedy do aseptycznego, syntetycznego brzmienia instrumentów, zwłaszcza bębnów, dodawano wokale pełne emocji.

Odwaga w oddawaniu się inspiracjom czy fascynacjom pozwalała jej wyjść poza wąsko rozumiany kanon angielskości – w jej utworach silnie dało się odczuć wątki celtyckie i indoeuropejskie, czego dowodem współpraca z Chieftains, Trio Bulgarka czy wirtuozami muzyki „world". Przebiła też naszą Helenę Modrzejewską, którą ponoć oklaskiwano za recytację polskiego alfabetu – na jednej z płyt nagrała kolejne cyfry liczby pi.

Podobne bogactwo dotyczy sfery tekstowej – choć, jak przyznała, inspiracja „Wuthering Heights" przyszła nie z książki Emily Brontë, a z ostatnich dziesięciu minut widzianego w telewizji serialu (Heathcliffa grał w nim dwukrotny Bond – Timothy Dalton). Kanwę „This Kick Inside" wzięto z folkowej piosenki „The Ballad of Lucy Wan", opartej o triadę jak z „Gry o tron" (incest, ciąża, samobójstwo), „Kashka from Baghdad" to piosenka o parze gejów, „Cloudbusting" zainspirowane zostało autobiografią Petera Reicha, syna znanego psychiatry Wilhelma Reicha, „Breathing" zaś napisano z perspektywy płodu w dobie atomowej apokalipsy.

Tancerka

Niezwykle intrygujący w jej twórczości jest wątek myśli Georgija Iwanowicza Gurdżijewa, o którym Bush śpiewa w „Them Heavy People", jednej ze swych wczesnych piosenek: „*They open doorways that I thought were shut for good / They read me Gurdjieff and Jesu*". Tak, Gurdżijew i Jezus stoją tu obok siebie. Idee i praktyki duchowe ormiańskiego mistyka wydają się kluczowe dla rozpoznania wczesnych utworów Bush (silnie inspirowały też Keitha Jarretta). Co istotne: ezoteryczna doktryna Gurdżijewa zaklęta była w słowie, w muzyce, w stu „świętych układach tanecznych". Zatem Bush traktowała taniec jako równoprawny język – widzimy to nie tylko w obu wersjach klipu do „Wuthering Heights", ale także jako istotny element powracającego właśnie „Running Up That Hill". Podczas „The Tour of Life" Bush skonstruowała zresztą prowizoryczny head-set z wieszaków od ubrań, by uwolnić ręce od mikrofonu.

Współpraca z Peterem Gabrielem, zwłaszcza fenomenalne „Don't Give Up" (1986), sprawiła, że Bush zahaczyła o kontekst polityczny. Co ciekawe, Gabriel początkowo zaproponował udział w tej piosence królowej country, Dolly Parton. Tekst, opowiadający o upadających miastach i kopalniach, mógłby wyjść spod pióra młodego Boba Dylana. Zanurzenie w polityce nigdy jednak nie interesowało Bush, co strasznie irytowało część krytyków, żądających od niej otwartej krytyki panujących stosunków społecznych. Bush nigdy nie była ulubienicą lewicowej agendy, wymuszającej na artyście klasową czujność i dopieszczającej frontmanów takich jak Eddie Vedder za malowanie sobie pisakiem na ręce „Pro-choice".

Gra ciałem

Koncentrowała się więc na muzyce, od pewnego momentu nie udzielając wywiadów, nie wchodząc w alianse, nie mizdrząc się do prasy, a szczególnie paparazzich. Mimo to uzyskała 13 nominacji do Brit Awards, 3 nominacje do Grammy i 3 nominacje do Rock and Roll Hall of Fame. Co ważniejsze, za honorami szły dziesiątki płyt tłoczonych dla niej z platyny, złota i srebra. I to w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Bush prowadziła z nimi własną grę. Z jednej strony separując się od feminizmu, była feministką w działaniu, nie w deklaracjach, czego metaforą może być jej cover przeboju Eltona Johna „Rocket Man", w którego roztańczonej, niemal reggae'owej wersji Bush dyryguje swoimi muzykami, niebem i gwiazdami. Zresztą „rozgrywanie samców" wytykano jej od czasu ballady „The Man with the Child in His Eyes" („Mężczyzna o oczach dziecka"), w bohaterze której dopatrywano się m.in. Davida Gilmoura.

Gra ciałem w wykonaniu Bush stanowiła spory problem dla branży. Bob Mercer, szef EMI, przez długi czas o gorsze wyniki sprzedaży w USA obwiniał okładkę albumu, na której spod baletowego trykotu prześwitywały jej sutki. Bush miała, jak się zdaje, tę kwestię przemyślaną niejako na trzech poziomach – świadomości ciała, świadomości seksualności własnego ciała i świadomości seksualizacji tego ciała w kontekście pracy w branży muzycznej. Jak potrafiła sobie z tym poradzić – nie wiemy. Niemniej interesująca jest przemiana – od dziewczyny, przez kobietę, po matkę – najbardziej zaś interesującą wersją szukania samodefinicji wydaje się „Sensual World", gdzie Bush wykorzystuje (najpierw jako inspirację, później dosłownie) monolog Molly Bloom z „Ulissesa".

Emanacją tej zmiennej kobiecości wydają się również jej przeboje. Dziewczęco

Nic nie było dla Bush tak dobre jak wyobrażony dźwięk, który w rzeczywistości trzeba poprawiać bez ustanku. Z chirurgiczną precyzją dopieszczała kolejne albumy.

szalone „Wichrowe Wzgórza", zwariowana „Babooshka", która z aseksualnej tancerki w trykocie przemienia się w seks-symbol jak z kiczowatych rysunków Chrisa Achilleosa, zmysłowe, niemal płynące przez ekran „Running Up That Hill" czy stonowane „Cloudbusting" i „Hounds of Love". Późniejsze płyty nie miały już w sobie tego „komercyjnego" zadziora, będąc raczej ekspansją w głąb własnej poetyki niż poszerzaniem pola walki. A później nadeszły lata zaszycia się w macierzyństwie, lata milczenia, lata opieki nad synem Bertiem, wychowywanym z mężem, Dannym McIntoshem, podczas których nagrywała albumy w swoim rytmie i na własnych warunkach. Niezmiennie będąc artystką raczej albumową niż singlową.

Choć świat o niej niby zapomniał, w głosach kolejnych debiutantek słyszeliśmy „bushowe" dźwięki i emocje: otwarcie przyznawały się do jej wpływu Sinéad O'Connor, Tori Amos, Elizabeth Frazer, Björk, Suzanne Vega, Sarah McLachlan czy Regina Spektor.

Bush przeniosła estetyczny eklektyzm na nowy poziom, czyniąc z niego siłę. Była też prekursorką łączenia dźwięku, ruchu i obrazu. Siłą rzeczy najsilniej pozostały w naszej pamięci te jej wersje wizualne, które osadziła w mrocznej brytyjskości, wyrażanej choćby przez romantyczną powieść gotycką, w stylu Horatio Walpole'a czy Matthew G. Lewisa. W horrorze „Stranger Things" rytm napędzał pełen grozy obraz, a wszystko otulał i rozświetlał głos Bush – tak oto najbardziej romantyczna z wokalistek odrodziła się dzięki gatunkowi zrodzonemu w czasach romantyzmu – wszystko więc wskoczyło na właściwe tory.

I dlatego właśnie tak cieszy jej triumfalny powrót. Można oczywiście sarkać i krytykować tę modę na ejtisy, na cały ten wysyp książek, płyt, filmów i seriali nawiązujących bądź otwarcie żerujących na naszej nostalgii, ale po co, skoro – jak to ktoś ładnie ujął – znów jest druga połowa lat 80.: straszą nas nuklearną zagładą, straszą nas nowym AIDS w postaci małpiej ospy, ale za to znów mamy Kate Bush w radiu. © ROBERT KASPRZYCKI

Podczas pisania tekstu wspierałem się książką Graeme'a Thomsona „Zmysłowy świat. Kate Bush".

Rygory wspinaczkowe

DZIĘKI SERIALOWI „Stranger Things" miliony widzów poznały Kate Bush, ale produkcja filmowa braci Duffer rzuciła też światło na skomplikowane mechanizmy rządzące listami przebojów. Chodzi o reguły sprawiające, że pierwsze miejsca takich zestawień niekoniecznie okupują utwory cieszące się największą popularnością. Ten paradoks niewątpliwie dobrze służy interesom rynku muzycznego w czasach dominacji streamingu – platform Spotify czy iTunes. Hegemonii, która dotyka również cotygodniowych zestawień list przebojów. Na użytkowników tych gigantycznych archiwów akustycznych w niewielkim stopniu wpływają takie wydarzenia, jak premiery singli czy albumów. Artyści mający mocną pozycję w streamingu utrzymywali się na szczycie niezależnie od tego, co wszelkimi możliwymi kanałami promowały wytwórnie muzyczne. Brytyjska organizacja Official Charts Company wprowadziła więc zasadę Accelerated Chart Ratio (ACR), która przywróciła listom przebojów ich dawną dynamikę. Mechanizm ten dotyczy utworów, które spędziły na liście przebojów co najmniej 9 tygodni. Jeśli od tego czasu liczba jego odtworzeń będzie spadała przez 3 tygodnie z rzędu, do wyników jego słuchalności będzie stosowany mniej korzystny przelicznik. W ten sposób jednym ruchem niemal wyeliminowano z list przebojów utwory o okresie ważności przekraczającym trzy miesiące. Wytwórniom pozostawiono jednak otwartą furtkę w postaci bezpośredniej aplikacji do OCC. Wydawca może apelować o zawieszenie niekorzystnego przelicznika, jeśli towarzyszą temu ważne promocyjne przesłanki. Tak było w przypadku „Running Up That Hill" (utwór pochodzi z 1986 r.), który to wniosek został rozpatrzony pozytywnie ze względu na absolutną dominację piosenki w streamingu i towarzyszący jej współczesny, serialowy kontekst. Tym sposobem po 37 latach Kate Bush wbiegła na kolejny szczyt. © JB

Grupa wysokiego ryzyka

JAN BŁASZCZAK

The Bad Seeds w sierpniu zagrają w Polsce. Warren Ellis, który od dekady jest prawą ręką ich lidera, Nicka Cave'a, tłumaczy, dlaczego w muzyce warto szukać jedynie tego, co nieoczywiste.

Zapowiedzi głosiły, że dokument „This Much I Know To Be True" opowiada o wieloletniej relacji Nicka Cave'a i Warrena Ellisa. W rzeczywistości w filmie Andrew Dominika dominuje jednak muzyka ich zespołu – The Bad Seeds. Anegdoty, błyskotliwe komentarze, krótkie scenki z udziałem przyjaciół stanowią jedynie interludia, którymi poprzetykane są nagrania utworów z płyt „Ghosteen" i „Carnage". Nie ma tu miejsca na pogłębione psychologiczne portrety lub poważne muzyczne analizy – nie ten format, nie ten ciężar. „This Much I Know To Be True" potwierdza natomiast, że niewinny żart może czasem wyjawiać więcej niż przenikliwe studium osobowości.

Szara eminencja

W jednej z niewielu zawartych w filmie wypowiedzi Cave odnosi się do rosnącej pozycji Ellisa w zespole. Skrzypek dołączył do The Bad Seeds w połowie lat 90. jako muzyk sesyjny, by kilka lat później zostać pełnoprawnym członkiem grupy, a w ostatnich latach – współkompozytorem wszystkich jej albumów. Nawiązując do tego awansu, Cave, ze śmiertelną powagą na twarzy, tłumaczy, że Ellis wykończył już pozostałych członków zespołu, a że obecnie coraz częściej śpiewa, to i on sam – w końcu lider – czuje się zagrożony.

Podczas rozmowy z australijskim multiinstrumentalistą przytoczyłem tę wypowiedź mimochodem, gdzieś na dalekim marginesie innych pytań. Choć nie sposób brać Cave'a poważnie, Ellisowi nie było wcale do śmiechu. Zasępił się: – The Bad Seeds zawsze ewoluowało i zawsze było gotowe na ryzyko – odpowiedział. – Nasze priorytety się nie zmieniły. Po pierwsze chodzi o to, aby nigdy nie nagrać dwóch takich samych płyt. Po drugie, aby zawsze robić to, czego wymagają od nas piosenki. To wszystko znaczy, że stawiamy dobro zespołu ponad dobro własne. W zależności od materiału rola niektórych muzyków rośnie, innych maleje. Oczywiście, w filmie Nick się wygłupia, co nie zmienia faktu, że niektórzy fani rzeczywiście tak myślą.

I rzeczywiście: teoria, według której Ellis jest szarą eminencją The Bad Seeds, ma licznych zwolenników. Jest silna zwłaszcza wśród fanów, którzy tęsknią za post-punkowym czy blues-rockowym obliczem zespołu – gitarowym, głośnym, nieokrzesanym. Nie podzielam tej tęsknoty, choć trudno mi jednoznacznie zdyskredytować taki punkt widzenia. Skoro Ellis przyznaje, że same piosenki wyznaczają role muzykom, to jako współkompozytor niewątpliwie macza w tym palce. Inna sprawa, że przypisywana mu rola po prostu współgra z jego wizerunkiem brodatego, charyzmatycznego szamana.

W tym miejscu trzeba przywołać teledysk do znakomitego „Jesus Alone". Pierwszy klip z udziałem Nicka Cave'a zrealizowany po tragicznej śmierci jego syna w 2015 r. oglądałem z mieszanką obaw, współczucia i niezdrowej ciekawości. W połowie piosenki zapomniałem jednak o wokaliście, zafascynowany Ellisem. Dyrygujący sekcją smyczkową, wyglądał niczym Mojżesz zaklinający Morze Czerwone.

Skojarzenia z nadnaturalnymi siłami pojawiały się w przypadku Ellisa od początku jego kontaktów z The Bad Seeds. W biografii Cave'a z 1995 r. pojawia się ledwie jeden cytat poświęcony skrzypkowi, który zaczynał właśnie współpracę z grupą. Ian Johnston przytacza słowa reżysera dźwięku: „Warren to fanatyk – mówi Tony Cohen. – Nie gra jakoś bardzo długo, ale w tym, co robi, jest dotknięcie szaleństwa. Inni muszą grać na skrzypcach długimi latami, żeby dojść do jego poziomu".

Robert Johnson nie był jedynym muzykiem, który spotkał diabła na rozdrożu?

Za ocean i na szczyt

Jak to zwykle bywa, prawda jest bardziej prozaiczna. Ellis to klasycznie wykształcony skrzypek, który przed dołączeniem do The Bad Seeds występował w cenionej post-rockowej grupie Dirty Three. Już na etapie tego instrumentalnego trio grał też na altówce, akordeonie i pianinie. Choć Dirty Three zbierało entuzjastyczne recenzje, Ellis nie ma wątpliwości, że na australijskiej rockowej scenie tak naprawdę liczył się jeden zespół.

– Nasz rynek muzyczny koncentrował się na muzyce popowej aż do czasu, kiedy zaczęło być głośno o The Saints – wspomina. – Chwilę później pojawił się Nick Cave z The Boys Next Door, którzy po kilku latach zaczęli występować jako The Birthday Party. Wraz z tym zespołem w Australii zaczęła się kształtować scena alternatywna.

Ellis nie idealizuje tamtych czasów. Wspomina małe lokale, gdzie artyści, którzy próbowali grać inaczej, występowali dla niewielkich grupek słuchaczy. Wspomina wsparcie, jakiego udzielali sobie nawzajem ci muzycy. I ogólne poczucie wspólnoty. Mimo której wiele zespołów szybko rezygnowało, zawieszało działalność, porzucało marzenia o wielkiej karierze.

– Artystą, który górował nad całą tą sceną, był Nick Cave – wspomina Ellis. – Jego wpływy i międzynarodowy sukces, jaki odniósł z The Bad Seeds, oddziaływały na wszystko, co działo się wokół. Oni byli jedyną grupą wypełniającą sale przeznaczone na koncerty zagranicznych gwiazd. Przy czym oni właściwie też nie byli australijskim zespołem.

Cave przeprowadził się do Europy jeszcze w czasach The Birthday Party. Ze Starego Kontynentu pochodzili również kluczowi muzycy, z którymi zakładał The Bad Seeds: Barry Adamson i Blixa Bargeld. Pierwszy był wcześniej związany z brytyjskim post-punkowym zespołem Magazine, drugi to jeden z liderów niemieckiej industrialnej grupy Einstürzende Neubauten. Od samego początku bogate doświadczenia członków The Bad Seeds pomagały zespołowi ewoluować – zgłębiać różne stylistyki, brzmienia, formy ekspresji. Zanim Ellis również przeprowadził się do Europy, by na dobre dołączyć do zespołu, ten miał już na koncie utwory post-punkowe, czerpiące z bluesa delty Missisipi oraz flirtujące z mrocznym, gotyckim rockiem.

EUAN CHERRY / BE&W

Warren Ellis na 71. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, sierpień 2014 r.

Skrzypek trafił do grupy w przełomowym okresie. W czasie największych, jak dotąd, zmian zarówno w zakresie estetyki, jak i rozpoznawalności.

Już album „Let Love In" (1994) osiągnął komercyjny sukces za sprawą singla „Red Right Hand". Był to jednak dopiero przedsmak tego, co miało nadejść. „Murder Ballads" (1996) do dziś pozostaje największym kasowym sukcesem zespołu, a utwór „Where the Wild Roses Grow" z gościnnym udziałem Kylie Minogue przedstawił Cave'a milionom słuchaczy zupełnie niezainteresowanych gitarową alternatywą. Być może świetny odbiór tej mrocznej, spływającej krwią, ale przecież balladowej płyty zachęcił Australijczyka, by poluzować związki z muzyką rockową. Niezależnie od powodów doszło do tego na świetnym „The Boatman's Call" (1997) – pierwszym albumie z Ellisem jako pełnoprawnym członkiem zespołu.

– Nick miał już gotowe piosenki i wiedział, że chce nagrać spokojniejszą płytę – wspomina skrzypek. – Pierwszorzędną rolę miało odegrać pianino. I to było w zasadzie wszystko, co nam powiedział. To absolutnie wystarczyło. „Cichy album" plus „pianino". Tyle. Im mniej instrukcji, tym lepiej.

Uważaj, co mówisz!

Jako kompozytor Ellis wciąż trzyma się tej filozofii. Poza nią w ciągu ostatnich 25 lat w The Bad Seeds zmieniło się niemal wszystko. Punktem zwrotnym w najnowszej historii zespołu staje się album „Push The Sky Away" (2013) – pierwszy skomponowany przez duet Cave-Ellis. Choć trzon grupy zasadza się na rockowym instrumentarium, w zawartych tu utworach próżno szukać gitarowych erupcji. Choć ważną rolę odgrywa perkusista Thomas Wydler, to równie istotne są syntezatorowe plamy i elektroniczne pętle. Ewoluuje też sam proces pisania utworów, który staje się bardziej otwarty. Zarówno na poziomie kompozycji, jak i tekstu artyści zaczynają oddalać się od linearnych form, coraz śmielej spoglądając w stronę improwizacji i eksperymentu.

– Zaczyna się od poszukiwań – mówi Ellis. – Przy czym żaden z nas nie wie, czego dokładnie szukamy. Nie wiemy, bo dźwięki, które brzmią znajomo, nie stanowią wyzwania. Warto poszukiwać jedynie tych rzeczy, które są nieoczywiste, wymagają rozgryzienia. Bez tego nie ma ryzyka, na którym tak bardzo nam zależy.

Na pracę studyjną Cave'a i Ellisa wpłynęły doświadczenia, jakie zebrali komponując wspólnie muzykę do filmów. Począwszy od prac nad mrocznym westernem „Propozycja" z 2005 r., artyści zgrywali się we wspólnym pisaniu. Ellis podkreśla, że charakter takich zamówień okazał się uwalniający. A metoda pracy naturalnie przesiąkła w proces kompozycyjny w The Bad Seeds.

– Kiedy zaczynamy pracować, mamy jakieś strzępy pomysłów i nic więcej – tłumaczy Ellis. – Zamykamy się w studio, ale nie jest tak, że po prostu czekamy, aż coś się wydarzy. Ciężko pracujemy od rana do wieczora. Wychodzimy od improwizacji, ale ostatecznie to nie jest nasza domena. ↦

Stąd wszystkiemu, co wymyślimy, staramy się nadać jakąś formę. Kiedy udaje nam się zbudować strukturę, możemy ją odtworzyć raz za razem. A jeśli możesz coś zagrać dwukrotnie, to już nie jest improwizacja.

Zdaniem Ellisa zakorzenienie w improwizacji wprowadza duchowy pierwiastek do muzyki The Bad Seeds. Dlatego że kluczowe jest dla niej uchwycenie metafizyki momentu. Każda z piosenek wychodzi od niepowtarzalnego, zaskakującego zdarzenia, do którego dochodzi pomiędzy artystami w konkretnym miejscu i czasie. Ellis twierdzi, że jest to szczególnie ważne dla zespołu, który z jednej strony chce nieustannie zaskakiwać i stawiać sobie wyzwania, a z drugiej w swoich poszukiwaniach bazuje raczej na emocjach niż wirtuozowskiej technice.

W ostatnich latach w podobny sposób powstają również teksty: – Zabawnie jest się przyglądać, jak Nick testuje, czy one się wpasują. Kiedy pracujemy w studio, zawsze ma pod ręką różne zapiski i w pewnym momencie po prostu zaczyna śpiewać. W ten sposób sprawdza, jak ten tekst działa z tym, co wydarza się właśnie od strony muzycznej.

Powyższe metody twórcze odnoszą się przede wszystkim do trzech ostatnich albumów The Bad Seeds. Wspomnianego „Push The Sky Away" oraz płyt „Skeleton Tree" (2016) i „Ghosteen" (2019). Pytam Ellisa o inspiracje, ale on zastrzega, że muzyczne skojarzenia i świadome nawiązania są absolutnie zabronione podczas pracy w studio: – Jeśli nawet masz coś takiego w głowie, zachowujesz to dla siebie. W studio musisz bardzo uważać na to, co mówisz. Kiedy podzielisz się taką inspiracją, może się okazać, że pozostali myślą o niej zupełnie inaczej lub przełożą to skojarzenie na muzykę, która w ogóle nie będzie ci odpowiadać. W studio sprawdzają się proste instrukcje i jednoznaczne komentarze. Np. „chyba coś mamy" albo „nie rozumiem, co się teraz dzieje, ale przyjrzymy się temu bliżej".

WARREN ELLIS:

W studio nagraniowym musisz uważać na to, co mówisz. Sprawdzają się tylko proste instrukcje i jednoznaczne komentarze. Na przykład „chyba coś mamy".

Muzyk przyznaje, że nagrywając „Push The Sky Away", The Bad Seeds mieli poczucie, że otwierają nowy rozdział. Że rzucają sami sobie wyzwanie, z którym ostatecznie mierzyli się jeszcze na dwóch kolejnych płytach. A skoro tak, to po następnym albumie grupy powinniśmy oczekiwać zmiany. Ellis oczywiście nie wie, co się wydarzy, kiedy zamkną się za nimi drzwi studia, ale liczy na kolejny radykalny zwrot.

Udręka i ekstaza

Zanim jednak do niego dojdzie, The Bad Seeds wystąpią na dwóch koncertach w Polsce. Zespół zagra 7 sierpnia w Gliwicach, a dzień później w Trójmieście. W czasie naszej rozmowy Ellis co chwila mówi zresztą o swojej ekscytacji związanej ze zbliżającymi się występami. Początkowo trochę mnie tym irytuje: nie mamy dość czasu na takie przejawy kurtuazji lub, co gorsza, autopromocji. Zrozumienie pojawia się dopiero wówczas, kiedy dociera do mnie prawdziwe źródło tego niepohamowanego entuzjazmu. Ze względu na pandemię zespół nie był w trasie od 2018 r.

The Bad Seeds kończyli wówczas promować album „Skeleton Tree". To w trakcie jego nagrywania Arthur, piętnastoletni syn Nicka Cave'a, zginął tragicznie, spadając z klifu.

– Nie mogę się za niego wypowiadać, ale czułem, że te koncerty są wyjątkowe – wspomina Ellis. – Spotkania z publicznością po tym, co spotkało Nicka, niosły potężny emocjonalny ładunek. Było w nich coś bardzo budującego. Nasz następny album, „Ghosteen", w jakimś sensie czerpał z tego wspólnotowego doświadczenia. Brał te emocje i przenosił gdzieś indziej. W efekcie powstała płyta bardzo uduchowiona, ale też pełna entuzjazmu, wręcz ekstazy.

Niestety, na światło, które biło z „Ghosteen", znów padł cień. Z Warrenem Ellisem rozmawiałem 6 maja. Trzy dni później świat obiegła wiadomość o śmierci Jethro – najstarszego syna Nicka Cave'a.

© JAN BŁASZCZAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE x4

Włodzimierz Puchalski, Zwierzęta. Ze zbiorów Muzeum Niepołomickiego.

Powrót do gniazda

ADAM ROBIŃSKI

Człowiek, na którym wychowało się parę pokoleń polskich przyrodników, wciąż nie doczekał się biografii.

Przede wszystkim oczy, w centrum niemal każdego kadru. Okrągłe niczym pinezka albo przymrużone. Czarne jak smoła lub przeciwnie, szczegółowo ujawniające anatomię organu. Czasem skierowane prosto w obiektyw, innym razem całkiem poza fotografię. Na zdjęciu reklamującym wystawę i takie, i takie: flesz aparatu odbity w spojrzeniu jemiołuszki i gimnastykujące się oko człowieka, który próbuje złapać ostrość na swoje ramię, gdzie ptak siedzi.

To, że w portretowej fotografii oczy są najważniejsze, to oczywiście komunał. Włodzimierz Puchalski, najwybitniejszy polski fotograf przyrody, zdawał się go brać na serio również wtedy, gdy fotografował zwierzęta. Zblazowane koty w ostrym słońcu. Sóweczki w dziurze budki lęgowej, z karykaturalnym obłędem wypisanym w spojrzeniach. Sarniątko, czyli niewinność. Desperacja wiewiórki, mądrość szympansa. Gęś, która się uśmiecha, choć przecież dziób jej na to nie pozwala.

„Bezkrwawe łowy" – określenie, które wymyślił, już dawno prześcignęło sławą album i film dokumentalny, które tak właśnie zatytułował. Polowanie z aparatem, gdy naciśnięcie spustu nie oznacza huku, wystrzału i śmierci. Wciąż jednak „łowy", a więc długa partia szachów, którą można wygrać lub przegrać. „Spryt człowieka musi tu współzawodniczyć ze sprytem i bystrością ptaka. Trzeba się więc gdzieś ukryć i to możliwie tak dobrze, by ptak w ogóle nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności", pisał, tłumacząc dalej, że ptaki mają doskonale wyrobioną pamięć otoczenia, więc pojawienie się nagle w krajobrazie sterty gałęzi czy wikliny po prostu je przerazi. Trzeba więc taką czatownię budować „powoli, przez szereg dni, dokładając codziennie po kilka gałęzi".

Podziwiając fotografie Puchalskiego – czy to w jego albumach, czy na pokazywanej właśnie w krakowskim Międzynarodowym Centrum Kultury wystawie „Domowroty. Włodzimierz Puchalski" – dobrze mieć z tyłu głowy myśl, że każda z nich jest efektem długotrwałego mocowania się z czymś, co wymyka się spod jakiejkolwiek kontroli człowieka.

Dom na Podlasiu

Tytuł wystawy to luźne tłumaczenie angielskiego terminu „homing" (ukłony dla Łukasza Galuska z MCK za wzbogacenie polszczyzny o ten zgrabny rzeczownik), oznaczającego naprowadzenie na cel, a w biologii również instynkt – m.in. ptasi – pozwalający nie błądzić w trakcie corocznych migracji. Domowroty, czyli powroty do gniazda. ↦

W życiu Puchalskiego domów było kilka. Urodził się w 1909 r. w Mostach Wielkich pod Lwowem, gdzie jako trzynastolatek dostał od dziadka pierwszy aparat fotograficzny. Kilka lat później zaprezentował we Lwowie swoją debiutancką wystawę „Żaba" (ze Lwowa pochodzi również kurator krakowskiej wystawy, artysta i architekt Andrij Bojarow). Po studiach agronomicznych na Politechnice Lwowskiej wziął się za realizację filmów, z których pierwszym były wspomniane „Bezkrwawe łowy". Choć z czasem przeniósł się do Krakowa, produkcja dokumentu już na całe życie związała Puchalskiego z Podlasiem.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że to właśnie do tego domu – który zmaterializował się pod postacią wiejskiej chałupy w Morusach koło Tykocina – odnoszą się tytułowe powroty na krakowskiej wystawie. Rozlewiska Narwi, które miał za progiem swojej letniej rezydencji, były – i są – domem lub co najmniej przystankiem na drodze dla setek tysięcy ptaków. Rozśpiewane klejnoty przyrody, mówił o wszystkim, co fruwa. W kalendarzykach, w których dzień po dniu sprawozdawał swoje życie, wspominał obserwowane w pierwszych latach życia gołębie i wróble. Imponowały mu swoją ruchliwością.

Być może już wtedy myślał, że to będzie prawdziwe wyzwanie – przyłapać modele w odpowiedniej pozie: „Krótka rozterka: strzelać czy nie strzelać? Strzał aparatu może spłoszyć ptaka. Ale z drugiej strony czajka kusi mnie swą jakby przeznaczoną do fotografii pozą. Dygnęła jeszcze, potrząsnęła ogonkiem, schyliła główkę i zaczęła się przyglądać jajkom. Dotknęła ich jedną nóżką i cofnęła się z powrotem".

Ramię w ramię z Attenborough

Kiedy czyta się po latach te słowa, od razu przychodzi do głowy myśl, że dokumentalny film o Puchalskim czytać powinien sir David Attenborough. Być może zestawienie obu nazwisk – polskiego dawno zmarłego fotografa i znajdującego się w wirze pracy 96-letniego gwiazdora BBC i Netfliksa – wyda się komuś jeśli nie bluźnierstwem, to co najmniej porównaniem mocno na wyrost. A jednak jest ono jak najbardziej uzasadnione. Trudno przecenić wpływ, jaki prace i opiewana przez nie wrażliwość Puchalskiego na świat przyrody wywarły na parę generacji Polaków. Na jego filmach i albumach wychowały się kadry powoływanych po wojnie parków narodowych oraz instytucji zajmujących się ochroną przyrody. Ale o ile podróże Attenborough były dalekie i egzotyczne, nawiązujące do kolonialnych tradycji Brytyjczyków, o tyle Puchalski epatował pięknem świata na progu każdego polskiego domu. Anglik pokazywał warana z Komodo, Polak – gęgawę, dzika albo sarnę. Filmy kręcił nie w Indonezji, ale na Stawach Milickich. Co rusz wracał na ptaki nad Biebrzę, do Puszczy Białowieskiej czy nad Wigry, gdzie fotografował bobry.

Włodzimierz Puchalski, Portrety. Ze zbiorów Muzeum Niepołomickiego.

Puchalski był dla rodaków nie tylko edukatorem, ale również terapeutą. W świecie stratowanym przez wojnę **przywracał wiarę w życie.**

Jak tłumaczył na łamach „Tygodnika" nieżyjący już popularyzator wiedzy o przyrodzie Arkadiusz Szaraniec, Puchalski był dla rodaków nie tylko edukatorem, ale też terapeutą: „Świat natury był dla niego również nieskończonym źródłem piękna, a ludzie, którzy przeszli przez wojnę i obozy koncentracyjne, potrzebowali obcowania z pięknem tak samo jak tlenu. To, co Puchalski robił po wojnie, kiedy dzielił się z rodakami codziennym pięknem świata przyrody, było jednym z ważniejszych elementów odbudowywania sprowadzonej do krwawego ochłapu ludzkiej świadomości stratowanej przez wojnę. On po prostu zwracał ludziom wiarę w życie. Nie mówił im wprost: zapomnijcie o tym, co przeżyliście. Zamiast tego zarażał ich zachwytem. To był w tamtych czasach wpływ absolutnie nie do przecenienia".

Pielgrzymka do Antarktyki

Jeśli tak, to dlaczego wciąż nie doczekaliśmy się biografii Puchalskiego? Na fali książek i filmów o Simonie Kossak, jego życie i dorobek wydają się bezpieczną inwestycją. Jest jednak pewien szkopuł, który dla potencjalnego wydawcy mógłby stać się barierą nie do przeskoczenia. Autor lub autorka takiej pracy musieliby bowiem śladami Puchalskiego podróżować najdalej, jak się da – do Arktyki i Antarktyki.

Regiony polarne to dla każdego fotografa przyrody niedoścignione marzenie. Status i sława, które z czasem stały się udziałem Puchalskiego, pozwoliły mu dołączyć z aparatem do ekspedycji naukowych. Najpierw, w latach 50., na Spitsbergen, a dwie dekady później również na siódmy kontynent. To miało być zwieńczenie kariery, nagroda i odskocznia od pracy na polskich mokradłach. Lekarze odradzali mu podróż na Antarktydę. Był już wtedy po dwóch zawałach, przekonywali, że może stamtąd nie wrócić. I rzeczywiście, Puchalski zmarł w trakcie pracy, nieopodal stacji polarnej im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego.

W ostatnich dniach swojego życia fotografował świat, który większość z nas zna tylko z filmów Attenborough: kolonie pingwinów cesarskich, lwy morskie, walenie. Jako daltonista przez całe życie trzymał się filmów czarno-białych, ale tu postanowił pracować w kolorze. W Antarktyce widział niedościgniony ideał, świat, którego człowiek nie zdążył zepsuć, pierwotny, a więc taki, w którym on sam był tylko przedstawicielem jednego z szeregu gatunków.

„Łaknienie piękna, jakiś wrodzony imperatyw estetyczny, nakazujący nam obcowanie z owymi arcydziełami, których surową i zarazem nieskazitelną formę tworzy wielka artystka przyroda" – notował. Trudno wyobrazić sobie, by ktokolwiek mógł podjąć się pracy

Włodzimierz Puchalski, Zwierzęta. Ze zbiorów Muzeum Niepołomickiego.

↦ nad Puchalskim, nie odbywszy pielgrzymki do grobu bohatera w Zatoce Admiralicji. Choć jego ciało nigdy nie wróciło do Polski, myślami wcale z niej nie wyjechał. Zbliżając się na pokładzie statku M/S „Alfred Garnuszewski" do wybrzeży Antarktyki, Puchalski notował: „15 listopada. Śniłem o polskiej wiośnie. O Narwi z batalionami, żabami, uradowany, że już ciepło, że słońce rozgrzewa mi plecy".

Z oczywistych względów krakowskie „Domowroty", na które składa się około 250 prac, prezentują tylko niewielki wycinek twórczości fotografa. Głównym motywem wystawy są bociany z położonej niedaleko Lwowa wsi Butryny. Od 1937 r. aż do wybuchu wojny Puchalski pracował tam jako asystent profesora Kazimierza Wodzickiego, ornitologa, który w Butrynach prowadził badania nad bocianim zmysłem orientacji w przestrzeni. Ptaki były obrączkowane, a następnie przewożone na znaczną odległość, m.in. do Warszawy i Bukaresztu, co Puchalski krok po kroku sumiennie dokumentował. Ale zamieszczenie na wystawie zdjęć z terenu dzisiejszej Ukrainy miało nadać tytułowym domowrotom jeszcze jedno znaczenie.

Fotografując ptaki, Puchalski nieświadomie stał się więc komentatorem doświadczenia uchodźczego ofiar XXI-wiecznej rosyjskiej agresji na Ukrainę. To sytuacja, w której instynkt powrotu do domu tłumiony jest przez czynniki zewnętrze. Rozsądek każe uciekać. Bociany też muszą czasem porzucić swoje gniazdo. Ale zaraz budują nowe.

© ADAM ROBIŃSKI

Wystawa **DOMOWROTY. WŁODZIMIERZ PUCHALSKI** *prezentowana jest w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie do 6 listopada (po polsku, ukraińsku i angielsku).*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

CRIMES OF THE FUTURE

Kadr z filmu „Zbrodnie przyszłości" w reż. Davida Cronenberga, 2022 r.

Trzewia i umysł

ANITA PIOTROWSKA

David Cronenberg w najnowszym filmie zachowuje się trochę jak zabójca na usługach biotechnologicznej korporacji, który wkręca się wiertłem w ludzki mózg.

To mogłaby być dobra wiadomość na czas globalnego kryzysu: w świecie niedalekiej przyszłości będziemy jeść plastik. Rozwiążemy w ten sposób problemy związane z wyżywieniem ludzkości i z zanieczyszczeniem planety. Nasz układ trawienny ulegnie stosownej modyfikacji genetycznej, ale zanim to nastąpi, trochę jej w tym pomożemy. Wszak biotechnologia, implantologia czy chirurgia plastyczna zdążyły już przetrzeć szlaki.

We wspaniale epigońskim filmie Davida Cronenberga czeka nas recykling w wielu znaczeniach tego słowa. Nie jest to bowiem pierwszy raz, kiedy reżyser zagląda do wnętrza *homo sapiens* w imię turpistycznych fantazji i transhumanistycznych dylematów. Twórca „Muchy" i „Nagiego lunchu" znów straszy i zarazem bawi się wizją, która w poszukiwaniu nowego człowieka przekracza kolejne tabu – na gruncie medycyny, estetyki, erotyki, etyki. Oraz sztuki współczesnej, zaplątanej misternie we wszystkie wyżej wymienione dziedziny.

Postapokaliptyczną rzeczywistość utrzymaną w klimacie retro-futuro reprezentuje w „Zbrodniach przyszłości" dwoje performerów. Niczym Orlan czy inni twórcy z kręgów radykalnego *body artu* rzeźbią we własnych ciałach, tym razem również od środka. Saul Tenser, zagrany z fizycznym poświęceniem przez Viggo Mortensena, jest nie tylko owocem „przyspieszonej ewolucji" wyposażającej ludzkie ciała w nowe narządy. Wraz z Caprice (Léa Seydoux) organizuje przedstawienia, podczas których partnerka uzbrojona w dziwaczne narzędzia operuje go „na żywca", wycinając na oczach publiczności narosłe w jego ciele zmiany. W czasach, gdy udoskonalona wersja człowieka przestaje odczuwać ból, główny bohater na znak rebelii uprawia twórczość, która ciągle karmi się cierpieniem. Kiedy coraz trudniej poczuć coś naprawdę, fizycznie i emocjonalnie, chirurgia staje się snobistyczną sztuką i jednocześnie „nowym seksem". Groteskowym uosobieniem obu tych tęsknot jest grana przez Kristen Stewart urzędniczka, prowadząca buchalterię nowo powstałych organów.

Jeśli film rozpoczyna się wariacją na temat tragedii Medei, musi mierzyć wysoko. Ale zanim ów mit założycielski wyjaśni swój sens, przeskakuje Cronenberg z idyllicznej śródziemnomorskiej scenerii w obskurne klimaty *neo noir*, horroru cielesnego tudzież przerdzewiałego *science fiction*, budując świat fascynujący i umownie przekręcony. Patronuje tu hasło „ciało

jest rzeczywistością" i to ono stanowi portal do nieograniczonych transgresji. Wzorem cyberpunkowych przypowieści zmieniająca się anatomia poddana zostaje państwowej inwigilacji, podczas gdy międzynarodowa partyzantka próbuje przyspieszyć ewolucję. Szkoda, że ów polityczny kontekst nie został w „Zbrodniach..." mocniej wyeksponowany i stanowi raczej mglisty punkt dojścia, pojawiają się za to znane skądinąd moralne zagwozdki. Jak to możliwe, że matka odmawia człowieczeństwa zmutowanemu genetycznie dziecku? Do czego może być zdolny człowiek prowadzący przełomowe dla ludzkości eksperymenty? Do czego może się posunąć artysta, by poszerzyć przestrzeń własnej wolności? Podobnych pytań mamy wiele, dotyczą spraw mniej lub bardziej palących i nie każde zyskuje przekonujące odpowiedzi. Jednak wcale nie one okażą się w filmie najważniejsze.

20 lat po „eXistenZ", badającym niebezpieczne związki ciała i technologii, Cronenberg pozostaje przede wszystkim światotwórcą. Zachowuje się trochę jak ów zabójca na usługach biotechnologicznej korporacji, który wkręca się wiertłem w ludzki mózg. Albo jak performer z przyszłości, który zdalnie sterowanym, acz organicznym w swej materii skalpelem tnie widza po oczach. Niczym na słynnych wystawach anatomicznych Gunthera von Hagensa eksponowane wnętrzności zdają się tyleż obrzydliwe, co piękne – dodatkowo podrasowane i wytatuowane. U Cronenberga można nawet wziąć udział w konkursie na wewnętrzne piękno, rozumiane bardzo dosłownie. Dlatego „Zbrodnie przyszłości" to uczta wizualna złożona z bebechów i zakrapiana świdrującą muzyką Howarda Shore'a. Nic dziwnego, że w filmie tak mocno zanurzonym w fizjologii oświetlenie, perspektywa i kompozycja kadru przywołują chwilami renesansowe płótna.

Również sceneria tak samo przytłacza, jak urzeka. Znajdujemy się w ciemnym, klaustrofobicznym, oldskulowo zbiurokratyzowanym świecie, pełnym analogowych urządzeń, tekturowych segregatorów i papierowych wizytówek, a równocześnie pośród cielesnych biomaszyn zamykających bohaterów w swoich lepkich łupinach i oplatających inteligentnymi mackami. Z założenia powinny one usprawniać ludzkie życie, ale mają w sobie coś z pasożytów. W podobny sposób wsysają się w nas obrazy z tego filmu: tańczące ciało upstrzone licznie przeszczepionymi uszami, pozaszywane usta i powieki, zupełnie nowe kanały służące uprawianiu seksu... Podczas seansu zmysły, trzewia i umysł toczą ze sobą nieustanną batalię.

I tutaj niespodzianka. Film Cronenberga jest nie tyle ostrzeżeniem przed postępem naukowo-technologicznym czy przed obsesyjnymi ingerencjami w ciało. Oto bowiem życie na Ziemi znalazło się w stanie tak krytycznym, że organizm musi ratować się transmutacją jako mechanizmem adaptacyjnym, który umożliwi przetrwanie w szkodliwych warunkach. Oczywiście, ekstremalne przekraczanie ciała musi rodzić pytania z gatunku egzystencjalnych – o granice człowieczeństwa, zakres biowładzy, miejsce dla intymności w świecie shakowanym aż do głębokości DNA. Odziany w czarny kaptur Mortensen przywołuje innych bohaterów dręczonych przez Cronenberga, ale przypomina także średniowiecznych rycerzy albo męczenników. I znów pytanie: za jaką wiarę?

Prawie 80-letni kanadyjski reżyser powraca do swego dystopijnego uniwersum, tworząc świat jeszcze bardziej nieprzeźroczysty, zbudowany na wielopiętrowym oszustwie. Podobnie jak w czarnym kryminale, nikt tu nie jest tym, kim się wydaje. Do pewnego momentu Tenser wierzy tylko w swoją sztukę i związane z nią splendory, a jedyną prawdą jest jego ból. Dopiero z czasem zyskuje świadomość, że gra toczy się o dużo większą prawdę i dotyczy samej istoty gatunku ludzkiego. I chociaż finałowe przebudzenie wydaje się kolejnym zarejestrowanym performansem (Cronenberg lubuje się w takich wieloznacznościach), trudno odmówić mu metafizycznej wymowy. Może więc tytułowe „zbrodnie przyszłości" to nie tyle bezkarne dłubanie w anatomii, co wolnościowe myślozbrodnie wymierzone w instytucje i systemy próbujące sprawować totalną kontrolę nad ciałami, czyli po prostu nad rzeczywistością. Ta mało oryginalna myśl raz jeszcze znajduje na ekranie pociągająco hybrydyczny kształt. ©

„ZBRODNIE PRZYSZŁOŚCI" *(„Crimes of the Future") – reż. David Cronenberg. Prod. Kanada/Grecja/Francja/Wielka Brytania 2022. Dystryb. Monolith Films.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Poznaliśmy się w wirtualnej rzeczywistości

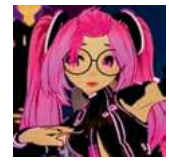

Dokumentalny, reż. Joe Hunting, Wielka Brytania 2022, HBO Max, od 28 VII

Czy w sztucznie wykreowanym i wyizolowanym świecie jest miejsce na autentyczne emocje czy relacje? Twórca dokumentu przez dwa lata śledził perypetie internetowych awatarów wymyślonych z potrzeby eskapizmu i poczucia alienacji. Sfilmował miejsce, gdzie każdy może być każdym, choć czasami tylko tam udaje się być naprawdę sobą.

2. Piosenki o miłości

Melodramat, reż. Tomasz Habowski, Polska 2021, MOJEeKINO, PREMIERY CANAL+, od 29 VII

Nie trzeba dużego budżetu, by opowiedzieć poruszającą historię, pokazać ciekawe studium charakterów i ugryźć nieco rzeczywistości. Nagrodzony w Gdyni debiutant wraz z Tomaszem Włosokiem i Justyną Święs z grupy The Dumplings w rolach głównych stworzyli bezpretensjonalną love story okraszoną piosenkami i osadzoną na społecznym tle.

3. Nowe Horyzonty

Festiwal online, do 7 VIII, nowehoryzonty.pl

Wirtualna odsłona wrocławskiego święta kina nie pokrywa się z edycją stacjonarną, ale w programie znalazła się m.in. część filmów konkursowych, tytuły z retrospektyw Jonasa Mekasa, Agnieszki Holland i Joanny Hogg oraz przegląd mało znanej kinematografii Kosowa, które jest w tym roku gościem specjalnym festiwalu.

4. Inni ludzie

Komediodramat, reż. Aleksandra Terpińska, Polska 2021, PREMIERY CANAL+

„Dlaczego dobzi mogą być dobzi, a źli nie mogą?" – tym razem adaptacja prozy Doroty Masłowskiej nie poszła w stronę komiksu i wycisnęła ze słowa dużo więcej niż czysty absurd. Bohaterowie przemierzają współczesną Warszawę, rapując swoje frustracje i wzajemne animozje, a przygląda się im Jezus w bejsbolówce, bezradny wobec ich samotności.

PROSTACZEK I WĄŻ

Najbardziej snobistyczny festiwal letni w Wielkiej Brytanii co kilka lat zostaje bez dachu nad głową. Ratuje go zawsze energia pewnej damy.

DOROTA KOZIŃSKA Z EAST HORSLEY I WEST HORSLEY (ANGLIA)

JEFF GILBERT / ALAMY STOCK / BE&W

Żeby ruszyć w podróż, trzeba mieć pretekst. Im mniej z pozoru dorzeczny, tym lepiej. Taki np. *twitching* – wyczynowa odmiana podpatrywania ptaków – potrafi zagonić obserwatora na drugi koniec Europy, żeby wyśledził przedstawiciela rzadkiego gatunku. Co się taki ptasiarz przy tym nachodzi i naogląda, to jego. Chętnie podzieli się wrażeniami z wyprawy, ale nie zdradzi, gdzie znalazł gniazdo pomurnika.

Miłośnicy kolejnictwa zjadą pół kontynentu, żeby nagrać śpiew rzadkich lokomotyw i urządzać potem konkursy rozpoznawania liczby klocków hamulcowych po głosie poszczególnych maszyn. Nie dojedzą i nie dośpią, ale ucho tak sobie wyćwiczą, że niejeden meloman pozazdrości im wyczulenia na dźwięki otaczającego świata.

Najdłuższy na ziemi

Moje wędrówki operowe mają w sobie po trochu z podglądania ptaków, podsłuchiwania pociągów oraz innych nietypowych odmian globtroterstwa. Wrażenia z teatru obrastają w pamięć barw, kształtów i nieuporządkowanych odgłosów. Wyobraźnię zaludnia tłum ludzi napotkanych po drodze, przywołanych z głębi przeszłości, zmyślonych przez kompozytorów. Nigdy nie wiem, jaką *rara avis* podpatrzę i jaka lokomotywa gwizdnie mi nad uchem.

Do każdej wyprawy przygotowuję się jak prawdziwy podróżnik – od doboru miejsca, przeważnie omijanego przez „zwykłych" turystów, aż po wybór utworu, artystów i realizatorów spektaklu (ze wskazaniem na gatunki ginące, zagrożone i niezalatujące do Polski). Zbieram jak najwięcej informacji, korzystam z lokalnych podpowiedzi, pakuję się w mały plecak, z którym bez wysiłku mogę drałować choćby na przełaj – po czym ruszam w drogę. Ta droga zawsze prowadzi mnie inaczej, niż zaplanowałam. Kręta jak wąż, już to znika za węgłem, już to ściąga na uwodzicielskie manowce. Odkrywa kolejne historie, każe się głowić nad coraz to nową zagadką.

Czuję się jak naiwny prostaczek z romantycznej baśni. Albo jak czytelnik wiersza Szymborskiej o podziwu godnej liczbie Pi, z którego można się dowiedzieć, że „najdłuższy ziemski wąż po kilkunastu metrach się urywa". I że „podobnie, choć trochę później, czynią węże bajeczne". Moja wędrówka jest wężem tym bardziej bajecznym, że jego „później" jeszcze nie nastało.

Zanim znów pójdę śladem tej gadziny, która nie pozwala się objąć wyobraźnią, podzielę się z Państwem opowieściami z ostatniej podróży. W miejsce odległe od Londynu o niespełna godzinę jazdy pociągiem. Do dwóch połączonych ze sobą wsi i usytuowanej w każdej z nich historycznej posiadłości. W jednej urządzono malowniczy hotel, w drugiej pięć lat temu stanął najmłodszy teatr operowy w Europie.

W zielonej Anglii

Wsie East Horsley i West Horsley w hrabstwie Surrey, zwane w skrócie „The Horsleys", leżą u podnóża wzgórz North Downs i na granicy kilku obszarów chronionego krajobrazu. Na piękno pejzażu składają się tu nie tylko połacie dzikiej przyrody i malownicze pola uprawne, lecz także zatrzymane w czasie wioski i miasteczka, których dzieje sięgają epoki przednormańskiej.

Mimo kryzysu wywołanego brexitem i pandemią to wciąż jeden z najbogatszych regionów Anglii, zamieszkany przez wspólnotę, której członkowie wywodzą się często ze starych domów szlacheckich, szanowanych rodzin rzemieślniczych i zasiedziałych w hrabstwie od pokoleń absolwentów najstarszych brytyjskich uczelni. Pojedyncze sklepy i warsztaty działają nieprzerwanie od XVIII w. Niemal każda osada szczyci się zabytkiem pamiętającym co najmniej Tudorów, wśród falujących wzgórz pysznią się rezydencje otoczone setkami hektarów pól, łąk i lasów.

Opery tu jednak nie było i gdyby nie pewien konflikt, który w decydującą fazę wszedł 7 lat temu, pewnie nigdy by nie powstała. Wtedy to The Grange Park Opera, jeden z najbardziej snobistycznych letnich festiwali muzycznych w Wielkiej Brytanii, został bez dachu nad głową. I to nie byle jakiego dachu – rezydencja The Grange w hrabstwie Hampshire powstała w pierwszej dekadzie XIX w., według projektu Williama Wilkinsa, wybitnego przedstawiciela stylu Greek Revival, który dokonał gruntownej przebudowy wcześniejszego gmachu i nadał mu postać greckiej świątyni z doryckim portykiem kolumnowym. Posiadłość była wpierw miejscem królewskich polowań, później zaś spotkań socjety i mężów stanu, m.in. wojennych narad Churchilla i Eisenhowera. W 1975 r. została wpisana na listę obiektów zabytkowych I klasy.

Nie odzyskałaby jednak dawnej świetności, gdyby nie Wasfi Kani, kobieta energiczna, by nie rzec bezczelna, nieprzeciętnie inteligentna i dysponująca rozlicznymi umiejętnościami.

Strony mają dość

Wasfi Kani przyszła na świat w rodzinie muzułmańskich Hindusów, którzy zbiegli do Wielkiej Brytanii tuż przed wybuchem wojny indyjsko-pakistańskiej. Jej talent matematyczny odkryto już w szkole podstawowej. Dziewczynka zdradzała też uzdolnienia muzyczne – po kilku latach nauki gry na skrzypcach zasiadła przy jednym z pulpitów National Youth Orchestra. Studia skończyła w Oksfordzie, także na wydziale muzyki, po czym rozpoczęła karierę informatyczną w londyńskim City. Przez 10 lat projektowała systemy komputerowe, poświęcając każdą wolną chwilę na zgłębianie tajników sztuki dyrygenckiej. W 1989 r. założyła Pimlico Opera – zespół, który organizował przedstawienia w brytyjskich więzieniach i zakładach poprawczych. Trzy lata później została dyrektorem naczelnym opery Leonarda Ingramsa – arystokraty, którego rodzina przyjaźniła się m.in. z Vaughanem Williamsem i Benjaminem Brittenem – w jego rezydencji Garsington Manor.

Kani kierowała festiwalem w najtrudniejszym okresie, kiedy sąsiedzi kontestowali „operowe wrzaski" rykiem elektrycznych kosiarek i klaksonów samochodowych. Mimo tych przeciwności przyczyniła się do stworzenia nowego modelu *country house opera* – rozrywki luksusowej pod każdym względem, nie tylko z uwagi na cenę biletów, ale też jakość obsługi, poziom artystyczny i koneserską ofertę repertuarową. Angielscy ziemianie i snobi zaczęli z zapałem uczęszczać na nieznane opery Haydna i Ryszarda Straussa, w przerwach racząc się wykwintnymi daniami popijanymi winem dobranym przez najlepszych sommelierów.

↦

Wasfi Kani i Bamber Gascoigne w nowej siedzibie festiwalu Grange Park Opera w West Horsley Place, listopad 2015 r.

Po pięciu sezonach w Garsington Kani przestała się dogadywać z Ingramsem, który nie palił się do przekazania jej pełnej kontroli nad festiwalem. Menedżerka postanowiła poszukać szczęścia gdzie indziej. Słusznie uznała, że do zrealizowania swojej wizji potrzebuje ogromnych funduszy. Umówiła się na kolację z lordem Ashburton, potomkiem założycieli Barings Bank, najstarszego brytyjskiego banku inwestycyjnego, z którym przez lata związany był także Ingrams. Dogadali się. Kani z właściwym sobie zapałem zabrała się do pozyskiwania funduszy na uruchomienie nowego przedsięwzięcia w The Grange. Bez większych kłopotów zyskała wsparcie rekinów finansjery. Równolegle do działalności zespołu na prowizorycznej scenie w oranżerii uruchomiła program deweloperski, uwzględniający remont i przebudowę podupadłej rezydencji, na który już w pierwszym roku udało jej się zebrać trzy miliony funtów.

W krótkim czasie Grange Park Opera zyskała opinię jednego z najpiękniejszych, najlepiej zarządzanych i najświetniejszych muzycznie letnich teatrów operowych w Wielkiej Brytanii. Na scenie gościły nie tylko pozycje z żelaznego repertuaru, ale też musicale i operowe rarytasy. Program uzupełniano koncertami znanych orkiestr z udziałem wybitnych solistów, modni reżyserzy przyjeżdżali tu częściej niż do teatrów działających nieprzerwanie przez cały sezon.

Do czasu. W sierpniu 2015 r. lord Ashburton podniósł czynsz za użytkowanie obiektu do 150 tys. funtów rocznie, z czego dwie trzecie miał zamiar przeznaczyć na zachowanie jego substancji zabytkowej. Złamał tym samym warunki umowy, gwarantującej wynajem na 40 lat zgodnie ze stawką bazową czynszu. Powtórzyła się historia z Garsington: obie strony miały już siebie dość.

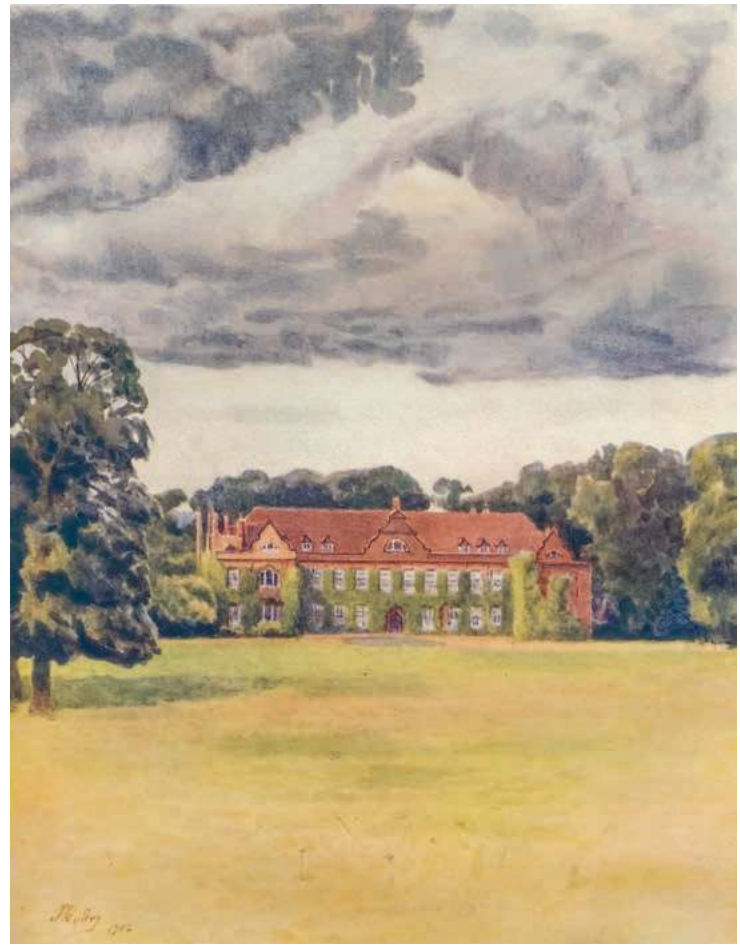

THE PRINT COLLECTOR / EAST NEWS

Pałac w West Horsley, 1912 r., ilustracja z albumu Jamesa S. Ogilvy, „A Pilgrimage in Surrey".

Rezydencja z głową

Właściciele The Grange zapowiedzieli uruchomienie nowego festiwalu. Wasfi Kani zrobiła to samo, co poprzednio: dowiedziawszy się, że sędziwy Bamber Gascoigne, słynny prezenter telewizyjny, odziedziczył po swojej dalekiej krewnej podupadającą rezydencję w West Horsley, zaproponowała mu współpracę przy zorganizowaniu nowego przedsięwzięcia – i to pod sprawdzonym szyldem Grange Park Opera.

Jak zwykle wstrzeliła się w chwilę. Oszołomiony niespodziewanym spadkiem Gascoigne nie miał zamiaru wprowadzać się do zrujnowanego domu w Surrey. Nie wypadało mu jednak sprzedać rezydencji, postanowił więc dołożyć starań, by przywrócić jej dawną świetność. Ostatecznie, mimo opłakanego stanu, West Horsley Place miało status zabytku I klasy. Sir John Summerson, jeden z najwybitniejszych brytyjskich historyków architektury, wskazał gmach przebudowany za Karola I jako wzorcowy przykład „manieryzmu rzemieślniczego" epoki Stuartów, stylu rozwiniętego przez członków gildii londyńskich, którym bardziej leżała na sercu solidna robota murarska niż pięknoduchowskie ideały harmonii i prostoty.

Jeśli Gascoigne był w architekturze wielbicielem klasycznych form, trudno się dziwić, że nie chciał spędzić ostatnich lat życia w Surrey. Zdawał sobie jednak sprawę z drzemiącego w rezydencji potencjału historycznego. Wieść niesie, że Lady Raleigh przechowywała w niej zabalsamowaną głowę ściętego za zdradę stanu małżonka. Służył tu kiedyś Guy Fawkes, później najsłynniejszy uczestnik spisku prochowego z 1605 r.

Rozwód zamiast śniadania

Do ściągnięcia w to miejsce turystów starczyłoby samych anegdot o Mary Innes-Ker, księżnej Roxburghe, której Gascoigne zawdzięczał ten kłopotliwy legat. Księżna dożyła prawie setki i w sumie nie bardzo wiadomo, dlaczego zapisała posiadłość wnukowi przyrodniej siostry z pierwszego małżeństwa ojca. Mary, córka markiza de Crewe, chrzestna królowej Marii, wżeniła się w tytuł książęcy w wieku 20 lat. Za młodu była uderzającą pięknością, nie wystarczyło to jednak mężowi, który spodziewał się po niej licznego potomstwa. Kiedy ostatecznie stracił nadzieję na progeniturę, postanowił pozbyć się bezpłodnej żony. Albo uroda Mary nie szła w parze z ujmującym charakterem, albo książę miał specyficzne poczucie humoru. W każdym razie papiery rozwodowe przekazał kamerdynerowi i polecił dostarczyć je małżonce na srebrnej tacy, zamiast śniadania. Dotknięta do żywego księżna zabarykadowała się w pokoju na wieży zamku Floors, rodowej siedziby książąt Roxburghe, i spędziła tam sześć tygodni, mimo że zdeterminowany George Innes-Ker odciął jej prąd, telefon i bieżącą wodę.

Wynegocjowawszy w miarę korzystne warunki rozwodu, przeniosła się wpierw do Londynu, potem zaś za-

RICHARD LEWISOHN / GRANGE PARK OPERA / MATERIAŁY PRASOWE

„Na korytarzach straszą wypchane króliki i niedźwiedź, w gablotkach walają się zapomniane narzędzia ogrodnicze". Theatre in the Woods, West Horsley, 2019 r.

mieszkała z owdowiałą matką w rezydencji West Horsley, którą rodzice kupili w 1932 r. Kiedy matka zmarła i Mary została sama na włościach, zostawiła sobie do dyspozycji zaledwie pięć z pięćdziesięciu pokojów, a resztę zamknęła na cztery spusty, wraz z gromadzoną od pokoleń rodzinną schedą.

Wasfi Kani podpowiedziała Gascoigne'owi, żeby opróżnić symboliczny „strych" przyszywanej ciotki i wystawić jej skarby na aukcji w londyńskim Sotheby's. Pod młotek poszły meble, obrazy, biżuteria, liberie służących. Zaręczynowy pierścionek księżnej wylicytowano za 167 tysięcy funtów – 14 razy więcej niż spodziewali się aukcjonerzy. Ze sprzedaży „pamiątek" w Genewie i Londynie uzbierało się przeszło osiem milionów.

Remanent po księżnej

Gascoigne, spokojny o przyszłość rezydencji, z entuzjazmem przystał na wszystkie pomysły Kani.

W końcu już wcześniej postawiono w tych ogrodach teatr, w 1559 r., na cześć Elżbiety I, która przyjechała do West Horsley wraz z dworem. Emerytowany prezenter wydzierżawił teren pod nową siedzibę Grange Park Opera na 99 lat, mimo nieśmiałych protestów działaczy na rzecz ochrony krajobrazu. Przystał na sugestię Kani, żeby prochy księżnej wmurować pod przyszłym kanałem orkiestrowym. Z zapartym tchem śledził postępy budowy Theatre in the Woods, który stanął w niespełna rok – pod dziwaczną postacią ceglanego walca, kryjącego w środku przestronną, wysoką scenę i doskonałą akustycznie widownię, luźno nawiązującą do wnętrza mediolańskiej La Scali. Pozwolił udekorować foyer tym, co zostało z remanentów po księżnej: w korytarzach straszą wypchane króliki i niedźwiedź, w gablotkach walają się zapomniane narzędzia ogrodnicze, we wnęce stoi przykurzona pianola, na ścianach wiszą ostatnie liberie.

Opera działa od 2017 r. Kani ściąga do Surrey obsady godne Covent Garden i przed każdym spektaklem z taką swadą namawia do przekazywania kolejnych datków, że sam Ebenezer Scrooge nie zawahałby się zostać jej patronem. Gascoigne nie dożył tegorocznego sezonu. Pozostaje mieć nadzieję, że Kani nie pokłóci się z zarządem The West Horsley Place Trust. A jeśli nawet – to trudno. W Anglii jest jeszcze sporo innych posiadłości, w których można urządzić operę.

Córka Byrona

Wschodnia część „The Horsleys" ma całkiem inną atmosferę, którą zawdzięcza rozsianym po całej wiosce budowlom z murowanego krzemienia i różnobarwnej terakotowej cegły. Ich projektantem był William King-Noel, absolwent Eton i Trinity College w Oksfordzie, z zamiłowania konstruktor i architekt, który dał prawdziwy upust swoim pasjom dopiero po śmierci pierwszej żony. Przez 17 lat korzystał z jej koneksji, zawdzięczał jej tytuł earla Lovelace, z niechęcią uznawał jej wyższość intelektualną – i to w dziedzinach, w których sam miał nadzieję zabłysnąć.

Była nią Augusta Ada, jedyne ślubne dziecko lorda Byrona z małżeństwa z Anne Isabelle Milbanke – zawartego tylko dlatego, by zatuszować kolejny skandal obyczajowy z udziałem poety – odziedziczyła po matce uzdolnienia matematyczne, po ojcu zaś całą resztę: urodę, burzliwy temperament, wysokie mniemanie o sobie i otwarty umysł. Matka Ady była jak na owe czasy kobietą wyjątkowo wykształconą – jej osobistym nauczycielem był William Frend, radykał i reformator społeczny, usunięty z uniwersytetu w Cambridge za odejście od Kościoła anglikańskiego. Zamiłowanie do nauk ścisłych łączyła jednak ze sztywnymi zapatrywaniami na kwestie moralne, co niejako z góry przekreślało jej szanse na spokojne pożycie z Byronem. Anne Isabelle gardziła rozwiązłością męża i panicznie bała się jego „wybuchów szaleństwa". Uciekła do matki z pięciotygodniowym niemowlęciem i dołożyła wszelkich starań, żeby uchronić je przed diabelskim dziedzictwem swego małżonka.

Na próżno. Ada pozostała wierna figurze nieobecnego ojca, którego poznała tylko z portretu, kilkanaście lat po jego śmierci. Wiedziała, że to on nazwał ją pieszczotliwie Adą, że po rozstaniu napisał wiersz do jej matki, w którym pytał gorzko, czy nauczy córkę wymawiać słowo „ojciec".

Tak brzydki, że piękny

Jeszcze przed zamążpójściem Ada zawarła znajomość z Charlesem Babbage'em, filozofem, matematykiem i konstruktorem maszyn liczących, twórcą projektu parowej maszyny analitycznej, uznanej za prototyp współczesnego komputera. Znajomość przerodziła się w przyjaźń, być może w relację intymną, z pewnością w wieloletnią współpracę, ↦

↦ której celem było opracowanie algorytmu działania przełomowego wynalazku. Babbage już dawno został obwołany „ojcem komputerów". Sporządzony przez Adę schemat algorytmu wzbudził ponowne zainteresowanie w końcu ubiegłego wieku jako pierwszy w historii program komputerowy. Wkład córki Byrona w maszynę Babbage'a wciąż budzi kontrowersje, nikt jednak nie kwestionuje determinacji Ady, wiernej i niepokornej asystentki uczonego, który publicznie głosił, że kobiety nie mają dość tęgiej głowy, by zajmować się matematyką.

Determinacji tym bardziej godnej podziwu, że przez całe krótkie życie Ada starała się być troskliwą żoną i matką. Dzieliła z mężem zamiłowanie do hodowli koni przekazane trójce ich dzieci wraz z miłością do muzyki i poezji. Zmarła w męczarniach, na raka, w wieku zaledwie 36 lat, odcięta przez matkę od wszystkich przyjaciół, opuszczona przez męża, który porzucił ją w chorobie, kiedy wyznała mu jakiś wstydliwy sekret.

Większość wspólnych lat małżeństwo spędziło w rezydencji Horsley Towers, przebudowanej w stylu Tudor Revival przez Charlesa Barry'ego. William zaczął ją „ulepszać" jeszcze przed śmiercią żony, ale wodze naiwnej fantazji puścił dopiero potem, burząc proporcje gmachu neoromańskimi konstrukcjami w stylu nadreńskim.

Stworzył gmach tak szkaradny, że aż piękny, przez historyków zwany szyderczo XIX-wiecznym Disneylandem – wyśmiewany przez koneserów, wielbiony przez miłośników architektury wiktoriańskiej wraz z innymi projektami earla Lovelace w East Horsley, spośród których największym zainteresowaniem cieszy się 10 wymyślnie zdobionych krzemienno-ceglanych mostów z przepustami wzniesionych w okolicznych lasach, by ulżyć koniom ciągnącym wozy z drewnem. Konstrukcje trzymają się mocno m.in. dzięki wykorzystanym przy ich budowie algorytmom zmarłej żony Williama.

■■■

W położonej na uboczu rezydencji Horsley Towers działa dziś luksusowy hotel, a przy nim pięknie wtopione w krajobraz, dysponujące znacznie tańszymi pokojami centrum konferencyjne. W „The Horsleys" nie trzeba jednak nocować. Nie trzeba też iść do opery. Wystarczy jeden dobrze zaplanowany dzień, by zapoznać się ze wszystkimi atrakcjami obu wiosek, oddalonych od stacji kolejowej o pół godziny spacerem wzdłuż Ockham South Road.

Po drodze można wstąpić do „rodzinnego rzeźnika" F. Conisbee & Son, gdzie sprzedają też dania na wynos, albo pożywić się w pubie Duke of Wellington, który oprócz doskonałego piwa i świetnej kuchni zapewnia gościom możliwość nieśpiesznej kontemplacji myśli architektonicznej earla Lovelace. Jak u Szymborskiej: „przynaglając, ach, przynaglając gnuśną wieczność do trwania". © DOROTA KOZIŃSKA

JAN

Klata: *Neron puszcza kierownicę*

Neron nagrywa orędzie do narodu. W obliczu wydarzeń, tragicznych wydarzeń, musi oficjalnie zabrać głos. Padły trupy, muszą paść słowa. Wcześniej, przez kilkadziesiąt godzin, mówił nieoficjalnie, zakulisowo. Neron dolewał oliwy do ognia. Mówił do współpracowników: „Demonstranci są uzbrojeni? Nic nie szkodzi, przecież mnie nic nie zrobią. Wpuśćcie ich, niech zdobędą Kapitol". Wsiadając do limuzyny, powiedział: „Jestem, k..., prezydentem, jedziemy na Kapitol, natychmiast". Kierowca: „Panie prezydencie, musimy wracać do Białego Domu". Neron chwyta za kierownicę. Kierowca: „Panie prezydencie, proszę puścić kierownicę. Nie jedziemy na Kapitol, jedziemy do Białego Domu". Neron zostaje wbrew swej woli przewieziony do Białego Domu, drżący od gniewu Nerona na świat, który zawiązał przeciw niemu spisek. Tymczasem na Kapitolu dobrzy ludzie wznoszą szubienicę dla wiceprezydenta USA. Neron do współpracowników: „Mają rację. On powinien wisieć". Szykuje się wojna domowa w obronie Nerona, Człowiek-Bizon wyje triumfalnie w świątyni demokracji... ale jednak nie do końca triumfalnie. Pucz spełza na niczym. Keczup spływa po ścianie Gabinetu Owalnego, rozbita porcelana na podłodze, to Neron cisnął z wściekłości swoim lunchem. Właśnie zobaczył w telewizji, że przegrał.

Następnego dnia, gdy wszystko już pozamiatane, Neron musi się jakoś odnieść. Więc nagrywają z Ivanką, Ivanka podrzuca zza kadru. Neron na tle sztandarów, za prezydenckim pulpitem, wali weń pięścią, desperacko cedząc z promptera przez zaciśnięte zęby. „Nie, nie powiem tego. Nie powiem, że wybory są rozstrzygnięte, powiem, że Kongres zatwierdził rezultat głosowania. OK? Moim jedynym zamiarem było zapewnienie przejrzystości wyborów! (cios w pulpit). Przejrzystości wyborów! (mocniejszy cios w pulpit)".

Po półtora roku prawda wychodzi na jaw. Jest śledztwo. Wiemy coraz więcej o tym, jak szczęśliwie demokratyczny świat minął się o pomarańczowy włos z katastrofą. Szaleństwo władzy niechcącej się rozstać z władzą zostało opanowane. Napawa optymizmem na przyszłość, nieprawdaż? ©

PAWEŁ

Bravo:
Kombinerki Wergilego

Dwadzieścia pięć kilo waży zwój stalowego drutu, który trzeba rozciągnąć na słupkach rozstawionych w prostej linii między młodymi krzewami winorośli. I tak osiem razy na każdy rząd, a rzędów tyle, że wystarczy, by pod koniec dnia grube rękawice emanowały metalicznym zapachem, a ramiona wołały o masaż. Szczęk twardych powierzchni, łańcuchy i dźwignie, haki i kotwy, w garści kombinerki i obcęgi zamiast motyki czy grabi. Jechałem pracować w ogrodzie Bachusa, a czuję się tak, jakbym trafił do kuźni Wulkana.

Ale taki wysiłek podejmuje się tylko raz. Roślinom, które już przez jeden sezon udowodniły, że są w stanie puścić się w górę karmione małopolską glebą, trzeba zapewnić ramy, by z bujnych zielonych chaszczy stały się karnym (lub przynajmniej ćwiczonym w karności) pułkiem. To mnie zawsze w winnicach fascynowało: skrajny kontrast między obsceniczną wręcz żywotnością rośliny a metodyczną, sadystyczną niemal regulacją, jaką musi ją zgnębić człowiek, by oszustwo, by tak rzec, założycielskie – słodkie jagody zamiast do zachłannych ptasich dziobów trafią do przepastnej kadzi – dało pożądany skutek.

Wszak już w „Georgikach" stoi: „rządź się ostro, strzelistym przytnij główki prętom" (wszystkie cytaty w przekładzie Anny Ludwiki Czerny). Nieco wcześniej, zanim przyszło mi rozpinać druty, miałem dzień demiurga. Kucając czule przy każdym garnącym się do wzrostu krzaczku, musiałem wybrać dwa najbardziej obiecujące pędy, które mają prawo przeżyć, a reszty się pozbyć. Z tych dwóch zresztą słabszy też wyleci za rok, bo główny pień będzie przecież tylko jeden. I tak się bezustannie toczy gra między naturą a kulturą, w dodatku bardzo tradycyjną – tekst Wergiliusza w wielu aspektach nie wymaga znacznych aktualizacji.

To, co zdumiewa jego dzisiejszego czytelnika, to stabilność warunków uprawy, niezmienność rytmów klimatu: „Baczmy na wiatry różne i kaprysy nieba / przodków uprawę, zwyczaj miejscowy znać trzeba / ku czemu ziemia skora a czego odmawia". Zwyczaj miejscowy z pewnością nie przewidywał żadnych winnic pod Krakowem. To po części zasługa manipulacji przy sadzonkach, a po części wyższych temperatur, że to się stało teraz możliwe. Z kolei nauka wiatrów, czyli zrozumienia typowej pogody, to dla większości polskich winiarzy proces, który dopiero się toczy. Przy czym jest to nauka coraz trudniejsza i coraz bardziej nerwowa, bo zmiany klimatu polegają na znacznej chwiejności i występowaniu skrajnych zjawisk. Gest i intencja patrzenia w niebo (lub w aplikację meteo) po dniu ciężkiej pracy, w nadziei na deszcz, jest ciągle ten sam. Ale – jeśli wierzyć nie tylko rzymskim poematom, lecz także choćby pamiętnikom sprzed stulecia – dziś panuje głębsza niepewność, obawa, że prawie wszystko może się zdarzyć, a pamięć cyklów z ostatnich lat nie daje nam zbytniej orientacji.

Bez żadnych zmian trzyma nas za to w kleszczach inna kluczowa zależność – od historii, od ustrojów i praw, od władców dużych i małych oraz ulubionego ich zajęcia, czyli wojen. „Ugorem łan legł, w bój rolnicy wzięci". Nie mogę w tych dniach cieszyć się tak, jak bym chciał, z darów lipca na straganie i talerzu, myśląc o tym, jak krucho i niepewnie wygląda zawarty niedawno przez dwóch satrapów pakt w sprawie ziarna niewolonego w odeskich spichrzach. Nigdy dość pamięci o zabitych ludziach i rozrytych na wskroś miastach. Ale mnie nad ranem prześladują głównie widoki pól. Zasiewów, których nie będzie jak zebrać.

„Śpiewałem, kiedy Cezar wielki wojny gromy / ciskał w Eufrat głęboki i zwycięstw łakomy / prawem swym wiązał ludy" – tak kończy Wergiliusz, wspominając swój pobyt w Neapolu, gdzie oddawał się z zapałem „sztukom pokoju" i sielankom. Spróbujmy i my połączyć na chwilę grozę z groteską, bo nasz smutek i tak nie uratuje ani piędzi ukraińskiego czarnoziemu. Oto w okolicach położonych ciut dalej na zachód od skrwawionych ziem alkoholowy koncern Pernod Ricard lansuje akcję „pij więcej... wody". Robi to wespół z organizacją studentów Erasmusa i częstuje wodą na hucznych przyjęciach w Brukseli, bo cały ten cyrk służy tylko temu, by przez „społeczną odpowiedzialność biznesu" (wyjątkowo obrzydliwy oksymoron) poprawić sobie lobbingową pozycję na wypadek, gdyby w unijnych młynach prawodawczych zaczęto klecić nowe regulacje przeciwko spirytualiom.

O ile dobrze pamiętam, u Wergilego, jeśli w ogóle jest coś o wodzie, to przy okazji pojenia bydła. Ale jest upał, organizm domaga się płynów, zawrzyjmy więc rozsądny kompromis: na każdy łyk wina jeden łyk wody. ©℗

W bardzo gorące dni czasem wystarczy mi – oprócz znacznej ilości wody! – spożywać kilka owoców (jest dobry rok na morele) i kęs sera, ale jednak czasami nachodzi mnie ochota na coś, co przypomina „normalny obiad". Znudzeni chłodnikiem i gazpacho? Niech w sukurs przyjdą wam kremy warzywne, które da się jeść także na zimno, byle podrasowane dodatkami. Jeśli dusimy marchew na zupę, którą planujemy potem jeść na zimno, warto dodać do garnka parę ziaren kardamonu, a na talerzu koniecznie zakwasić cytryną. Ale moja ulubiona wersja to ta z cukinią: siekamy z grubsza dużą cebulę, dusimy w garnku kilka minut na oliwie, dodajemy 4 średnie cukinie pokrojone w talarki i 2 ząbki czosnku, mieszamy i podsmażamy krótko, zalewamy wodą lub bulionem tak, żeby ledwo przykryć, gotujemy kilka minut aż zmięknie. Miksujemy i, zanim całkiem ostygnie, wkręcamy 100 g sera z niebieską pleśnią, mieszamy, aż częściowo się rozpuści. Na wydaniu, jeśli mamy pod ręką, można dodać ziarna słonecznika prażone na suchej patelni – ale prażenie to nie jest jednak coś, co byśmy lubili robić, kiedy w domu jest 30 stopni.

ADOBE STOCK

STANISŁAW

Mancewicz:
O komforcie

Długo pukaliśmy się w czółko w sprawie niedawnego starcia starego świata z nowym, to znaczy w sprawie ogólnopolskiego konfliktu o rozumienie tego, co się czyta, bo przecież o to poszło w komentarzach do wypowiedzi Noblistki. Wydało nam się w pierwszej chwili, że nie ma żadnego powodu, by odnosić się do tej zdumiewającej awantury. Zwłaszcza że mamy nieco inne od Noblistki zdanie na temat własnej twórczości. Otóż fascynuje nas obecność naszego felietonu pod strzechą, choć nikt nie rozumie – chcemy tego. Tak czy owak, uznaliśmy to wydarzenie za dobry powód, by nieco tu pogwarzyć nie tyle o literaturze, co o historii i przyszłości naszej cywilizacji.

Na wstępie chcemy zapewnić wszystkich, zwłaszcza tych, którzy nie rozumieją, co piszemy, że wszystkie szantaże, groźby, prośby, próby oderwania nas od rzeczywistości za pomocą dowolnej ideologii muszą spalić na panewce. Jesteśmy tu twardzi jak podwieszony do stropu Kmicic. Musimy to na wstępie zaznaczyć, co samo w sobie jest już ogromnie śmieszne i ilustruje aż nadto komizm epoki, na której rusztach przyszło nam skwierczeć. Powtórzymy głośno: żadne, nawet słuszne próby osadzenia nas na zatłoczonej grzędzie dziaderstwa nie zmienią naszego przekonania, że ucieczka od wysiłku rozumienia słowa pisanego ku łatwiznom rozważań godnościowych bądź klasowych to droga wprost do cyrku, na partyjny miting albo – jak kto woli – wprost na spotkanie kiboli w klubokawiarni.

Rzec oczywiście wypada, że kultura nieczytania czegokolwiek, jak każda inna, jest bardzo interesująca. Dość powiedzieć, że nasza umiłowana ludzkość, od tajemniczego zarania przez ogromny szmat czasu, nie znała literek. Jeszcze niedawno zdanie to nie wymagałoby specjalnych komentarzy, ale dziś, w dobie wpływowych i śmiesznych moralistów, wypada się zastrzec. Nie, nie chodzi nam o obrażanie poczciwego człowieka kopalnego. Onże przecież, bez żadnej literatury, ale i bez filmiku na YouTube nauczył się krzesać ogień. Ze świecą – za przeproszeniem – szukać dziś kogoś obdarzonego podobną wyobraźnią i drygiem do majsterkowania. No więc nieczytający a krzeszący mieli swą epokę, a może i nawet sto, ale dnia owego nadszedł moment, w którym od rzemyczka do koziczka, od węzełka po narysowany znaczek, ona lub on zaczęli utrwalać to, co mieli akurat do powiedzenia. To oczywiste, że ówcześni strażnicy tradycji nie byli zachwyceni, ale kto chciał i się nie bał, podłapał tę arcytanią rozrywkę, zrozumiał szybko, co jest grane, kto zaś nie chciał, ten sobie po dawnemu pohukiwał nad rzeczką, w lasku bądź w kolczastych zaroślach, z czego – mówiąc wprost – nic znaczącego dla kultury nie wynikło. Tak było. Wszyscy ówcześni na pewno dobrze się pisaniną bawili, dobrze się czuli, choć nie da się ukryć, że jedni czuli się lepiej, a inni gorzej. Ktoś teraz powie, że rozwijana tu przez nas – owszem, na kolanie – historia cywilizacji jest podana w sposób zbyt płaski, ale, do stu tysięcy beczek polskiej szczepionki na covid, od czegoś musimy zacząć, by nas rozumiano.

Jak wiadomo bądź nie, pisanie i czytanie są zajęciami powiązanymi, ale by czytać, nie trzeba pisać, o czym donosimy dla porządku. Podobnie wypada zaznaczyć, że umiejętność czytania, wbrew pozorom czy utrwalonym stereotypom, wcale nie jest ani obowiązkowa, ani powszechna. Jest – mówiąc delikatnie – przydatna chyba coraz mniej, ale to tylko detal epoki. Okazuje się jednak, że brak chęci do podjęcia wysiłku rozumienia słowa pisanego jest nie tylko problemem edukacyjnym, ale też godnościowym. Zwrócenie uwagi na czyjeś nieczytanie naraża nieczytającego – zależy w jakim towarzystwie – na dyskomfort. A to już gruba sprawa. Motywowana moralnością, klasowa (chyba) obrona nieczytania, zażarta walka o prawo do komfortowego niepodejmowania żadnego wysiłku umysłowego, to kapitalny ciąg dalszy dziejów naszej znakomitej cywilizacji. Trudno tu coś mądrego poradzić, choć przecież los młodzieży leży nam na sercu. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborza.pl, wyborza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet